

Lwowska Naukowa Biblioteka im. W. Stefanyka NAN Ukrainy

DZIAŁ CZASOPISM

Gi 659

NOWINY STANISŁAWOWSKIE :
czasopismo ekonomiczno-społeczne

Stanisławów

1895-1896



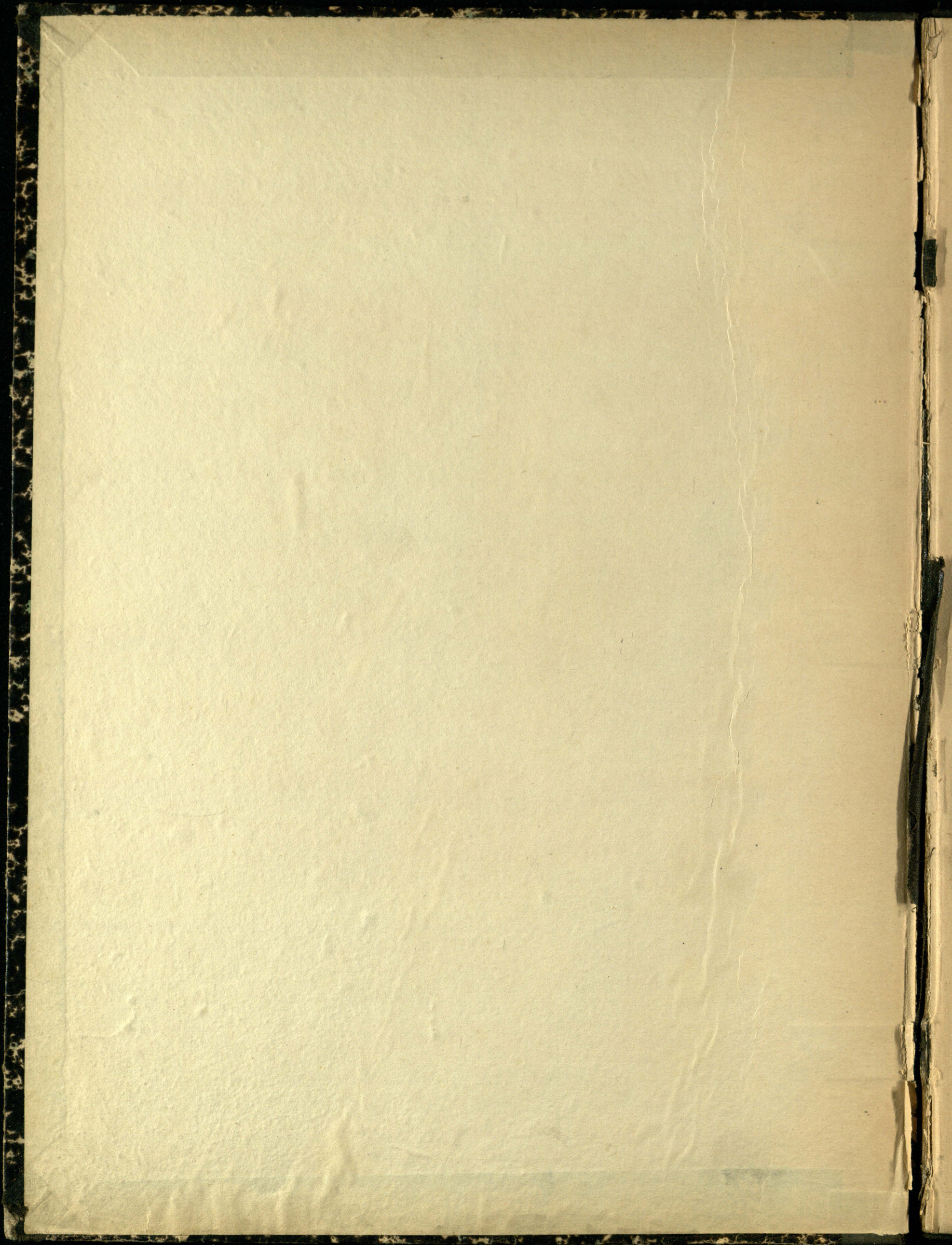
P.i.

659

NOWINY STANISŁAWOWSKIE

1895/6r.

101.619



Prenumerata
miejscowa 1 za-
miejscowa wy-
nosi rocznie 3 zł.
60 ct., półrocznie
1 zł. 80 ct., kwar-
talnie 90 ct.

Numer pojedyn-
czy 10 centów.

NOWINY STANISŁAWOWSKIE

Czasopismo ekonomiczno-społeczne.

Wychodzi 3 razy na miesiąc, każdego 1., 10. i 20.

Inseraty:

Słowo petitem 1/2
ent., garmentem
1 ent., za duże
litery oblicza się
osobno. — Abo-
nament taniej. —
Kwadraty humo-
rystyczne 50 ct.
W rubryce „Na-
desłane” 10 ent.
od wiersza.

Adres Redakcji i Administracji: ulica Zosina Wola 1. 69.

Od Redakcji.

Dziwną się zapewne wyda niejednemu znającemu nasze stosunki pod względem prasy u nas — zwłaszcza prowincjonalnej — odwaga założenia nowego czasopisma.

Przyznajemy, stosunki dla wydawców są wcale niekorzystne, a w Stanisławowie może gorsze niż gdzieindziej. Mamy jednak nadzieję, że pismo periodyczne, dobrze redagowane, przełamie trudności, wzbudzi chęć do czytania u naszej inteligencji, ożywi ruch literacki naszego miasta dotychczas w błogim śnie pogrążony, słowem skieruje czytającą publiczność na inne tory.

Miasto takie jak Stanisławów do trzydziestu tysięcy mieszkańców liczące, gdyby było miastem niemieckim miało by z dziesięć czasopism, między temi i dzienniki. W niemieckich miastach co

prawda nie ma analfabetów i ludzie są zamożniejsi.

U nas z tej masy ludności kto czyta? Czy te masy nieoświeconego żydostwa, czy ci mieszczenie, albo nie albo książkę do modlenia czytający, a mający kalendarz uważany jest za erudyta. — U nas liczyć można tylko na inteligencję. — Gdybyż ta choć czytać chciała, czyta, to nie da się zaprzeczyć, ale co i jak? Panowie czytają w kasyńkach i kawiarniach jeden lwowski dziennik, zresztą „Pressy” i „Blatty”, panie i to tylko niektóre trzymają osławiony „Przegląd” dla tego, bo tani i ma dobre powieści.

Przyznajemy, że pismo periodyczne w politykę się bawić nie może, jeśli nie chce stać się śmiesznym — ileż jednak jest spraw ekonomiczno-społecznych, których omówienie w każdym czasie jest możliwem. Są dalej sprawy krajowe i sprawy miastowe.

Dlatego to odważamy się wystąpić z pismem nowem.

W programie naszym polityka światowa miejsca mieć nie będzie, prócz króciutkiego wyciągu najważniejszych wypadków z ostatnich dni dziesięciu. Bo znajdą się i tacy, którzy ze względu na taniość, prócz naszej, żadnej gazety czytać nie będą.

Głównie omawiać będziemy sprawy ekonomiczno-społeczne, kronika miejscowa i w wyciągach zamiejscowa zajmie ważne miejsce, dalej krytyka teatralna i t. p.

By zwłaszcza panie gazetką naszą zainteresować, umieszczamy oddzielny dział powieściowy i humorystyczny.

W końcu polecając nasze pismo łaskawym względem publiczności, prosimy P. T. literatów i artystów, pierwszych do zasilania gazety artykułami krótkimi a jednymi, zwłaszcza o korespondencje z prowincji prosimy —

W czem nasza siła?

napisał Emil Schayer

Naród polski świetną kartą w historii poszczycić się może. — Zaiste dziwnem się nawet dzisiaj bezstronnemu wydaje, dlaczego potomkowie tych dzielnych Sarmatów, którzy piersią swą całe chrześcijaństwo przed zalewem hord tatarskich i wojsk tureckich przez tyle wieków bronili, dzisiaj tak z planu zeszli, że zatraciwszy byt państwowy, podzieleni pod zabory obcych mocarstw z wyjątkiem małej swej części składowej, mianowicie polacy galicyjscy — którzy dzięki szczęśliwym okolicznościom i wielkoduszności swego monarchy w całej pełni praw obywatelskich zażywają, reszta pod zaborem rosyjskim i pruskim zaledwie wegetują, nie mogąc nawet marzyć o bycie politycznym i narodowym. — Trudną zaiste jest rzeczą osądzić dzisiaj jakie były najgłówniejsze powody, dla których ten naród tak silny, tak pięknie mieć mogący nadzieje, co się tyczy

swej przyszłości i rozwoju politycznego, popadł w taki rzec można rozkład i doprowadził do zupełnej ruiny państwowo-narodowej. Bo z zatraceniem bytu politycznego i samowiedza narodowa chromać poczęła, naród gnębiony tylu nieszczęściami — stracił wiarę w Boga i swą siłę narodową.

Nad przyczyną klęsk narodowych i zupełnej utraty niepodległości naszego narodu nie tu miejsce się zastanawiać. — Spróbuję tylko w krótkości podać rys samopomocy, w jaki sposób powinniśmy się w naszym przegnębieniu ratować, wzmacniając siły, hartując ducha. — Rozmaite są środki zaradcze, rozmaite też cele i dążenia, które nas wysoko postawić powinny — tak przynajmniej, ażebyśmy idąc z duchem czasu, jeśli nie przodowali innym narodom cywilizowanym, takowym dotrzymywali kroku w ogólnym postępie cywilizacji.

Do czego wiara w lepszą przyszłość, zapal i praca wiodą, mamy najlepszą naukę na naszej sztuce. — Czyż zaiste nie należy czo-

łemu uderzyć przed tą rzeszą wybranych, którzy z aureolą sławy i geniuszu na czole, po szerokim świecie imię polaka chwalą i uznaniem roznoszą? — Mimo tylu klęsk, mimo odebrania nam wszystkiego, bo chciano i chcą nam język odebrać, wiarę naszą wygubić, przemienić nas w jakieś inne plemię, słowem wynarodowić. W takim nieszczęśliwym dla nas okresie, sztuka polska nietylko, że nie upadła, nietylko że na równi z sztuką innych narodów stanęła, lecz nawet niejednokrotnie takową przewyższyła.

Któryż naród, takich Mickiewiczów, Słowackich, Krasińskich, takich Kraszewskich, Fredrów, Sienkiewiczów, Matejków, Siemiradzkich, Brandtów i Kossaków nie nazwałby z dumą najlepszymi synami ojczyzny.

Jeśli Niemcy na szczycie swego rozwoju kulturno-państwowego, szczytą się swymi mistrzami sztuki, o ileż więcej na chwałę zasługują nasi mistrze, którzy należąc do narodu bez swobód, bez praw niemal, walcząc z niechęcią, zawiścią i nieszczególnymi

drugich zaś do nadsyłania rysunków humorystycznych i karykatur.

W Imię Boże rozpoczynamy numerem obecnym wydawnictwo „Nowin Stanisławowskich“.

Zaduszki.

Już w zamierzchłych czasach pogańskich były dnie pamięci zmarłym poświęcone. Scenę taką przedstawił nam wieszcz nasz Adam Mickiewicz w „Dziadach“, gdzie guślarz wywołuje duchy zmarłych. Kościół jak wszystkie święta pogańskie zastosował do świąt chrześcijańskich, tak i zaduszki czyli dziady pogańskie zamienił na dzień wszystkich świętych.

Palenie świec i wieszanie wieńców, wszystko to zabytki pogańskie, ustał tylko zwyczaj noszenia na groby jadła i napoi, obserwowany obecnie tylko w Chinach.

Zwyczaj to piękny i nie można przeciw niemu występować, obowiązkiem naszym jednak jest zwrócić uwagę publiczności, że można w sposób pożyteczniejszy oddawać cześć zmarłym, niż to się obecnie dzieje.

Umarli niczego już od nas prócz modlitwy nie potrzebują, tego też żałować im nie powinniśmy, czy to jednak nie jest pogańskim, rywalizować jeden nad drugiego w oświetleniu i przystrojeniu grobów? Czyż ci, którzy budują istne wieże, zawieszając na nich mnóstwo różnokolorowych lampionów sądzą, że najlepiej swych zmarłych uczcili? Więcej warta łojówka sieroty niż transparenta bogaczy; tam widać prawdziwy pietyzm, tu pychę i żądę chwalenia się swem bogactwem.

Pięknym jest zwyczaj strojenia grobów alegorycznymi obrazami n. p. z „Polonii“

Grotgera przez naszą patriotyczną młodzież, bo obrazy takie, prócz pracy nie wiele kosztują, a podnoszą ducha patriotycznego młodzieży, również jak spiewy i hymny.

Bardzo dobrą jest myśl sprzedawania prostych krzyżów z czterema lampkami na cel patriotyczny. Tyle mamy takich celów: Fundacja imienia Kościuszki, Oświata ludu, Wawel, a obecnie gimnazjum w Cieszynie i tyle innych.

Dlatego wzywam naszą znaną z patriotyzmu publiczność, by zerwała z dawnymi zwyczajami, a takie krzyże kupowała.

Źródła dochodu.

Galicja, jak powszechnie wiadomo jest krajem ubogim, ale przyczyna tego ubóstwa w nas samych leży.

Dział ekonomiczny, handlu i przemysłu leży u nas odłogiem.

W dzisiejszych czasach nie wystarcza już sadzić kartofle i siał zboże, o resztę się nie troszcząc. Wobec konkurencji zagranicznej, zwłaszcza Ameryki, musimy się oglądać za innymi źródłami dochodu, prócz zbytu płodów ziemnych. Bierzmy przykład z żydów, n. p. w Stanisławowie, ile rodzin żydowskich żyje z wywozu jaj? Czyż chrześcijanie nie potrafiliby tej sztuki, by po wsiach jaja skupowali, do skrzyni ładowali i za granicę posyłali? Nie tak to trudno, trzeba tylko chcieć, a wszystko da się zrobić.

Żydzi również prowadzą handel eksportowy fasolą, rakami, drobiem, nie mówiąc już o handlarzach wołów. Chrześcijanie tylko nierogaczną handlują i do tego nierzadko żydowskich agentów używają.

Nie myślę żydom bronić ich zarobku, ale nie rozumię dlaczego chrześcijanie nie poszli za ich przykładem.

Jest u nas wiele sadów, ale jak one wyglądają? kto się o nie stara? ot co Pan Bóg da. Zje robak, to nie ma nic — przyjdzie lepszy rok, to się coś zbierze. Warta widzieć sady Niemców, jak oni przez cały rok koło drzew owocowych chodzą, czyszczą z robactwa, korę gliną smarują, obcinają z wilków, szczepią, na zimę od mrozów zaopatrują, dlatego mają piękne owoce dla siebie i na sprzedaż. Otóż mamy znowu źródło dochodu.

Rzek u nas i stawów mnogo. Gdyby przestrzegać należycie nstawę rybacką, gdyby zarybiać rzeki i stawy, kopać sadzawki i zarybiać, mielibyśmy znowu źródło dochodu.

Do tematu tego jeszcze powrócimy.

Eta.

Zgromadzenie ludowe.

Dnia 21. października odbyło się w sali restauracji Korytowskiego Zgromadzenie ludowe z następującym porządkiem dziennym: 1) Zagajenie, 2) Stanowisko robotników wobec ministerjum Badeniego, 3) Wnioski.

Zagaja zgromadzenie prezes Weidler: Hr. Badeni zostawszy namiestnikiem powiedział, że socjalistów wyniszczy, to mu się nie udało, chociaż mówią o nim, że ma rękę żelazną. Stosunki polityczne tak się zaostrzyły, że reforma wyborcza musi ostatecznie przyjść do skutku. Musimy robotników nauczyć poznać polityczne stosunki. — Postarano się, aby nam nie dać pozwolenia na Zgromadzenie, dwa razy nam odmawiano, aż teraz pozwolenie otrzymaliśmy.

Następnie przemawia Danek, znany socjalista ze Lwowa: Szanowni obywatele! Proletariat zszeregował się, by powitać nowy gabinet. — Proletariat nie jest w stanie sypać kwiaty, bo jemu sypią ciernie pod

stosunkami materialnymi swych ziomek, mimo tego wszystkiego na tak wysoki poziom literaturę i sztukę polską wzniesli.

Zatem literaturę mamy bogatą, sztuka nasza stoi wysoko, czego nam jednak brak najwięcej? w czym nasza siła? do czego najwięcej dążyć powinniśmy?

Dobry gospodarz naprzód stara się o rolę i dobytek, a gdy spichrze jego pełne, gdy obory jego pięknem bydłem przepelnione, gdy byt jego materialny na silnych stoi podstawach, wtedy po pracy szukając wypoczynku, oddaje się godziwej zabawie, myśli o literaturze i sztuce.

Gospodarzem tym nasz naród — ale ten gospodarz — w czasach ciężkich porozbiorowych, wprzód pomyślał o zabawie, nie pomnąc, że rola źle obrobiona, źle rodzić będzie, a dobytek zmarnieje, gdy się go nie dogląda starannie. Naszem zadaniem było przede wszystkim wzmocnić się materialnie, bo gdzie jest dobrobyt, tam sztuki zakwitnąć muszą. Patrzmy na Węgrów — patrzmy na

Czechów, porównajmy ich z nami. Oni w kilku dziesiątkach lat stworzyli u siebie silny przemysł i zdrowy handel a literatura i sztuka ich, mimo tego, a może właśnie dla tego wcale nie ucierpiały.

Popatrzmy u nas, prócz nielicznych cukrowni w Królestwie, prócz trochę przemysłu w Łodzi i innych polskich miastach, zresztą przemysł nasz leży odłogiem. Nie powiadam ani zachęcam, ażeby przemysł miał u nas wszystko opanować. — Polska była zawsze spichrzem Europy, Polacy rolniczym byli narodem, samo położenie geograficzno-klimatyczne wskazuje, że przede wszystkim rolnikami być winniśmy. Ale obok roli nie należy zaniedbywać przemysłu, bo tam tylko dobrobyt może być rzeczywistym, gdzie rolnictwo idzie z przemysłem w parze. Cóż z tego, jeśli największe masy zboża wyprodukujemy, kiedy po pierwsze z powodu konkurencji z Węgrami, Ameryką a nawet Australją, nasze płody surowe dziś zaledwie kosztują produkcji zwracają, a w latach nieurodzaju,

jeszcze dopłat i nakładów wymagają, a po drugie za ciężko zapracowany grosz, wszystko co nam do życia codziennego jest potrzebnem, za drogie pieniądze sprowadzać musimy.

A gdybyśmy z tym systemem zerwali, gdybyśmy u siebie przemysł stworzyli, pieniądz wzięty z zagranicy za zboże i inne płody, zostawałby w kraju z wielkim dla nas pożytkiem. Bo gdyby nasze fabryki wyrabiały produkta zagranicznym nieustępujące, nie placilibyśmy tak wielkiego podatku za transport, cło zupełnieby odpadło i mielibyśmy jeszcze tę moralną pociechę, że nasz pieniądz zostawałby w kraju i my byśmy się bogacili, zamiast jak dziś cudzoziemcy na nas interesa robiący.

Wglądnijmy tylko lepiej w tę sprawę, a zobaczymy na jak zlej jesteśmy drodze. Pomijam Królestwo i Poznańskie, choć i tam nie wiele lepiej pod tym względem niż u nas, popatrzmy tylko na naszą Galicję.

Mamy w Galicji autonomię, szkoły i urzędy w języku krajowym, mamy własną prasę

nogi. — W tej chwili tysiące proletariuszy staje, by walczyć dalej o swoje prawa. — Gabinet Badeniego nie wstrzyma nas od wytkniętego celu, pójdziemy za naszą chorągwią. Zarzucają nam, że jest u nas wiele analfabetów, nie jest to naszą winą, lecz tych panów, którzy nas gnębią, wstrzymują nasz rozwój umysłowy, n. p. w gimnazjach zaprowadzają mundurki i inne nowości, by biednych od szkół wstrzymać. — Zastanówmy się jaką drogą szedł proletarijat. — Hrabia Taaffe długo wodził proletarijat za nos, on gnębił lud, zaprowadził stan wyjątkowy w Czechach (głosy: hańba!) — Koło polskie ma prawie decydujący głos w parlamencie, ale zamiast uzupełnić konstytucję 3. Maja, oni są naszymi wrogami i na cięgi zasługują. Rutowski wynalazł dziwoląg, chciał podzielić społeczeństwo na 5 klas, ale mu się nie udało i koalicja musiała runąć. — Jeśli Badeni chce całą Austrię trzymać pod takim obuchem jak trzymał Galicję, to nie mogą mu długich wróżyć rządów. Badeni splamił się wydaniem rozporządzenia do starostw, by przeszkadzać walnym zgromadzeniom proletariatu. — Badeni mimo pozorów sprężystości był właściwie niedołężnym. Z zimną krwią stowarzyszenia potwierdzał, by je na drugi dzień pod błahym powodem rozwiązywać. — Mowca chce krytykować ostatnie wybory do sejmu, komisarz rządowy sprzeciwia się temu, ponieważ to nie należy do programu. — Proletarijat mimo presji nie cofnie się i dążyć będzie do powszechnego prawa głosowania. — Komuna francuska zagrzebała socjalizm i postawiła krzyż na jego grobie, a mimo to idea socjalizmu zmartwychwstała i coraz się wzmacnia.

Następnie mówi Eliasiewicz też znany socjalista. Mówi dalej o Badenim. Gdy się deputacja robotników udała do Badeniego,

nie chciał z nimi nawet mówić i kazał im powiedzieć, że ma na nich bagnety. — Chce on iść śladem Bismarka, ale mam nadzieję, że pójdzie on prędzej „na śmiecie“ niż ten ostatni.

Dalej mówi Weidler. Zastanawia się nad sprawozdaniem poselskim Hofmoka, mówiąc, że ten ma umysł zaciemniony i nie wie co znaczy wyraz demokracja, a reformę wyborczą Taaffego uważał za nadto demokratyczną.

Gdy nikt wniosków nie stawiał, zamknął przewodniczący zgromadzenie.

Wogóle wszystko jak rzadko u tych ludzi odbyło się w największym porządku, a żandarmi przed domem ustawieni nie mieli nic do roboty.

Z powodu braku miejsca wstrzymujemy się z uwagami do następnego numeru

Kronika.

Kalendarz. *Piątek (1.) Wszystkich świętych. Sobota (2.) Dzień zaduszny. Niedziela (3.) F. 22 po Św. Huberta. Poniedziałek (4.) Karola Borom. Wtorek (5.) Elżbiety. Środa (6.) Leonarda w. Czwartek (7.) Engelberta. Piątek (8.) 4 Koronatów m. m. Sobota (9.) Teodora m.*

Z życia towarzyskiego. W sobotę dnia 26. listopada b. r. pobłogosławionym został w kolegiacie łacińskiej związek małżeński między p. Emilem Szajerem asystentem pocztowym i panną Bronisławą Świecińską.

Na polowaniu w Radczy zabito oprócz innej drobniejszej zwierzyny także wspańniętego jelenia. Rzadki to okaz w naszych lasach, musiał widocznie z gór tu zabłądzić spłoszony polowaniem lub przez wilki pędzony. — A propos wilków, w Opryszowcach, wiosce do Stanisławowa przyległej mają się już pojedyncze wilki pokazywać, goszczą one tam co zimę w wielkiej

ilości, pod same chałupy podchodząc, ale tak wcześniej jak tego roku nie uważano je już dawno, z tego chłopi rokują wczesną i ostrą zimę. — Możeby nasi myśliwi pomyśleli nad obławą i przetrzepaniem skóry tych szkodników. — Obecny sezon nieszczęśliwym jest do polowania, zajęcy mało a ciąg słonek też nie dopisał.

Nieporządki w naszym mieście wszelkie przechodzą granice. Kto przed laty za burmistrzostwa Kamińskiego miasto zwiedzał, przyjechawszy dziś, wydziwić się nie może co się z tem czystością wtedy a brudnym i odrapanem dziś miastem stało. — Kupy gnoju, błota i gruzów zalega ulice, znane z niechlujstwa żydostwo, uważa ulicę jako ustęp publiczny i śmieciarke; kaczący, łupy, skorupy, to barwna ale mniej wonna mozaika naszych ulic. — Fatalny pomysł urządzania trotuarów asfaltowych odbija się dziś na nas, nietylko bowiem, że pieniądze na asfalt wydane w błoto poszły, ale obecnie przy słynem otwietleniu ulic, rozbić nos lub wykręcić w dziurach w asfalcie wyłobionych nogę, nie należy do rzadkości. — Nie potrzeba daleko szukać, obok kawiarni Bassa asfalt tuż przy ścieku ma wyłobienie tego rodzaju, że podczas deszczu noga sama się tam zsuwa, by się wykręcić. — Dziwna rzecz zaiste, burmistrz nasz, człowiek godny z wszech miar szacunku, czy nie może czy nie umie podołać ciężkim obowiązkom na jego barki nałożonym, dość, że źle jest i daj Boże, by się to zmieniło i miasto znów do ładu wróciło.

Nasz dzielny Sokół wprowadził nowość: otworzył czytelną bogatą w czasopisma dla członków, czołem mu za to! — Sokół ma się zająć urządzeniem ślizgawki, po sprężystości Wydziału możemy się spodziewać przyjemnej rozrywki w zimie, bo wiemy, że co Sokół weźmie w swe ręce udać się musi.

Główna propinacja. Zewsząd dają się słyszeć skargi na tutejszą główną propinację. I tak okowita stosunkowo do swej ceny jest znacznie za słabą, żytniówka nie jest taką jak należy, a co najgorsza, spirytus do palenia jest wodą podrabiany. Ta sama ilość

wybitni nasi mężowie w rządzie austriackim, w Radzie państwa najwyższe zajmują stanowiska, na oko więc mamy wszystko czego tylko zapragnąć możemy. Tak jednak nie jest niestety! Zaczniemy od ludu, od tej mrówki roboczej, od tej owieczki, którą wszyscy strzygą.

Lud nasz, tak polski jak ruski, jest dobrym, gościnnym, pracowitym, do ziemi przywiązany, jest więc materialem na obywateli dobrym, cóż kiedy dotychczas prawie zupełnie surowym. Dla tego komu leży na sercu dobro tego ludu a przez ten lud przyszłe zbawienie Ojczyzny, ten nie przestanie nawoływać „światła!“ „światła!“.

Daty statystyczne wykazują w jaskrawy sposób, jak wielką jest u nas liczba analfabetów. Szkoły nasze w ostatnich czasach wiele dobrego zdziałały, przymus szkolny też swoje uczynił, ale czyż to wszystko nie za mało? Prawda! odwiecznych błędów czynionych względem oświaty i odwiecznej ciemnoty ludu nie naprawią lat dziesiątki, na to niemal

wieków potrzeba, ale mojem zdaniem zakładanie po najmniejszych wioskach szkółek, chociażby jednoklasowych, wiele zdziałać może. W szkołkach takich powinni być nauczyciele z ludu powstałi, którzy ten lud kochając, dla niego by chętnie i z pożytkiem pracowali. Nauczyciel taki nie potrzebuje mojem zdaniem mieć wyższego wykształcenia, bo takiego prostaczekowi nawet nie zrozumieją, byle ich dzieci nauczył czytać, pisać i rachować, Bogu się pomodlić, zaznajomić ich z szczepieniem drzewek owocowych, hodowlą pszczoł, umiał poradzić gospodarzom w razie chorób bydła, wtedy choćby surduta nie nosił, w sukmanie chłopskiej więcejby dla swej wsi przyniósł pożytku, niż niejedna nauczycielka przybyła z miasta, uważająca szkołę za rzemiosło, wdychająca do miejskich paniczów i przyjemności, brzydząca się chłopem, nierozumiejącą go, uważającą się za ofiarę w imię cywilizacji.

Patrzmy dalej, dziś zależność chłopca od pana jest prawie żadną, jednak choćby mnie

kto nawet brzydką nazwą stańczyka miał uraczyć, nie zawaham się mego zdania powiedzieć. Przysnaje, że za czasów pańszczyzny bezprawia się działy, to samo a może i gorzej było w innych krajach. Ale chłop pracując miał opiekę, jeśli pan był dobrym, a że na szczęście zawsze więcej jest ludzi dobrych niż złych w jakimkolwiek stanie, więc mu źle nie było. Chłop wprawdzie głosować nie chodził, ale czy dziś jest moralniej, gdy na ciemnego chłopca presję wywierają rząd i ksiądz i rozmaici podżegacze i agitatorowie i wreszcie wódka i kielbasa. I cóż chłopu z tych praw obywatelskich, kiedy on z nich korzystać jeszcze nie umie, bo jest jeszcze zawsze jak to dziecko, które na pasku trzeba prowadzić. Chłop za czasów pańszczyzny posiadłości nie miał, ale mógł wyżywić i siebie i rodzinę. Dziś jest chłop obywatelem, ma wszelkie prawa, ale korzyści z niego ciągnie rząd, żyd, ksiądz i t. p.

(Ciąg dalszy nastąpi).

tego spirytusu, który tu kosztuje 11 cnt. za 8 cnt. we Lwowie pali się znakomicie, tak, że go trudno ugasić, a naszego ogień ledwo się chce imać. Spirytus ten ma jedną tylko zaletę, że go nie czuć (naturalnie, woda nie ma woni), ale przy spirytusie do palenia, główną rzeczą jest własność palenia. — Podrabianie spirytusu jest wprost niemoralnem, nie dość bowiem że obliczone jest na wyzysk publiczności, ale biedniejszą ludność zniewala prawie do „szwarcowania“ spirytusu skąd innad. Co więc propinacja zyska przez dodanie wody, to straci przez „szwarcowanie“. To jest właśnie nieszczęściem, że do licytacji prawa propinacyjnego nigdy chrześcijanie nie stają, co najwyżej jako mamekiny żydów, a ostatni nabywszy prawo propinacji, prowadzą swój interes: mniejsza by honorowo, byle zdrowo. — Kto ich tam zresztą wie, może sami dzierzawcy są najuczciwsiymi ludźmi, ale kto zaręczy, że „meszuresy“ trunki z beczek toczący coś tam sami nie manipulują? — Komisja sanitarna lub w ogóle władza jakaś powinna w te sprawy wglądać.

Wyrań mięsa. Jak wszędzie na prowincji, tak i u nas prowadzi się wysyłka tucznych wołów do Wiednia, a nam rzucają ochłapy zwierząt raczej do raka, niż do rzeźni się kwalifikujących. — Wół, który już robić nie może, z głodu i starości wychudzony, gdy mu już uwiad starczy zagraża, idzie do naszych rzeźni, z niego to kotlety i befsztyki wyłamują nam zęby, wypróżniając równocześnie kieszenie, bo mięso o ile twarde i złe, o tyle drogie. — Wiemy kto dostaje mięso dobre, ale to tylko wybrani, nie od każdego rzeźnicy są zawiśli, łatwo im się kilku okupić, aby na setkach grubo zarabiać. — Nie ma co wiele o tem mówić, bo to i tak na wiatr, z takich „verba veritatis“ rzeźnicy się śmieją, bo po pierwsze jak powiada Kajcio: „ouwa co mi zrobicie, kiedy ja gazet nie czytam“, a po drugie od czegoż twardość skóry?

Piekarze nasi chrześcijanie, to im przyznać trzeba, pieczywo mają wyborne, ale cóż z tego, sprzedają o mały procent drożej niż piekarze żydzi, a już nasze słynne z oszczędności gospodie kupują u tych ostatnich, ciesząc się i chwając, że dziennie na bułkach centa zarabiają. — Oj gospodie, gospodie, zastanówcie się co czynicie, zarobicie na miesiąc 30 centów, ale za to jecie pieczywo całkiem czarne, z maki o podejrzanym domieszcze bardzo sporysz przypominającej, nierzadko stęchłej. Nie liczyście jednak, że jedna flaszka Hunyadi kosztuje 28 centów, a ile tych flaszek idzie na miesiąc w domach, w których się kupuje pieczywo żydowskie. — Ha! jeśli wam tak smakuje sporysz i hunjada, to smacznego apetytu!

Teatr. W teatrze stanisławow-kim gości trupa p. Myszkowskiego. — Pan Myszkowski i jako artysta i jako dyrektor zbyt znanym jest szerszej publiczności, by się dało wiele nowego o nim pisać. Możemy tylko zaznaczyć, że rozporządza bardzo dobrymi siłami; personal jego składa się z przeszło czterdziestu osób, dekoracje są bardzo piękne a kostjumy bogate. P. Myszkowski daje głównie najulubieńsze operetki, których wykonanie nie pozostawia nic do życzenia. Prócz operetek daje i komedje, życzyć by tylko można, byśmy z polskich komedj i dramatów coś usłyszeli.

Quosque tandem....? Zmłuj się Świetny Magistracie, czy do kogo to w ogóle należy,

nie daj nam się topić w błocie! Zgroza rzeczywście, żeby wobec istnego potopu błotnego, takie miasto jak Stanisławów było bezradnem. Już to Bogiem a prawdą źle jest, gdy konia kuja, a żaba nogi nastawia. — Stanisławów, a raczej ci co niem rządzą, chorują na manję wielkości. Mają Lwów i Kraków teatr i my go mieć musimy — tam pozakładano ogrody i skwery, my także mieć to musimy — pomniki stawiaćbyśmy chcieli, chcemy nawet stolicy imponować. sprawiamy walec parowy do wygładzania ulic, kosztujący bająnskie sumy, sami wnioskodawcy przyznają się do dziewięciu tysięcy złr., ale bodaj to prawdą było! Pewnie tym panom wielkomiastowcom lwowski tramwaj elektryczny spać nie daje, ale niech posłuchają dobrej rady, będą mieć tańszym kosztem coś całkiem oryginalnego, mianowicie tramwaj łyżwowy do jazdy po błocie — co za pyszna myśl! za pomocą akkumulatorów zamiast tonąć jak dotychczas w błocie, z szybkością elektryki łyżwować się w wózkach po błocie. — Myśl kolosalna, warta zastanowienia, patent możemy odstąpić znanym inżynierskim powagom. — Skandal i jeszcze raz skandal! na przyjemności, fanaberje, eksperymentu inżynierskie pieniądze są, na zgartywanie błota, na oświetlenie ulic pieniędzy nie ma. — I owszem, chwalebna rzecz teatr i t. d., ale wprzód oczyszcmy stajnie Angiasza i nasze szabasowe latarnie.

Veraks.

Teatr.

We wtorek 22. b. m. przedstawioną została „Piękna Helena“ operetka Offenbacha. Muzyka i treść zbyt są znane jako arcydzieło swego rodzaju. Co do wykonania, to było pod każdym względem wzorowe. Świetny śpiew i gra p. Radwan, miły i umiejętny głos oraz iście parysowski wygląd p. Reckiego, oto największa atrakcja tej sztuki u nas. Wyborna gra p. Myszkowskiego w roli Kalchasa była nieporównana i do homerycznego śmiechu pobudzająca, reszta nastrajała się do udatnej całości. Podnieść należy bogate kostjumy i troskliwą reżyserję, która nawet o tem pamiętała, że Helleni mieli jasne włosy.

We czwartek jako w smutną rocznicę ostatniego rozbioru Polski przedstawiono wybornie „Ofiary z roku 1863.“ a w sobotę „Barona cygańskiego“ też pod każdym względem świetnie tak, że należałoby życzyć, aby go powtórzono. To samo można powiedzieć o „Dzwonach“, „Palestrancie“, a z dotąd niewystawionych chciałaby publiczność ujrzeć „Orfeusza w piekle“, „Życie paryskie“ i t. p.

Z upragnieniem u nas oczekiwana operetka „Szttygar“ została po raz pierwszy we wtorek dnia 29. października przedstawioną. Operetka ta należy do lepszych, ale nie od powiada tej reklamie i wrzawie jaką narobiła. Śpiew pojedynczych artystów był znakomity, głównie pp. Radwan i Bronikowska, oraz pp. Orzelski i Recki tak dalece zachwycili publiczność, że ta ich do powtarzania efektowniejszych aryj zmuszała. Pan Myszkowski był nieporównanym dyrektorem. Całość wypadła bardzo dobrze. Dekoracje piękne a kostjumy w podziw nas wprowadziły, bo nie ustępowały kostjumom scen pierwszorzędnym. — We czwartek dano na ogólne żądanie po raz drugi „Szttygar“.

Cieszy nas bardzo a niewątpliwie i p. dyrektora, że się u nas teatrowi tak świetnie powodzi — wszystkie sztuki robią kasę i to pełną.

Mała uwaga: Drzwi z bufetu do sali powinny być stanowczo albo zamknięte, albo przez strażaka strzeżone, tamtędy wlażą rozmaite indywidua a co najgorsza, że z powodu szalonych — przez otwieranie — przeciągów, zgrzana publiczność naraża swe zdrowie.

N A D E S Ł A N E.

Jan Tarnawski kucharz

najlepsze rekomendacje posiadający, przyjmuje łaskawe wezwania do wszelkiej pracy w zakres jego fachu wchodzące, zajmuje się kompletnem urządzaniem najwspanialszych obiadów, uczt, godów weselnych i t. p., rękując za najlepsze i najtańsze wywiązanie się z poleceń. — Mieszka na Górcie, gdzie też łaskawe zamówienia nadsyłać uprasza.

Kupuje

ptaki dzikie do wypychania, świeżo zabite, nie uszkodzone widocznie i krwią nie powalane. — Także i rzadsze zwierzęta.

Zgłoszenia pod „Ptaki“ poste-restante.

W oknie wystawowem pp. Szymańskiego i Maulika wystawione są obrazy olejne według fotografii, robione przez firmę: „Societe de Peinture parisienne“.

Firmę tę przedstawia Aleksander Grau Wundmayer. — Bliższa wiadomość w handlu.

Sztuczne kwiaty

z jedwabiu, atłasu, pluszu i t. d. po cenach najumiarkowańszych, robione na sposób warszawski, są do nabycia. — Bliższy adres w Redakcji.

Kupię sto flaszek na wino.

Zgłoszenia pod „Flaszka“ poste-restante.

Hauptstädtische Wechselstuben-Gesellschaft
ADLER & Comp.

daje losy w ratach miesięcznych płatne, pod najlepszymi warunkami. — Zastępstwo w Stanisławowie. — Wiadomość w Redakcji.

DODATEK LITERACKI

do Nr. 1. „Nowin Stanisławowskich”

z dnia 1. listopada 1895.

CÓRA WOJEWODY

POWIEŚĆ.

Emil Schayer

I. Zwiastun wojny.

Szalony wicher huczy po stepie, tumany śniegu wzbijają się pod obłoki, by po chwili znów spaść na ziemię. Wysokie ukraińskie burzany głucho szeleszczą po bagnistych oczeretach, stada wron i kruków nawołują się chrapliwym głosem, od czasu do czasu przemknie sumak lub płochliwy zajęć, z oddali słychać przeciągłe wycie zgłodniałych wilków, których ślepie jak błędne ogniki latają po pustynnych jarach. Zaledwie czasem z poza ciemnych chmur księżyc na młodziu wychyli swe białe liczko, oświecając mdławym blaskiem niezmierny step. — Któżby w noc taką, na bezludnym stepie, po okiem niezmiernych przestrzeniach, wśród tylu niebezpieczeństw zewsząd grożących, śmiać podróż odbywać? Myśl sama już straszna, tu śniegiem zakryte, zdradne oparzeliska, niebacznego jeźdźca w grób mokrą, w swe topiele pociągnąć mogą, tu wilków zgłodniałych gromada czeka tylko łupu, a kruki i wrony ostrzą dzioby, by spaść na żer przez oprawców pustyni, przez wilków porzucony.

A jednak mimo takiej grozy, mimo tylu niebezpieczeństw czyhających na stepie, słychać z daleka głucho, śniegiem przytłumiony tentent pędzącego rumaka. I pan i koń czują aż nadto, że jedyne ocalenie pokładają w rącznych nogach bieguna. Jakby strzała z tatarskiego łuku, pędzi rumak po stepie, nie wstrzymuje go jeździec, przeciwnie, bodzie ostrogami do krwi biedne zwierzę, bo i strach przed wilkami każe mu resztek sił z konia wydobyć i ważne poselstwo, z którym jedzie, nie pozwala mu na zwłokę. Pędzą tak wciąż dalej, a step się z pod kopyt rumaka usuwa. Wreszcie z daleka widać już zarysy wielkiej budowli. Gdy na chwilę księżyc z swych opon się wychyli, widać zamczysko czarne od starości, z ciosanych kamieni postawione baszty i wieżyczki, rowy i okopy, mosty zwodzone czynią ponurą budowlę jeszcze groźniejszą. Nie dziwnego, zamki na kresach stawiane, musiały być obronne. Częste buntury kozactwa, bliskie sąsiedztwo Moskwy i ciągłe napady dzikich hord tatarskich jedynie w ten sposób mogły być w ich zapędach powstrzymywane.

Zamek, o którym mowa, przebył już wieki, zawsze na służbie Rzeczypospolitej, był to posterunek najbardziej na południowy wschód posunięty, nieraz opierać się musiał obcym najazdom, powstrzymywał najeźdźcze hordy, oblężenia tygodnie i miesiące trwające odpierał zwycięzko.

Już z górą lat czterdzieści panem zamku był wojewoda Jan Kresowiecki. Wojewoda owdowiał dawno, a całą miłość swego szlachetnego serca przelał na swą jedyną córkę Bronisławę.

Bronia jak ptaszek chowała się zdrowo i wesoło pod boki ojca, na niczem jej nie zbywało, chyba na towarzystwie rówieśnic. Małą dzieciną odumaria ją matka, piastunka ruska wychowała ten piękny kwiatusek, wykarmiła swem mlekiem, do snu piękne i rzewne piosenki ludu ukraińskiego swej gołąbce białutkiej spiewała. — Gdy podrosła, sprowadził ojciec dla edukacji córki daleką kuzynkę, nauczycielkę z zawodu. Pan wojewoda nie szedł śladem prądów ówczesnych, które już cudzoziemczyzną, a z nią upadek moralności i religii sprowadzały. Nie wziął dla swej córki zamorskiej guwernantki, lecz całkiem słusznie obyczajem przodków, gdy matki nie stało dla młodej latorośli, sprowadził krewniaczkę, by córce nie tylko wiedzy książkowej udzielała, lecz by z niej rzadną gospodynię zrobiła, wpajając w młode jej serduszek zasady świętej wiary. Sam wojewoda nie wiele miał czasu zajmować się córką, lecz ile mu czasu od zajęć rycerskich i rozległej gospodarki zostawało, poświęcał córce, ucząc ją kochać ojczyznę, opowiadał jej dzieje ojczyste, uczył ją być dumną, że jest córką polskiego narodu. — Ciotka miała jej dać naukę, wprowadzić w gospodarstwo i zaszczerpić wiarę w jedynego Boga. Ojciec chciał ją mieć dobrą córką ojczyzny. Bronia była pojętną i pracowitą, nauka szła łatwo, tak więc wzrastała dziewczeczka pod okiem troskliwych wychowawców, aż na piękną pannę wyrosła.

Niechaj nasz jeździec spieszy do zamku, tymczasem zapoznamy czytelnika z resztą mieszkańców zamku i wzajemnym ich do siebie stosunku.

Że w zamku znajdował się stary burgrabia, liczna czeladź i załoga, o tem nie ma co wiele wspominać.

Byli tam jednak dwaj młodzieńcy z starej ruskiej szlachty, wojewoda odbił ich przed laty, gdy jeszcze małymi byli chłopcami, tatarom uciekającym z jeńcami, wziął do zam-

ku i wychował jak własnych synów. Chłopcy starsi byli od Broni. Starszy Roman miał lat dwadzieścia osiem, młodszy Aleksander dwadzieścia sześć, Bronia zaledwie siedemnaście liczyła wiosen.

W czasie gdy się nasza powieść zaczyna, obaj bracia kochali się w Broni z różnem szczęściem, bo sprzyjała Romanowi, który był piękniejszy, gładszy w obejściu, spiewał pięknie i przygrywał na kozackiej bandurce. Aleksander był ponury, nietowarzyski. Nie dziwnego, że starszym zajęło się serduszek dziewczyny.

Jeździec na spienionym koniu przypadł do zamku, zastukał młotkiem o spiżową tarczę, z zamku strażnik zapytał go o nazwisko, poczem spuścił most zwodzony i jeździec wjechał do zamku. Był to stary kozak Łeś Wichura, starszy z sotni Semenów, jechał z listem od swego atamana. Mimo spóźnionej pory oświadczył, że się musi natychmiast widzieć z panem wojewodą. Zbudzono wojewodę i po chwili wpuszczono kozaka do sympialnej komnaty.

Na obszernem staroświeckim łożu, skórami łosiów wysłanem spoczywał pan zamku, kaganek niepewnem światłem oświecał dużą komnatę, na kominie ogień przygasał.

— Cóż mi nowego przywozisz mój Łesiu?

— Pokłon od atamana i to pismo, to mówiąc wyjął z zanadru zwitek pergaminu.

Wojewoda kaganek przysunął, pismo otworzył, rzucił okiem i pobladł. Można było zblednąć otrzymawszy takie pismo. Ataman pisał:

„Jaśnie Wielmożny panie Wojewodo!

Chmielnicki z nieprzeliczoną czernią kozaków zbuntowanych połączył się z Tuhaj bejem i wraz z tatarami ciągnie w stronę zamku, by go zdobyć i dalej dążyć na Wołyń, mnie o tem donieśli zbiegi z obozu Chmiela. Nie wiem co mam czynić. Sotnie moich kozaków stoją w pogotowiu. Nie ośmielam się z żadną radą występywać, ale nie wiem czy w razie starcia można polegać na naszych Semenach, zawsze to ich bracia z przeciwnej strony, do tego ludzą ich złotą wolnością, zniesieniem pańszczyzny, udziałem księstwem ruskiem pod Chmielnickim i tym podobnemi bredniami. Jak wspominałem ja i moi kozacy stawimy się na wezwanie pana wojewody, za siebie ręczę, za kozaków niezupełnie. Wiem, że jaśnie Wielmożny Pan Wojewodo w tej potrzebie

najlepiej postanowi, dlatego oczekuję z niecierpliwością rozkazów, bo nam już tu wkrótce ciepło być może.

JWP. Wojewody sługa

Dymitr Kernyczenko, ataman.

Zadumał się wojewoda list ten otrzymawszy. Zatem wojna nieunikniona, Chmielnicki dalej prowadzi swe szatańskie dzieło, dalej chce wieść bratobójcze zapasy. Niech go tam Pan Bóg jak najrychlej pokarze, ale cóż tymczasem mnie czynić wypada, myśli wojewoda. Pomocy z nikąd nie można się spodziewać, wojska koronne zaledwie zaczynają się zbierać, pospolite ruszenie jak zwykle długiego potrzebuje czasu nim w pole wyruszy, a tu miecz Damoklesa nad głową. — Zamku opuścić nie mogę, nie na to przez lat czterdzieści zażywałem tu pokoju, od czasu do czasu odpierając mniej groźne napady, by teraz gdy prawdziwe niebezpieczeństwo zagraża opuścić to ważne stanowisko. Król pokłada we mnie widac ufność, gdy mimo późnego wieku nie odbiera kluczy. Dobrze! okażę się godnym królewskiego zaufania, raczej pod gruzami zamku dam się zagrzebać, niż oddam ten zamek na łup bezkarnie. Cóż jednak stanie się z moją dzieciną, z moją Bronią najdroższą, ha! trudno, muszę powtórzyć wiekopomne słowa obrońcy Olsztyna: „wprzód niżli ojcem, wprzód byłem polakiem!“ Bronię odeszłą do siostry, pani kasztelanowej, dam jej poczt z najlepszych ludzi, niech ją Roman zawiezie... tak będzie najlepiej. Ciężko mi przyjdzie najdroższą mą córkę pożegnać może na zawsze... ale to dla jej ocalenia. Hej! Tymko, zwołać ludzi do dużej sali.

II. Bracia.

Tej samej nocy, o tej samej porze w zamku w pokoju paniczów — jak ich służba nazywa — następująca toczy się rozmowa:

— Wszystko postanowione, z góry ułożone, żadna moc już tego nie wstrzyma, Chmielnicki wraz z straszną nawałą kozaków i tatarów ciągnie w te strony, może już jutro zamek oblegną, tak mówi młodszy Aleksy.

— Skąd ty jednak masz tak dobre wiadomości, tu w zamku nikt o niczem nie wie, a ty znasz najdrobniejsze szczegóły, jakieś mi mówił.

— Tobie jako bratu powiem wszystko, ty mnie nie zdradzisz, zresztą jesteśmy obaj rusini i musimy razem trzymać przeciwko naszym wrogom.

— Kogoż ty wrogiem nazywasz?

— Kogo? polaków, czyż to nie czas zrzuć pęta tyranów, którzy od wieków w ciężkiej nas gnębią niewoli. Lud nasz gorzej od bydła sromotnie dźwiga jarzmo, wiarę w nas świętą chcą zabić, jezuitów sprowadzają i ty się pytasz kto wrogiem naszym? Czyż mało krzywd od wieków znosimy, czyż nie czas nam wstrętne zrzucić okowy?

— Nie unosi się mój Aleksy, mówisz jak w gorączce, ja punkt za punktem z łatwością zbiję twoje zarzuty. Lud ruski nie pęta nosi, lecz połączony z bratnim swym narodem, wspólnie z nim raduje się i wspólnie cierpi, wszak bez różnicy, czy to chłop polski, czy ruski tak samo jest w niewoli, a raczej znosi poddaństwo; ależ to samo masz w Niemczech, gdzie chłop jest „leibeigen“ to samo na całym świecie. Dalej co się tyczy wiary, cóż dziwnego, że polacy pracują nad przyciągnięciem rusinów na unię, wszak to w ich interesie, aby tym silniejszym węzłem połączyć ich z sobą, a co do zrzucenia niewoli, to nikt nas nie brał w niewolę, samiśmy się dobrowolnie z polakami połączyli dla tem lepszej obrony, a ci co powiadają, że klęska pod Zawichostem oddała rusinów polakom, mylą się bardzo, bo rusini sami połączyli się jak i Litwa z polakami. Zresztą gdyby nawet jakie krzywdy były, to nie tobie o nich mówić, wszak wojewoda tatarom ci odebrał, wychował i za syna uważa, a ty to nazywasz niewolą, inaczej by ci było w niewoli tatarskiej.

— Wszystko mi jedno, ja swego przekonania nie zmienię.

— Gadasz wiele, a rzeczą męża jest działać, cóż uczynić zamierzasz?

— Co? pójdę do Chmielnickiego.

— Jakto i ty śmiesz mi to mówić, mnie o którym wiesz jak dobrym jestem polakiem, mnie dla którego całego życia nie wystarczy, by się za dobrodziejstwa wojewody odwdziaczyć, mnie śmiesz to mówić?

— Czemu nie dodasz: mnie co kocham wojewodziankę i dla niej gotów jestem zginąć — czemu tego nie mówisz?

— A! więc stąd wiatr wieje! Słuchaj Aleksy nie podoba mi się twa mowa, polityczne przekonania każdego szanować należy, ale prywatnie jest hańbą. Słuchaj, coś mi się zdaje, że i ty w Broni się kochasz?

— Tobie się tylko zdaje, co ciebie szczęśliwego kochanka obchodzić może czy ktoś drugi jest w stanie znieść boleść, jaką jest zawiedziona miłość, tobie się zdaje — słuchaj Romanie, może ostatni raz ze sobą mówimy, rozstańmy się jak bracia, lecz musisz wysłuchać mej spowiedzi z tej nieszczęsnej miłości, bo ja już dłużej kryć tego w głębi serca nie zdołam, mnie aż coś dławi, że się z nikim z mym bolem podzielić nie mogę...

— Żal mi cię bardzo, mów, słucham.

— Gdy tatarzy zabiwszy nam rodziców, nas w jassy zabrali, ty miałeś lat dwanaście, ja dziesięć, wojewoda odbił nas tatarom i do tego przywiózł zamku, tu zastaliśmy nieboszczkę wojewodzianę, która się nami jak synami opiekowała i maleńką Bronię w kolebce, ach! śliczna była to dziecina, wtedy już gdy na palcach skradałem się po cichu, by nie przerwać słodkiego snu dzieciny, wtedy już kochałem ją więcej niż cokolwiek na świecie, później, gdy biegać zaczęła, za-

bawa z nią była mi najpożądalszą nagrodą, z roku na rok miłość moja wzrastała, potęgniała, z dziecinnej i chłopięcej stała się młodzieńczą, prawdziwą i dziś bez niej żyć nie mogę i wszystko poświęcę, wszystko uczynię, byle ją dostać...

— Miłość cię zaślepia i czyni samolubnym, pomyśl tylko, że tak samo jak ty, tak samo i ja, jota w jota kochałem i kocham ją szczerze, prawdziwie, lecz kocham ją nie tak samolubnie jak ty, ponad swoje szczęście stawiam jej szczęście i wierz mi, gdybym wiedział, że ciebie kocha, zrzekłbym się marzenia o niej i nie chciałbym stać na przeszkodzie do szczęścia.

— Łatwo tobie bawić się w szlachetnego, gdy wiesz, że posiadasz wzajemność, ale czy byś na prawdę tak uczynił jak powiedziałeś, będąc na mojem miejscu, to wątpię.

— Nie wątp, proszę cię, bo ja szczęście Broni nad wszystko cenię.

Wtem ozwały się z wieży trąby na znak, by się załoga zbierała.

— Cóż to, zawołał Roman, zamek się nie daj Boże pali, że trąbią na alarm?

— Nie, ale muszą już wiedzieć o przechodzie Chmiela i chcą radzić nad obroną, lub ucieczką.

— Nie obawiaj się, o ile znam wojewodę, przyjmie oblężenie.

— Tobo było czyste szaleństwo, Chmielnicki z tatarami liczy około 20 000 ludzi, zagrzebią wojewodę w jego starym zamku jak borsuka w jamie.

— Nie tak łatwo im to przyjdzie, wprowadziliśmy naszą załogę liczy tylko trzystu ludzi, ale to żołnierz wyćwiczony, a nasze sotnie Semenów czekają tylko znaku, by załogę zwiększyć, z Semenami będzie nas około dwóch tysięcy, więc jeden na stu, ale tamto tałatajstwo z łotrów całego świata pozbierane, nasi, stary, bitny żołnierz, oni w polu, my w warownym zamku, diabła zjedzą nim nasz zamek zdobędą, głodem nas nie zmorzą, w lochach podziemnych jest żywności na rok, nawet dla takiej załogi, chociaż to zbyt wiele, wkrótce nadejdzie wojsko koronne, ażeby to plugastwo wytępić.

— Ładnie mówisz, szkoda tylko, że bez racji, oni nas strzałami zasypią, pod zamek się podkopią i wykurzą z łatwością!

— Zobaczymy, tymczasem muszę iść na rozkazy, a ty co zrobisz?

— Ja? to do mnie należy, zobaczysz, tymczasem bądź zdrow, żegnaj cię jak na zawsze, bo kto wie, czy się jeszcze kiedy zobaczymy.

Bracia padli sobie w objęcia, nie czując do siebie żadnej urazy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Techtel-Mechtel z przeszkodami.

napisał Emil Schayer

Iwonicz.

Ta ziemia nasza, to cudna kraina:
Nie mamy morza, nie ma u nas wina,
Jednak cudownych okolic tak wiele
Tu u nas w Polsce i rzec mogą śmieć,
Że mało krajów poszczycić się może
Tak piękną ziemią jak nasza, lecz Boże,
Nietylko ziemię dałeś nam precudną,
Bogatą w sioła i miastami ludną,
Lecz dałeś skarby w tej ziemi ukryte,
Które do leków mogą być użyte. —
Ot nasz Iwonicz, naszych zdrojów perła,
Żadne mu inne nie odbierze berła
Z naszych zdrojowisk słonawo-jodowych.
Cenne dla chorych, przyjemne dla zdrowych.
Wąwóz zaciszny, wieńcem otoczony
Lesistych wzgórz, liść bujny, zielony
Daje uroku, jodły niebotyczne,
A wśród nich dęby, nasze brzozy śliczne,
Młode modrzewie, graby, gęste krzewy,
A wśród nich wieczne leśnych ptaszek śpiewy.
Zakład — rzec można — dobrze utrzymany:
Deptak wygodny, obficie skrapiany;
Więc kurzu nie ma, wyborna muzyka,
Która ożywi nawet samotnika.
Źródła z komfortem skryte w pawilonie;
Wieczorem światło elektryczne płonie.
Cóż więc dziwnego, że z całego świata
Zjeżdża tu ludność przeważnie bogata?
Życie tu drogie — miejsce kąpielowe
Musi być drogie — lecz powietrze zdrowe,
Cudna woń lasów szpilkowych upaja
I do marzenia miłego nastraja. —
Muszę też wspomnieć i ciebie pieszczotko,
Gości tutejszych uroczą Belkotko:
Dziwo czy cudu to źródło w lesie?
Widocznie naftę w swoich wodach niesie,
Ta tworzy gazy, które zapalone
Palą się jasno — twe oczy zdziwione
Patrzą na wodę, co się u stóp pali;
A cóż dopiero gdy wieczór z oddali
Ujrzyś płomienie, widać po twej minie,
Że myślisz: „W zakłętej jestem krainie“.

II.

Półów skutkiem uwieńczony.

Już w całej pełni sezon kąpielowy,
Jeden odjechał, znów przyjechał nowy,
Ciągłe się zmienia jak w kalejdoskopie:
Ten jechać musi, bo już po urlopie,
Tamten przybywa, bo znów urlop dostał,
Ten chciał odjechać, ale jeszcze został. —
Od dawna tu bawi pewna piękna pani,
Młodzież z stolicy hołd jej niesie w dani,
Lecz tutaj chorzy, albo emeryci,
Którzy już wdzięków kobiecych są syci,
Więc się śmiertelnie nudzi pani młoda,
Daremnie marnieje jej cudna uroda,

Nikt nie podziwia wysmukłej kibici,
Bo o pieczeniu myślą emeryci.
Daremnie nóżką suwa po deptaku,
Bo amatorów nie ma ani znaku. —
Wtem, o radości! przyjechał z Krakowa
Pan doktor Mendel, wnet figura nowa
Przypadła w guście pani... jak się zowie,
Nie! tego pióro moje nie wypowie!
Nie chcę uchybić ja kobiecej sławie,
A jeśli kto się zapyta ciekawie,
To go odeszłę prosto do „kurlisty“,
A tam jej adres znajdzie rzeczywisty.
Pan doktor Mendel przystojny, wysoki,
Z przepyszną brodą, przytem czarnooki;
Miał jedną wadę: Był żydem niestety,
Lecz w oczach pani te inne zalety:
Zdrowie, postawa, więcej zaważyły;
Dość, że pan doktor był jej wcale miły.
Świetna kokietka zarzuciła sieci
I czeka rychło gruby karaś wleci.
Nie omyliły jej wcale rachuby,
Niebaczny doktor szukał niemal zguby,
Poznał się łatwo, w kąpielach nie sztuka,
Założył cwikier, na panią X kuka;
Z każdym dniem śmielszy, już ramię podaje,
O emerytach myśli, że mazgaje.
Do źródła chodzi, choć wody nie pije,
Bo ona chodzi, Lecz dotąd niczyje
Okło nie złego w stosunku nie widzi,
Ledwie czasami jakiś facet szydzi,
Powiada: „romans z żydem, to nie ładnie!“
Tymczasem ona swoją rybę zdradnie
Mota wciąż dalej w swojej słodkiej sieci..
O, teraz ptaszek pewno nie uleci!

III.

Niedźwiedź straszy kochanków.

Kiedy pan Mendel coraz więcej bryka,
O psotach myśli pewnych panów klika.
Było nas młodych towarzyszy grono,
Więc między nami zgodnie uradzone
Śledzić tę parę i czynić jej psoty;
Oni tymczasem jak marcowe koty
Chodzą do lasu i w górnej glorijsce
Prowadzą miłość. — Nigdy nie zgadniecie
Co za psikusa zrobiliśmy parce,
Gdy coraz śmielej swe miłosne harce
Wiedli wśród lasu. — Dnia im było mało,
Ledwie na dworze trochę pociemniało,
Już szli do lasu i tam do północy
Bawili się świetnie, bez cudzej pomocy.
Jeden z nas skórę z niedźwiedzia pożyczyl,
Dwa dni bez przerwy w ryczeniu się ćwiczył,
Wreszcie już przyszedł do takowej wprawy,
Że ryczał pysznie, a w sam dzień wyprawy,
To prawie ochrypl, tak się ćwiczył pilnie
I naśladował niedźwiedzia usilnie.
Wieczór był jasny, zanim wyszła para:
Pan doktor Mendel i jego gitara,
Poszliśmy w gąszcze do górnej glorijski,
I tam czekamy żyda i kokietki,
Wtem słychać głosy, widać się zbliżają;
Moi koledzy w krzakach się chowają,

Ja z nimi społem. — Przychodzą ptaszęta;
On zakochany patrzy w jej oczęta,
Postać jej smukłą do piersi przyciska,
Pewnie całusów moc wielką uzyska,
Bo już zaczyna całować twarzyczkę,
Pieści, całuje swą piękną różyczkę;
Wtem ryk straszliwy i niedźwiedź wypada,
Staje na łapach ta leśna szkarada,
Wprost na kochanków przeleknionych kroczy,
Ona się kryje za słup na uboczu,
A Mendel poczuł snąć zajęczość skóry,
Widzi przed nosem straszliwe pazury,
Przez zapomnienie po żydowsku biada,
Zemdlał nieborak i na ziemię pada.
Niedźwiedź im rzucił kawał białej karty,
A na niej stoi: „To są tylko żarty,
Ale na prawdę tę wam daję radę:
Porzućcie takiej miłości szkaradę“.

(C. d. n.)

Kącik humorystyczny.

* Także jeździec.

Rotmistrz: (przedstawiając swego przyjaciela) Mój przyjaciel, Stanisław Świszczy-palski, urzędnik rachunkowy.

Dama: Czy przyjaciel pański jest tak dobrym jeźdźcą jak pan?

Rotmistrz: O! jeszcze lepszym, on jeździ po każdym cencie lepiej niż ja na koniu.

Dyrektor teatru do debutantki: Próbowalaś już pani kiedy roli naiwnej?

Debutantka: Tak panie dyrektorze, byłam już trzy razy zaręczoną.

* Niebezpieczna rozmowa.

— Panie Zygmuncie, czemu pan nie bawisz panny Klary?

— To nie możebne, cokolwiek powiem, uważa za oświadczyń.

* W zakłopotaniu.

Feldwebel: Czy to twoja siostra, którą wczoraj pod ramię prowadziłeś?

Gemajner: Nie, jeszcze nie.

A. Więc pan nic nie robisz, żyjesz pan tylko z procentów?

B. Tak, ale żebyś wiedział co się mój wuj napracował nim ten majątek zebrał, ja teraz za niego wypoczywam.

* Także specjalność.

(Ogłoszenie). „Akademicznie wykształcony fryzjer poleca się względem Szanownej P. T. Publiczności. — Specjalność: Malowanie Pań.“

* Naiwne.

Matka: Powiedz mi Jasiu, gdzie ci lepiej smakuje obiad, u mamy czy u babci?

Jaś: A niech mama zgadnie?

Matka: U mamy.

Jaś: Proszę mamy jeszcze raz zgadnąć.

Przygody pana Józefa Magendufta na świeże powieczy.

— E. Mayer

Opowiedzieć cza państwu moi utraپeni
Z tego świeży powieczy i próżny kieszeni:
Jestem kupiec blawatny, na placu krakowskie
Jest mój handel pomiędzy te inne żydowskie,
Tam ja szedzy za lady od żymy do lata,
A koło mnie jest Malczy, koło swego tata,
Pół tuzina młodych, ładnych Magendufcików,
Czy dziewczynki sehr szejne i czech mam

[chłopczyków.

W sklepiem szedział jak w raju, raz mię cosz

[zawiało,

Potem mię w nosze, w gęby, w uszach

[zatykało;

Wołam doktor Fajteles, to jest mądra głowa,
Nu, mówi Fajteles, to nie jest rzecz nowa,
To przestarzałe eierpieńie. „Wisz pan co robić,
Naprzód ucho, giemby i nos cza wyskrobić,
Potem do szwicu cza pójść, kompać ze czy

[razy,

Potem świeży powieczy. Na takie rozkazy,
Mówię do Malczy: Spakuj poszczeli i bety,
Icek będzie tu w sklepie, zrób z gęzi kotlety,
Jedziemy na powieczy. — Malczia już pracuje,
Pakuje nas do drogi — bidaczka szwicuje,
Bo to osiem osoby wysłać na powieczy,
To bidny kubity pot po szyi cieczy.

Wreszci wszystko gotowy, jedziemy tramwajem,
Bety poszły na taczki, szcziskamy nawzajem,
Na dworcu, mówię Malczy aby dogładniła,
Aby bachura lub cosz z betów nie zgubiła.
No, chwalicz pana Boga siedzimy już w coupe,
A taki się tam żydów nazbierała kupe,
Że nie można oddychać; wołam konduktora.
Panie, mówię, ja chory, moja żona chora,
A pan nas tu wpakował, jak szledzi do beczi,
Nu, czego pan krzyczysz, czekaj pan chwyleczy,
Znajdę inne coupe, a w tem czuć dzwonienie,
„Fertig, gotów“, jedziemy, już się nie odmieni.

I.

Przygoda z kąpielowy rak.

Ledwie my przyjechali na świeży powieczy,
Zaraz Malczy na płoczy, suszyła na wieczy,
Naszy reisegepeki jak się jedże z dzieci,
To czasem czeba suszyć, państwo rozumiecie,
Chwalicz pana Boga, no! już jesteśmy w Skole,
Mnie już z wielgi uczechy nic w nosze nie

[bole,

Miszle sobie, ej Józin! powieczy kosztuje,
Niechaj Malcza tymczasem mieszkanie rych-

[tuje,

A ty pójdziesz wikompać, zabieram chłopaki
I idę do Oporu. — „A jak tu są raki?“

Zapita mały Ignac, to chłopiec przyścipny,
„Ej, nie bój sze“ odpowiem, „rak nie jest

[zaczyppny,

Jak zobaczy z daleki tak wielki zwirzety,
Zaraz wciękni do dziury“. Ignac mi zachęty

Wcale nie dodał ze swoje wspomnienierakowe,
Lecz od czegoż ja tatku i mam mądre głowe.
„Also gicher bachury, rozbiracz spodenki,
Pozakładać szwimhozy na swe łydki czenki
I do wody bez strachu“. „Niech tatku wlażuje,
Niech tam tatku namaca i dobrze sprobuje,
Czy tam nie ma te raki“ — ha! co było robić,
Udaję odważnego, chciałbym się poskrobić,
A tu śliski kamienie sunie mi z pod nogi
I już leży jak długi, na mokry podłogi,
Chciałem mówić na wody, co to za uczechy,
Pliwam sobie na brzuchu z radości i śmiechy,
Rozkoszuję w mokroszczy i pędzę bachury:
„Anu, kinder do wody, nima rak ni dziury“.
Powłazili chłopaki, zaczynają hece,
Jeden chłapie drugiemu na głowy, na plecy;
Ja sze tylko przewracam i macham z nogami:
To jest kąpiel paradna, to nie szwic z miotłami.
Wtem mię coś uszczypniło, giwałt co się dzieje!
Sam nie wiem co krzyczę: „giwałt! rozbój!
[złodzieje!

Miszle, może szwimhozy kamień zaczepiały,
A tu szczypie wciąż mocniej, z strachu
[skamieniały,

Wiskakuję z wody jakby kamień z procy
I krzyczę w niebogłasy ile mie stać mocy,
A tu chłopcy skrzykniali: „Kik, tatku bidaka,
Złapał na szwimhosen ogromnego raka“.
Łapię z ręką za moje zbolale szedzenie,
A tam czyma rak płótno z wielgi natężenie.

(C. d. n.)

Ciekawość ukarana.

Humoreska.

I.

E. Mayer

Piotr Miotelka był doktorem filozofii, do-
centem na uniwersytecie i majątnym. Był
jednak niezadowolonym ze siebie. Pomyśli
kto, że Piotr był brzydkim, więc nie ma
szczęścia w miłości — przeciwnie, był on
w całym słowa tego znaczeniu młodzieńcem
przystojnym, smukłym, dobrze zbudowanym,
oczy miał piękne, niebieskie, myślące, był
po trosze poetą, co filozofowi, docentowi li-
teratury słowiańskiej wybaczyć można, jakież
jednak był powód jego niezadowolenia ze
siebie? Całkiem błaby, mimo swej mądrości
książkowej i praktycznej czuł się upośledzo-
nym z powodu niskiego pochodzenia. Był
synem kominiarza, oto cały powód jego des-
peracji. — Inni na jego miejscu, synowie
szewców i t. p. „bawiliby się“ w demokra-
tów i nie mieliby żadnych pretensyj do Pana
Boga o swe pochodzenie. Piotr był innym,
już w szkołach do passji go przyprowadzało,
gdy go koledzy — wiedząc, że go to iry-
tuje — „kominiarczukiem“ nazywali. Będąc
synem zamożnego majstra, miał zwykle
„taschengeld“, więc na dziesięciu minutach
kupował biedaczysko tuzinami bułek i zatykał
niemi usta koleżkom. Lecz jak to malcy,

okup wzięli, lecz za to przez cały dzień na-
zywali Piotrusia „hrabczukiem“ by jutro
znów zacząć „ab ovo“.

Zaiste biednym był Piotruś, uczył się
dobrze, miał wszelkie rozrywki, cóż, kiedy
ten „kominiarczyk“ spać mu nie dawał.

Stary ojciec mawiał mu nieraz, gdy się
z płaczem skarżył: „Ucz się jeno Pietrek,
aby z ciebie ludzie byli, a niejeden z tych
„przemądrych osłów“, nie kominy, ale buty
pucować ci będzie“. Refleksje ojca nie po-
cieszały Piotrusia, tem więcej się uczył, zdał
wreszcie chlubnie maturę, przeszedł znako-
micie filozofię, a chociaż koledzy dawno za-
pomnieli, że kiedyś Piotrusia nazywali „ko-
miniarczuk“, był jeden, który tego zapomnieć
nie mógł, a był nim Piotruś sam.

Nieraz kolega jaki zaczepił go w celu „na-
pompowania“ go, Piotruś a wtedy już Piotr,
ostatniego centa oddawał, byle tylko nie narazić
sobie „kochanego“ kolegi i od niego ewen-
tualnie „brudny kominiarczuk“ usłyszeć.

Gryzł się i martwił pan doktor, ale na-
reszcie przyzwyczaił się, widział, że błąd
zaszły przy jego urodzeniu nie da się na-
prawić, roił teraz, aby nauką dojść jak naj-
wyżej i uzyskać tytuł n. p. hrabiego. Widział
jak wszyscy zbliżają się do niego z wyszu-
kaną grzecznością, widział jak jest mile wi-
dzianym gościem w najlepszych towarzy-
stwach; cóż jednak, gdy tej „plamy“ nie
mógł zetrzeć.

Zdarzyło się raz, że na pewnym publicznym
balu poznał pannę Wiktorję, córkę radcy
Krzysztofowskiego, byłego właściciela dóbr,
herbowego szlachcica. Panienska była śliczna,
młodziutka, zwinna jak sarenka, filuterna,
chichotka — słowem, cacko.

(C. d. n.)

Kwadraty humorystyczne.

Myśli wy: Oddaj sroko ser, bo strze-
lam!

Sroka: (polykając) takiego sera się
nie oddaje, bo to z handlu Kajetana
Kopacza, to rarytas taki ementaler, ale
mi mówił stary kruk, ten z dużym no-
sem, że tam jest wyborne wino, może
pan spróbować, bo ja wina nie pijam,
obawiam się o moją płeć.

Kazik: Słuchaj Staszek, przecież ty
się nie uczysz więcej odemnie, a zawsze
masz lepsze klasy.

Staszek: Naturalnie, bo kupuję
wszystkie przybory szkolne w handlu
papieru p. Rutkowskiego, powiadam ci,
takie cudowne! atrament i pióra piszą
celujące zadania, a ołówek i radyrka
rysują wyśmienicie.

Kazik: Muszę też spróbować.

Prenumerata

miejsceowa i zamiejscowa wynosi rocznie 3 zł. 60 ct., półrocznie 1 zł. 80 ct., kwartalnie 90 ct.

Numer pojedynczy 10 centów.

NOWINY STANISŁAWOWSKIE

Czasopismo ekonomiczno-społeczne.

Wychodzi 3 razy na miesiąc, każdego 1., 10. i 20.

Inseraty:

Słowo petitem 1/2 cnt., garmontem 1 cnt., za duże litery oblicza się osobno. — Abonament taniej. — Kwadraty humorystyczne 50 ct. W rubryce „Nadesłane” 10 cnt. od wiersza.

Adres Redakcji i Administracji: ulica Zosina Wola l. 69.

Kalendarz. Niedziela (10.) F. 23. po Św. Poniedziałek (11.) Marcina biskupa. Wtorek (12.) Marcina papieża. Środa (13.) Eugeniusza. Czwartek (14.) Serafina wyz. Piątek (15.) Leopolda wyzn. Sobota (16.) Otmara opata. Niedziela (17.) F. 24. po Św. Stan. Kostki. Poniedziałek (18.) Ottona opata. Wtorek (19.) Elżbiety król. węg.

Od Redakcyi.

„Kurjer Stanisławowski” uczynił całkiem słuszną uwagę, że „Nowiny stanisławowskie” nie mają wspólnego z s. p. „Gazetą stanisławowską”. Za tę wzmiankę jesteśmy wdzięczni „Kurjerowi”. „Nowiny stanisław.” nie mogą mieć nic wspólnego z pismem antysemitycznym którego hasłem było: „Huzia na żydów”. — Pismo nasze trzymać się będzie zasad mniej tendencyjnych, ale za to więcej moralnych.

Nie powiadamy, ażebyśmy byli wielkimi przyjaciółmi żydów, obłuda

jest nam obcą — ale trzymamy się tego zdrowego systemu, że tych, którzy nam nie są zbyt mili nie nienawidzimy ani żganiem zwalczać należy, lecz miłością i dobrem słowem. — Chrystus Pan uczył nas kochać nawet nieprzyjaciół, w imię tej nauki Chrystusowej — „Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem” postępować pragniemy.

Jeżeli żydzi przyjęli szlachetnie w czasach powszechnego ucisku na ziemi Polskiej — po tylu set latach po tylu dobrodziejstwach od nas otrzymanych — wszak u nas tak w pierze porośli — że dziś niemal tubylców z ich ziemi rugują — jeśli dotychczas nie zasymilowali się z resztą krajowców to za to ich chyba kochać nie można. — Wieleby się dało na ten temat powiedzieć — ale ostatecznie niech sobie panowie antysemitów wyobrażają, że do żydów można zastó-

sować tylko system „ausrotten” my spróbujemy czy się nie da z żydów zrobić polaków łagodnością i miłością w imię nauki Chrystusowej.

Nieraz się zdarzy, że w piśmie naszym skarcimy ostro niejednego żyda lub całe żydowstwo — ale niechże w takich razach nie posądzają nas o antysemitizm — nie będziemy wytykać błędów żydom jako wyznawcom religii mojżeszowej lecz całkiem obiektywnie.

Jeśli n. p. ten lub ów jest złodziejem lub szachrajem — to dla tego że jest żydem nie mielibyśmy go przed pręgierz opinii publicznej wystawić? Nie uczynimy tego, czy żyd, czy chrześcijanin jeśli na chłostę zasłuży chłostę otrzyma.

Sprawiedliwością kierować się chcemy a wszystkich obywateli i mieszkańców tego kraju jako braci uważamy, bez względu czy to są polacy,

W czem nasza siła?

(Ciąg dalszy).

Rząd ściągając podatki to więc jest rzeczą naturalną i nieuniknioną, arendarz go wysysa jak pajak — rozpaja, niszczy — a gdy już dla niego użytku nie przedstawia — zagrabia mu wszystko a puściwszy go z torbami mówi: „Ny Wasylu idit do Hameryki do Brezolji — tam dla was szcziście — i jeszcze jako agent towarzystwa dla wychodźców, po raz ostatni na chłopie zarobi. — Ciekawym typem jest taka wiejska pijawka. Jak długo chłop zamożny, kredytuje mu wzbrania się brać pieniądze: „Na szczo majete” powiada „Iwane platyty, albo ja ne znaju kilko chroszi takij czestnyj gazda maje, ne ma nycz pylnoho” tak chłop pije co raz lepiej, co raz więcej, bo nie płacąc zdaje mu się, że tak zawsze będzie — tymczasem Moszko podwójną kredką sąznisty pisze cy-

rograf. Tu i owdzie na przednowku pożycz mu sto reńskich a każe pisać sto pięćdziesiąt licząc jeszcze osobno procent lichwiarski. Gdy już chłopca omotał — powiada — „nu ja wże wam bilsze, borhowaty ne budu — bo wy kapcan”. — „Jak to kapcan!” oburza się chłop „a połe, a konie a korowy?” — „Jaki wy Iwane niecikawy, to wże dawno moje — łysz ja dobryj czołowik ne chozczu sia z wamy po sudach wodoty”. — Idzie Iwan do sądu — żyd tylko na to czekał, zlicytowali chłopca, jego ojcowizna wpadła w żydowskie szpony — żyd go z chałupy może wyrzucić. — Ale Moszko ma dobre serce — „czujete Iwane” powiada „ja dobryj czołowik” ale ja was budu za wokonoma trymaty — i chłop siedzi, bo mu żal rolę ojcowską porzucać. Żyd każdą kurę każde ciele zabiera — wszystko zboże — wszystek nabił — a dla swej mrówki rzuci ledwie ochłapy — by z głodu nie zginął.

Tak chłop stał się obywatelem ale będąc jeszcze w powijakach — jest tylko pszczołą

dla innych miód zbierającą — jest owcą, którą wszyscy strzygą.

Dlatego chłopci tłumnie za Ocean wędrują, ale nie baczni — nie wiedzą, że w ślad za nimi jak dżuma i opiekuńcze plemię Izraela ciągnie.

Może mię kto o antysemitizm posądzi, bo to dziś w modzie, kto tylko dwa słowa o żydach powie lub napisze już jest antysemitą.

Tymczasem tak nie jest — znam żydów niektórych, którzy są najlepszymi obywatelami. Dziwiłbym się nawet bardzo — żydom wioskowym, pod względem oświaty wcale wyżej od chłopów nie stojącym — przewyższający tylko sprytem i żyłką kupiecką tych ostatnich — gdyby z ciemnoty chłopskiej nie korzystali. — W naturze też chytry lis zjada kurę, u ludzi też tak samo ciężka walka o byt czyni, że jedni tuczą się kosztem drugich.

Dlatego nie czynię nawet żydom zarzutu że chłopów wysysają — bo gdyby ten chłop

czy rusini czy wreszcie wyznawcy religii mojżeszowej do jednej z poprzednich narodowości należący.

Jeśli dewizą ś. p. „Gazety stanisl.” było „Weg mit den Juden”, to dewizą naszą jest: „Równość i sprawiedliwość ze wszystkimi i dla wszystkich”.

HOLD SMOLCE.

Dnia 5. Listopada odbył się we Lwowie wspaniały obchód 50-letniej rocznicy odczytania wyroku śmierci Franciszkowi Smolce i 85. rocznicy jego urodzin. — O godz. 10. zgromadziło się w ratuszu przeszło tysiąc osób — były to deputacje, cechy, władze autonomiczne i t. d. — Z kraju przybyło około 150 deputacji. — Niektórzy mieszczaństwo pojawili się w strojach narodowych.

O godz. 11. z „Harmoni” na czele ruszył pochód ku katedrze. — Mszę odprawił ks. infułat Mazurak podczas której „Lutnia” śpiewała.

Następnie ruszył pochód ku Strzelnicy. U wejścia powitał jubilatata król kurkowy p. Krzysztof Janowicz — krótką a podniosłą mową. W głównej sali na Strzelnicy odbył się właściwy obchód. Poseł Michalski po stosownej mowie wręczył Smolce imieniem mieszczan lwowskich i Tow. strzeleckiego, pergaminowy dyplom. — Dyplom imieniem Wydziału kraj. złożyli Romanowicz i Wereszczyński zaś dr. Marchwicki złoty medal wybity na jego cześć. — Nadeszło kilkaset telegramów z kraju i zagranicę.

Minister skarbu Biliński.

Tegoroczne ekspozé, t. j. przedstawienie budżetu ministra skarbu p. Bilińskiego zrobiło powszechnie dobre wrażenie. Powodem

zadowolenia nie był sam budżet na r. 1896. Budżet ten albowiem w porównaniu z dawniejszymi jest daleko mniej korzystny. Cała nadwyżka wynosi zaledwie kilkakroćstosięcy, co w budżecie, którego wysokość dosięga 622 milionów poczytywane i uważane być może za drobnostkę.

Nie stan tedy budżetu, bliski już bardzo niedoboru, wywołał ukontentowanie, ale raczej poglądy i zasady, przez p. Bilińskiego wypowiedziane, nie mniej też te reformy, które zapowiedział.

P. Biliński oświadcza dalej, że w obec wzrastających dochodów, potrzebne jest podwyższenie podatków, a równocześnie ma tę odwagę, że zapowiada podwyższenie podatków od kapitałów, czyli od giełdy.

Drugą ważną rzecz powiedział p. Biliński, a mianowicie, że myśli on wreszcie szczerze i na prawdę zająć się podwyższeniem i uregulowaniem płac urzędników, ale nie tylko urzędników, ale też wszystkich „sług rządowych” a więc woźnych, pisarzy, dozorców więziennych i innych dzisiaj na łaskę i niełaskę swoich przełożonych zdanych pracowników. Byłoby to coś podobnego, jak już p. Biliński zrobił przy kolejach z sługami kolejowymi. Minister skarbu zapowiedział z góry, że to mógłby wykonać tylko w tym wypadku, jeżeli mu parlament dostarczy potrzebnych na to funduszy. Że parlament tego ministrowi skarbu nie odmówi jest rzeczą pewną, gdyż wszystkie stronnictwa zgodziły się dawno na to, że poprawa losu urzędników jest konieczną.

Wreszcie jeszcze jedną ważną rzecz zapowiedział nowy minister skarbu, a mianowicie, że gotów jest skasować „loteryę liczbową”, ale także pod tym warunkiem, jeżeli parlament zgodzi się na ustanowienie innego źródła dochodu, któreby pokryło ubytek tych milionów, które dziś wpływają do skarbu państwa z loteryi.

Nie ulega wątpliwości że i na ten projekt parlament się zgodzi, a więc nareszcie loterya zniesiona zostanie.

G. J.

Kapiele.

Już w dawnych wiekach wiadano dobrze, że hygiena wymaga, ażeby człowiek ciało swe w czystości utrzymywał. Świadczą o tem terminy rzymskie i łaznie greckie. I dzisiaj na Wschodzie niemal w każdym domu znajdują się łaźnie. U nas jest zwyczajem kąpać niemowlęta w wanienkach, gdy jednak dzieciak podrośnie przestaje się go kąpać. — Ludzie dojrzały kąpią się gdy jest w miejscu rzeka lub staw, parę razy w roku i na tem koniec. — niektórzy kąpią się czasem w wannach, a zwolennicy parni chodzą się parzyć.

Nie znamy przyczyny dla której tak mało u nas o czystości dba ludność. Sądę jednak że winien tu jest też nie mało brak należyte urządzonej kąpieli. Mamy wprawdzie coś dwie łaźnie ale te jako żydowskie nie mogą być tak czyste jak chrześcijańskie, bo żydzi znani są z niechlujstwa.

Jeśli Kołomyja od lat wielu ma chrześcijańską kąpiel znakomicie się rentującą a nawet o wiele mniejszy Stryj ma bardzo porządną chrześcijańską kąpiel — nie rozumiem dlaczego u nas nie mógł znaleźć jakiś majątny mieszczanin, któryby się tem zajął a żeby na tem znakomity zrobił interes za to mu ręczyć możemy. Wszak teraz nie jeden czeka tylko okazji ażeby podczas pobytu we Lwowie tam się porządnie wykapać. Wszyscy tacy kąpaliby się tu, gdyby tylko było gdzie — a mamy nadzieję, że pomału przyzwyczailiby się wszyscy do kąpieli a co za tem idzie i zdrowotność u nas by się podniosła.

Dlatego apelujemy do naszych mieszczan by się nad tą sprawą zastanowili a czy pojedynczy, czy spółka pewnie nie pożąłują.

był mądrzejszym sam by się tych opiekunów pozbył.

Nie bez winy niestety są i niektórzy księża.

Na szczęście znaczna większość, pojmując należycie szczytne obowiązki kapłana godnie je sprawuje. Są oni prawdziwymi pasterzami swych owieczek, tacy kapłani koją smutki i boleści — wzmacniają ducha — pokrzepiają moralnie — oni są błogosławieństwem dla ludu. Niestety nie wszyscy ich śladem kroczą, jedni poświęcając się stanowi duchownemu — tylko dla chleba go wybrali a nie mają poświęcenia — za rzemiosło i źródło dochodów stan ten uważają, tacy zamiast szerzyć światło i pobożność, demoralizują lud.

Niejednego po części tłómaczą lichy dochody — tak, że gdyby sam się o powiększenie takowych nie starał — musiałby gorzej czasem od chłopów biedować.

Tyczy się to głównie księży ruskich. Oni to często liczną obarczeni rodziną, wszystkie siły i myśli w jednym wyczerpują kierunku,

mianowicie troską o chleb powszedni. — Nie można nawet zbyt winić takiego księdza, gdy siedząc na lichej parafii z liczną, rodziną, którą wyżywić i wykształcenie dać trzeba, zaniedbując nieraz obowiązki względem ludu, tylko o korzyści materialnej myśli. — Tacy choćby w innych warunkach najlepszymi byli pasterzami — za chrzty, śluby i pogrzeby niemilosierdzie zdzierają, ratując się w ten sposób przed nędzą.

Ksiądz taki nie może dodatnio na lud działać, bo ten w nim zamiast ojca duchownego — widzi niemal spekulanta i wyzyskiwacza — stawia go więc na równi z urzędnikiem podatki ściągającym — no a tych to chyba lud nie bardzo lubi. — Mowa tu była o księżach zmuszonych stosunkami, do spychania swych obowiązków na plan drugi.

Cóż jednak powiedzieć o takich, którzy nie pomnąc na swój stan i suknię kapłana, z Moszkiem lichwiarzem idą w zawody i z swych parafian — grosz krwawo zapracowany wyduszają?

Sporadycznie można usłyszeć lub przeczytać — że taki ksiądz niesumienny — tak długo zwłok niepochowa aż mu biedna wdowa — sprzedawszy ostatnią krowę — przez niego nałożonego haraczku nie zapłaci. Wypadki takie bywają nieraz przyczyną niemoralnych ze względu na fakt rozpraw sądowych — bo choć chłop nasz długo jest cierpliwy i długo ucisk znosi — ale czasem i on gdy mu już za wiele — o swe prawa upomnieć się umie.

O księżach w politykę się bawiących (lub jak osławiony ks. Stojalowski) sieją waści i niezgodę — uważają chłopów jako podatny i łatwy do obalamucenia materiał, uważając go jako środek do dopięcia swych ambitnych planów — lepiej nie wspominać. Bo miejsce księdza jest na ambonie, przy ołtarzu, przy łożu konającego — ale gdy chce być politykiem i to kosztem obalamucenia ludu — na złej jest drodze.

Niech raczej adwokatowi i innym ziemskie zaszczyty zostawi a sam niech pilnuje winnicy

Pannie E. C.

Gdy Adam z Ewą był w raju
Wśród róż — wiecznego maju,
Ptaszęta im śpiewały
I pięknym był świat cały.

Ale Ewa matka ludzi
Kiedy się rano budzi,
Udaje smutek — o! pusta
Adam całuje w usta.

Zbyt słodka dla niej pokusa
Ewa pragnie całusa,
Co Adam całusa skradnie
To róża wonna spadnie.

I dzisiaj jeśli dziewczynę
Chłopak w ustek malinę
Całuje róża opada
Wtedy dziewczynie biada!

A jednak życzę Ci pani
Aby dla Ciebie w dani
Kiedy świat piękny cały
Róże setkami spadały.

E. W. S.

Kronika.

Pamiętajmy o „Fundacji Kościuszki“, Oświacie ludu, Wawelu, Cieszyńie i t. d.

— Walne Zgromadzenie Towarzystwa muzycznego imienia Moniuszki odbyło się w niedzielę dnia 3. b. m. w lokalnościach Towarzystwa.

Przebieg Walnego Zgromadzenia był wcale ożywiony — co świadczy zainteresowaniem się członków dobrem Towarzystwa.

Po udzieleniu absolutorium ustępującemu Wydziałowi — wybrano nowy Wydział, który mimo żywej agitacji prawie zupełnie wyszedł z dawniejszego. Nie podajemy listy Wydziału, bo są to osoby powszechnie znane.

— **Nekrologia:** Honorata z Emilewiczów Szargowa, żona profesora gimnazjalnego zmarła w mieście naszym w 28 roku życia.

— **Zaduszki.** Mimo ulewy dnia poprzedniego wypogodziło się w dzień Wszystkich Świętych. — Tłumy Publiczności wyległy na cmentarz — ażeby oświecać groby swych drogich zmarłych. Przysnąć trzeba z uznaniem, że nie było żadnej nadzwyczajnej wystawności — wszystko było pięknie ale skromnie, chwała Bogu!

Patryotyczna młodzież jak co roku ozdobiła groby zasłużonych alegorycznymi obrazami i odśpiewała pieśni patryotyczne.

— **Kradzież.** Sympatyczny dyrektor teatru p. Myszkowski padł ofiarą kradzieży. W biały dzień bezczelny złodziej wykradł mu z pod poduszki żelazną kasetkę z kwotą tysiąc dwieście złr.

Znaczną to stratą, zwłaszcza dla człowieka, który gorliwie i uczciwie pracuje — a długo pracować musi niż taką sumkę uszkłada.

Powszechnie współczucie niech p. M. przynajmniej w części wynagrodzi tę stratę.

— **Na stanowisku.** Kurjer stryjski donosi. Dnia 29. października o g. 3 w nocy wybuchł pożar w kamienicy p. Steifa przy ul. Lwowskiej. Ponieważ dom Steifa jest oparkaniony, straż pod komendą Gebła rzuciła się i w mgnieniu oka zniosła tę zaporę, poczem dopiero przybory ratunkowe wtoczono na podwórze i rozpoczęto akcję. Pożar powstał na pierwszym piętrze z powodu zapalenia się wapna, które trzymane w komórce. Część straży zajęła się ratunkiem na górze, zaś Gebel objął parter i tu pracował z całem zaparciem się i poświęceniem. Dzielnym ten człowiek padł ofiarą swego zawodu, jak żołnierz na stanowisku: prawdopodobnie wskutek wyziewów wapna tknięty został apopleksją i padł trupem na miejscu. Rzucono się natychmiast na ratunek, posłano po lekarzy, ale wszystko było zapóźno. Przybyły dr. Lippelt, któremu należy się prawdziwe uznanie za gotowość niesienia pomocy, jaką okazał w tym wypadku mimo tak spóźnionej pory, skontaktował już tylko śmierć. Zmarły Ge-

bel był jednym z najdzielniejszych pompiarów, o czem zresztą świadczy tragiczny jego koniec. Spodziewamy się, że Magistrat uzna, że nieszczęśliwy ten człowiek zginął w służbie i zabezpieczy wdowie i dzieciom jego przyszłość.

— **W Stryju** ostatni wieczorek kasyna ruskiego wypadł bardzo niepomysłnie. Brak sił inteligentnych, które wystąpiły dlatego, że kasyno zaczęło się bawić polityką, dał się teraz odczuć w dotkliwy sposób.

— **O przeniesieniu serca Tadeusza Kościuszki.** Kaplica zamkowa w której spoczęło serce wodza w sukmanie, otrzyma grobowiec ze składek publicznych co nastąpić ma w ciągu niespełna roku. Urna z sercem złożonem tam lat 82 temu, znajdowała się w dobrym stanie. Na wniosek znakomitego uczonego naszego, dra Laskowskiego, otworzono ją dla zastosowania środków mogących zabezpieczyć serce, tę relikwię narodową, na czas możliwie najdłuższy. Tak się też stało. Nasze wnuki, prawnuki i praprawnuki, dostaną serce tego co Polskę najgoręcej kochał i drogę postępowania wskazał w przyszłości!

— **Żegota Pauli,** jeden z najznakomitszych uczonych polskich, autor „Pieśni ludu polskiego w Galicyi“, zmarł w Krakowie w 81. roku życia.

— **Noc pomiędzy wilkami.** Czerniowiecka „Gazeta Polska“ donosi: Ubiegłego tygodnia jeden z gajowych szedł późnym wieczorem przy blasku księżyca przez las w rewirze Franztahl, kiedy nagle ujrzał przed sobą 4 wilki. Nie tracąc odwagi, strzelił do nich dwukrotnie. Po pierwszym strzale bestye poczęły uciekać, gdy jednak drugi strzał ranił jednego, pozostałe 3 wilki zawróciły i rzuciły się na strzelca. Ten miał jeszcze tyle czasu, aby wdrapać się na gałęzie wysokiego drzewa. Wilki otoczyły drzewo i zjadale skakały ku górze, aby osiągnąć ofiarę, co im się jednak nie powiodło. Pozostały jednak na straży przez całą noc i dopiero ze świtem zniknęły w gąszczu. Gajowy, pełen trwogi, zsunął się na ziemię i pospiesznie wrócił do domu. Lecz tu dopiero okazały się fatalne następstwa przestachu; nieszczęśliwy posiał zupełnie i stracił mowę, której dotychczas nie odzyskał.

pańskiej.—Taki ks. (Stojalowski) choćby miał najlepsze zasady, choćby całkiem niesłusznie był przez kler potępiany — tem samem, że korzystając ze swego stanu, działa na lud by sam wypłynął na szerszą widownię — tem samem jest działaczem złym — dla ludu wprost szkodliwym. — „Schuster bleib bei deinem Leisten“ powiada przysłowie — ty księżu wykonuj swe obowiązki kapłańskie lub zrzuć szaty poświęcone i zostań politykiem — tylko kogobyś wtedy bałamucił?

Na szczęście takich złych księży jest bardzo mało. Są jeszcze inne przyczyny dla czego lud nasz w nędzy i ciemnocie pogrążony nie tak łatwo uzdrowionym być może. Nieszczęsna wódka! ta woda ognista, która wyniszczyła całe hordy i plemiona bitnych ludów indyjskich — tak, że dziś ledwie skarłowaciałe szczątki tych dzielnych synów puszczy zostały — ta sama wódka i nasz lud niszczy fizycznie i moralnie i do bydła go zbliża.

Wódka ten napój piekielny, podrabiany

przez niesumiennych szynkarzy — dziesiątkuje chłopów — bo choć ich od razu nie zabija — czyni z nich w dalszych pokoleniach kretnów, wynędzniałych, bezmyślnych idiotów, dowodem tego pobór wojskowy — który w Galicyi najmniejszego w stosunku do liczby mieszkańców dostarcza kontyngensu i to niedorosłych do miary, wychudłych i bezsilnych.

Chłop przez wszystkich wyzyskiwany, w wódce szuka pociechy, chwilowego oszołomienia — uniwersalnego lekarstwa.

Jak jednak ta pocieszycielka mści się umie na potomstwie nieszczęśliwego chłopca dość przeglądać wykazy statystyczne fizyków przy starostwach, ile w każdej okolicy jest kretnów i idiotów. — Gdybym się chciał dłużej na temat biedy chłopskiej rozwódzić — ramy tego artykułu znacznie musiałbym rozszerzyć. — Dlatego przejdę do mieszczań — wprzód jednak specjalnie zajmę się sprawą robotników z którą ściśle socjalizm czasów dzisiejszych jest związanym.

Robotników polskich mamy już sporą falangę. — Myliłby się jednak, ktoby sądził, że to przemysł polski ich zatrudnia. Takich jest jeszcze niestety bardzo mało. Główny kontyngens robotników wytwarza kolej żelazna. — W czasach dzisiejszych gdy ziemia przedstawia się jak kula gęstą siecią dróg żelaznych odrutowana — i u nas z dniem każdym sieć kolei coraz się staje gęściejszą. Kolej żelazna zatrudnia w swych warsztatach wielką ilość robotników. — Robotnicy ci stosunkowo dobrze są wynagradzani a przy pilności — mają być zapewniony i mogą przywozić siebie i swe rodziny wyżywić. — Robotnicy jednak są wiecznym fermentem, żywiołem niespokojnym — skorym do strejków i na lada podszept, swych zagranicznych kolegów gotowi do popełnienia bezmyślnych awantur. — Pojęcie socjalizmu wcale nie jest nowem — żaden Marks ani Bebel socjalizmu nie wynalazł.

C. d. n.

Teatr, literatura i sztuka.

Dnia 2. b. m. odegrano „Robak sumienia“ utwór dramatyczny z śpiewkami i tańcami z życia ludu tyrolskiego.

Rzecz cała nie przedstawia wielkiej wartości — sytuację ratuje świetna gra artystów — wszyscy grali wybornie — najliepiej sam dyrektor, Lizka i czarny charakter. Publiczności było wyjątkowo bardzo mało — ze względu na dzień zaduszny.

Dnia 3. b. m. odegrano wesołą farsę — niestrudzonego w pisaniu utworów dramatycznych p. Danielewskiego: „Pięć cór na na wydaniu“. I ta sztuka nie wielką wartość posiada, ale jako bomba pełna humoru bawi publiczność i ciągle do śmiechu pobudza. — Zwłaszcza śpiewka o Feli bardzo się podobała. Wybornym „gogiem“ był p. Danielewski jest to artysta inteligentny jak rzadko — władający kilkoma językami — dlatego tłumaczyć może z łatwością obce utwory. Pan Danielewski i jako artysta i jako pisarz jest znakomitością każdej scenie zaszczyt przynosić mogący.

Pani Bronikowska, ulubienica, naszej publiczności ślicznie wyglądająca w roli podłotka — była jak zwykle „great attraction“ przedstawienia.

Na uznanie zasługuje gra Samca, p. Jednowski, który się z swej roli wybornie wywiązał.

Dnia 5 b. m. odegrano ostatni raz w tym sezonie na ogólne żądanie po raz trzeci „Szttygar.“

Dnia 7. b. m. odegrano wesołą operetkę Lecoqua, Girofla-Girofle, rzec można koncertowo. — P. Myszkowski jako Mourzuk był nieporównanym — p. Bronikowska jako Girofla-Girofle o wdzięcznej postaci, grała i śpiewała jak zwykle umiejętnie i pięknie.

Na pierwszy plan wybił się swą wyborną grą p. Nynkowski w roli Don Bolera. Młody ten artysta pięknie rokuje nadzieje.

Pan Recki jest wcale dobrym artystą, ale nie zawsze w stosownych dla swego głosu występuje rolach. — I tak ten sam artysta, który się nam bardzo podobał jako Parrys w „Helenie“ i sierżant w „Lekkiej kawalerii“ — w tej sztuce mniejsze zrobił wrażenie. Reszta z swych ról wywiązała się ku powszechnemu zadowoleniu. Wystawa była jak zwykle staranna a bogactwo kostymów wprost nas zadziwia na scenie prowincjonalnej — niesubwencjonowanej tak jak na to ze wszech miar zasługuje.

W sobotę po raz drugi Girofla-Girofle, na docbód p. Kazimierzy Bronikowskiej.

W Stryju bawi obecnie wcale dobra trupa Winiarskiego. Dawano z powodzeniem „Oj! mężczyźni, mężczyźni“, „Zemsta“, „Grube ryby“ i „Nieboszczyk w kłopotach“.

Praca Ks. dra Zoellera. Nakładem drukarni A. Müllera Syna w Stryju opuściło prasę dzieło Ks. Karola Zoellera, katechety tutejszego gimnazjum, pt. „Dlaczego Pan Tadeusz jest arecydziełem?“

Kwadraty humorystyczne.

A: Wyobraź sobie jaki mam fenomenalny kapelusz, wczoraj spadła mi na głowę z dwupiętrowej kamienicy cegła, rozbiła się na moim kapeluszu i w kawałkach odleciała a kapelusz nawet połysku nie stracił.

B: Cóż to znowu za blaga?

A: Żadna blaga, patrz na firmę Marcin Müller Halicka.

Dlaczego pan się nigdy nie pocisz a mnie to już do rozpacy przyprawia?

Jaki pan niepraktyczny, ubierz się pan w Jägera a nigdy się pan pocieć nie będziesz, tylko uprzedzam pana, że jedynie oryginalny i skuteczny nabyć można w magazynie Schayerów, Karola Ludwika 3.

Wyciąg z rozkładu jazdy

c. k. austriackich kolei państwowych, ważny od 1. maja 1895 r.

Podług zegaru miejskiego.

Przychodzą ze Lwowa:

Pociąg pociąg	10 g 4 m rano
osobowy	7 „ 4 „ wieczór
„	3 „ 2 „ w nocy
„	3 „ 20 „ po poł.

Odechodzą do Lwowa:

Pociąg pociąg	7 g 5 m wieczór
osobowy	10 „ 5 „ rano
„	3 „ 3 „ w nocy
„	2 „ 37 „ po poł.

Przychodzą z Czerniowiec:

Pociąg pociąg	6 g 40 m po poł.
osobowy	9 „ 49 „ rano
„	2 „ 38 „ w nocy
„	2 „ 17 „ po poł.

Odechodzą do Czerniowiec:

Pociąg pociąg	10 g 14 m rano
osobowy	7 „ 30 „ wieczór
„	3 „ 27 „ w nocy
„	3 „ 40 „ po poł.

Przychodzą ze Stryja:

Pociąg pociąg	9 g 36 m rano
osobowy	2 „ 33 „ w nocy
„	3 „ 30 „ po poł.

Odechodzą do Stryja:

Pociąg pociąg	7 g 18 m wieczór
osobowy	8 „ 38 „ rano
„	3 „ 13 „ w nocy

Przychodzą z Husiatyna:

Pociąg pociąg	7 g 52 m rano
osobowy	6 „ 27 „ po poł.
„	2 „ 28 „ w nocy

Odechodzą do Husiatyna:

Pociąg pociąg	10 g 28 m rano
osobowy	7 „ 46 „ wieczór
„	3 „ 48 „ w nocy

Przychodzą z Woronienki:

Pociąg pociąg	9 g 27 m rano
osobowy	6 „ 47 „ wieczór

Odechodzą do Woronienki:

Pociąg pociąg	10 g 19 m rano
osobowy	7 „ 40 „ po poł.

Artykuły w rubryce „Nadesłane“ nie pochodzą od redakcyi, która też za nie odpowiedzialności nie przyjmuje.

N A D E S Ł A N E.

Kupię sto flaszek na wino.

Zgłoszenia pod „Flaszką“ poste-restante

Karol Zajaczkowski

jubiler i złotnik w Stanisławowie

Główny skład

towarów jubilerskich i złotniczych

ZEGARKÓW DAMSKICH I MĘSKICH.

Wielki wybór pierścionków zaręczynowych i obrączek ślubnych.

Przyjmuje reparacje wchodzące w zakres złotnictwa i zegarmistrzostwa,

repcząc za dokładne i tanie wykonanie.

Hauptstädtische Wechselstube-Gesellschaft

Adler & Comp.

daje losy w ratach miesięcznych płatne, pod najlepszymi warunkami. — Zastępstwo w Stanisławowie. — Wiadomość w Redakcyi.

Kupuję

ptaki dzikie do wypychania, świeżo zabite nieuszkodzone widocznie i krwią niepowalane. Także i rzadsze zwierzęta oraz i rogi jelenie, sarnie i t. p.

Zgłoszenia pod „Ptaki“ poste-restante.

Sztuczne kwiaty

z jedwabiu, atlasu, pluszu i t. d.

po cenach najumiarkowańszych, robione na sposób warszawski, są do nabycia. — Bliższy adres w handlu W. Filausa.

Przewodnik po Stanisławowie.

Przedsiębiorstwa budowlane.

Jan Szporek inżynier ulica Gołuchowskiego.

M. Schloss inżynier ul. Kazimierzowska.

Dom bankowy.

Kornblüh i Kaner ul. Karpińskiego.

Fabryka worków papierowych.

J. Dankiewicz ul. Kazimierzowska.

Restauracje.

Michalski ul. Sobieskiego.

F. Ganz ul. Kościuszki.

Königsfeld ul. Sapieżyńska.

Mleczarnia.

E. Herkoperec ulica Trzeciego Maja.

Cukiernie.

Ertel, Kazimierzowska.

Czerwiński ul. Sapieżyńska.

Zbigeni ul. Sobieskiego.

Handle korzenne.

Kajetan Kopacz ulica Karpińskiego.

Adolf Gurawski ulica Karpińskiego.

Kuryłowicz i Surmaczewski gmach Dyrekcyi

Kwiatkowski ul. Sapieżyńska.

Magazyn bławatny.

Karol Piskorz ul. Sapieżyńska.

Magazyn galanterijny.

Wilhelm Filous ul. Sapieżyńska.

Handle papieru.

Leon Wojs ul. Karpińskiego.

Stanisław Rutkowski ul. Sapieżyńska.

Magazyn mód.

Celestyna Smutna ul. Sapieżyńska.

Drukarnie.

J. Dankiewicz ul. Kazimierzowska.

St. Chowaniec ulica Belwederska.

Zegarmistrz.

K. Zajaczkowski ulica Karpińskiego.

Handel żelaza.

K. Hauswald ul. Sapieżyńska.

Apteki.

A. Amirowicz ul. Karpińskiego.

Macura ul. Karpińskiego

Beila Rynek.

Fryzery.

Jan Górecki ul. Sapieżyńska.

Zygmunt Kostyanowicz obok cerkwi katedr.

Rękawicznik.

L. Lipowski ul. Sapieżyńska.

W rubryce tej płaci się 10 ct. od wiersza, rocznie 3 złr.

DODATEK LITERACKI

do Nr. 2. „Nowin Stanisławowskich”

z dnia 10. listopada 1895.

CÓRA WOJEWODY

POWIEŚĆ

(Ciąg dalszy)

„A nie gniewaj się na mnie żem twym rywalem” dodał Roman ale to rzecz ludzka teraz bywaj mi zdrów a namyśl się dobrze co masz uczynić abyś głupstwa nie strzelił i, pamiętaj zawsze ile zawdzięczasz wojewodzie.

— To mówiąc wyszedł Roman a Aleksy został ze swymi myślami.

— Pamiętać mam ilem winien wojewodzie, to prawda życie i wolność, naukę i wszystko co posiadam zawdzięczam jemu, a jednak myślę nad tem by go zdradzić, ha! trudno, stało się już się nie odmieni, tajemnie przystałem do Chmiela, wiem, że zdradzając swoich a zwłaszcza wojewodę mego dobroczyńcę postępuję haniebnie, podle a jednak na wszystko się odważę byle ją przez to pozyskać. W tem otworzyły się lekko drzwi i powiewna postać lekko wbiegła do sali.

Była to Bronia, w szlafroczek odziana, światło kaganka jeszcze jej krasę dodawało. Nagłe to zjawienie się kochanej dziewczyny i jej niezwykła piękność do reszty oślepiły chłopaka.

— Ty tu Aleksy a tam tatko rozkazy wydaje i pewnie za tobą się pyta.

On przykląkł wziął jej jedyną rączkę wycisnął na niej pocałunek i rzekł:

— Najdroższa! do chwili obecnej niewiedziałś nawet żem śmiał me oczy podnieść na ciebie, teraz nadeszła chwila w której po raz pierwszy a zdaje się i ostatni wszystko musisz usłyszeć, ja cię kocham, słyszysz moja najdroższa Broniu, kocham cię tak jak cię nikt kochać nie zdoła, masz mnie w swej mocy, jeśli zechcesz zwyciężymy nawet Chmielnickiego, moja w tem już głowa, jeśli mnie odtrącis zamek ten padnie w gruzy. Chmiel zwycięży a ty będziesz dla mnie nagrodą za zdradę.

— Wstań! zapominasz do kogo mówisz — jestem córką wojewody, zdradą mnie straszysz, nie tędy droga do mojego serca, gdyby nawet serce było wolne, tylko z wolnego wyboru pokochałbym mogła, lecz nie za cenę ocalenia lub pod groźbą zdrady, to mówiąc z dumnie podniesioną głową nieodrodna córa dumnego wojewody wyszła z komnaty.

— Żłem się wziął do dzieła pomyślał Aleksy i cóż mi teraz pozostaje jeśli nie zdrada, ak jeśli w otwarty sposób nie mogę jej po-

zyskać, będę ją mieć kosztem upodlenia. Nie mam czasu do stracenia muszę umykać, gotowa jeszcze ojcu donieść co uczynić zamierzam. Ledwie ta myśl przeszła mu przez głowę gdy czele zbrojnego oddziału wszedł brat jego rodzony i rzekł:

- Aleksandrze jesteś aresztowany.
- Aleksy zbladł i wybełkotał: „dlaczego?”
- Jesteś oskarżony o zdradę i znową z wrogiem.
- Przez kogo.
- Sam Broni mówiłeś.
- To w żarcie chciałem ją nastraszyć.
- Za ten żart odpokotujesz w więzy, w czasach wojennych trzeba być ostrożnym.
- I ty brat rodzony mnie aresztujesz.
- Teraz jestem w służbie i słucham rozkazów chodź zamną i wyszli.

III. Obłężenie.

Wojewoda polecił Romanowi wzięść poczet ludzi co najdzielniejszych i odwiedzić Broni do ciotki kasztelanowej. Tymczasem zaledwie Roman począł się do drogi szykować zbliżył się do zamku oddział Semenów, donosząc że reszta dąży za nimi bo Chmielnicki z wojskiem już na nich napiera. W obec tego nie można już było myśleć o wyprawieniu Broni z zamku, lecz zdać się zupełnie na łaskę Bożą. Wkrótce i reszta przysłej załogi nadciągnęła a w godzinę po nich z daleka jak oko sięgnąć mogło nieprzejrzana chmura wrogów ławicą w kierunku zamku ciągnęła. Przybywszy pod zamek i rozłożywszy się taborem, wysłał Chmielnicki posła do zamku z oznajmieniem, że jeśli wojewoda zamek odda, wolno będzie załodze wraz z bronią wyjść, w przeciwnym zaś razie obiecywał zrównać zamek z ziemią a załogę w pień wyciąć.

Wojewoda odpowiedział, że przy Boskiej pomocy i nadechodzących wojskach koronnych zdoła zamek obronić. Usłyszawszy taką odpowiedź zaśmiał się tylko Chmielnicki, wiedząc, że wojska koronne przed wiosną na wojnę nie wyruszą.

Zaraz więc tatarzy z piekielnym wraskiem poczęli jak psy łańcuchowe zamek oblatywać chmury strzał wypuszczając, więcej robiąc wrzawy niż szkody, bo mury zamku mogły śmiało kule działowe wytrzymać więc strzały tatarskie jak groch odskakiwały, przeciwnie załoga urządziła sobie zabawę i co który tatar się zbliżył strzelała jak do kaczek, niejednego trupem kładąc. Spostrzegli się wreszcie tatarzy że są na celne strzały wystawieni sami szkody nie czyniąc, więc cofnęli się do swego taboru wyjąc jak stada zgłodnia-

łych wilków. Chmielnicki wiedział, że mimo tak wielkiej masy oblegających nie tak łatwo mu przyjdzie warowny zamek zdobyć, zwłaszcza, że Tatarzy jako jezdni wcale się do oblężenia przydać nie mogli a użyci jako piechota, ani się należycie obracać nie umieli ani odwagi nie posiadali takiej jak na koniu. Dale kozackie wojsko Chmielnickiego nawet na nazwę wojska nie zasługiwało, była to bowiem zbieranina łotrów powyganianych ze wszystkich stron świata, a ktoby sądził, że sami rusini do kozaków należeli, myliłby się bardzo, wprawdzie większość była rusinów, ale obok nich było wielu polaków, moskali, a nie rzadko Niemców a nawet francuzów. Byli to ludzie którzy w swych ojczyznach na złej stopie stali z prawem, lub wprost wygnani więźnie, złodzieje, prapalacze, mordercy. Takim ludziom w sam raz smakowała służba niekarna w gromadach Chmielnickiego, paląc, rabując i mordując byli w swym żywiole zresztą innych nadzieja łatwych zysków i zdobyczy popehnęła w buntownicze szeregi, co kto zrabował, co złupił, stawało się jego własnością.

Wojska w prawdziwym tego słowa znaczenia miał Chmielnicki bardzo mało, byli to żołnierze którzy za jakieś przewinienia, rzadziej z przekonania z wojsk polskich a raczej z sotni kozackich do buntowników pouciekali.

W namiocie odznaczającym się większą okazałością i znacznie większym, sporządzonym z grubych skór łosich wojłokami i baranicami obrzuconym przy potężnym ognisku siedł Chmielnicki z miną dumną jakby czuł, że w chwili obecnej jest najważniejszą na kresach osobą. Wodza otoczyła rada przyboczna i starszyzna kołem, czekając co powie Bohdan. Chmielnicki przemówił do nich w języku małoruskim w te mniej więcej słowa:

Panowie Rada i starsi! sprosiłem was tutaj by się naradzić nad sposobem obłężenia i jakby w najłatwiejszy sposób zamek zdobyć. Że go zdobyć musimy nim dalej pójdziemy to wszyscy dobrze rozumiecie, w razie klęski nie mielibyśmy swobodnego odwrotu bo dostalibyśmy się w dwa ognie, a w razie bitwy załoga zamku mogłaby nam tyły zająć i klęskę spowodować. Dlatego to zamek ten zdobyć musimy, posłałem po Tuhaj beja, powinien w krótko nadejść. Muszę się zwami jeszcze z jedną ważną nowiną podzielić. Oto w zamku wychował wojewoda dwóch potomków starej ruskiej szlachty, których chłopcami odbił Tatarów. Obaj oni kochają się na zabój w pięknej jedynaczce wojewody. Starszy Roman stracony dla nas, panna mu jest wzajemną, więc trzyma się jej fartuska, za to młodszy Aleksy mniej szczęśliwy w miłości nie mając innego sposobu chce ją gwałtem porwać.

— Sam tego dokonać nie może, otóż był u mnie i chce za cenę panny, zdradzić nam tajemne przejście do zamku podziemnymi lochami. Myślę, że mu pannę dać możemy, nie wiele biedaczysko żąda.

Dać mu damy pannę rzeczy stary assaula, zwłaszcza że nas to nie nie kosztuje, ale przecież żal mi nieboraka, że się tak zadurzył, że nie dba o honor, gotów zdradzić dobroczyńcę swego i swoich byle ją dostać. W tem wszedł mały, brudny chłopak tatarski a zapytany z czem przychodzi skłonił się trzykroć do ziemi i rzekł:

— Pan mój najjaśniejszy, niech mu Allah da zdrowie han Tatarów każe odpowiedzieć księciu ruskiemu, że nie przyjdzie, ponieważ droga jest jednakowa dla obojga a ten ma przyjść co ma sprawę.

— Wyrzucić mi tego psa parszywego zawołał Chmielnicki albo nie, poczekaj możesz mi być potrzebnym Dmytrze, weź go do siebie i trzymaj pod strażą. Po tych słowach wyszedł przyboeczny sługa Chmielnickiego wraz z małym tatarzem.

— Patrzcieno panowie jakie to tatarskie ścięstwo harde, pewnie się ożłopał swem kobylem mlekiem i zamroczyło mu mózgowicę, ale czekaj psie niewierny, bądźiesz ty jeszcze tańczyć jak ja ci zagram. Mam zamiar ten młody psi pomiot wysłać na przespiegi do zamku, bo mnie niepokoi że Aleksandra jeszcze tu niema, może się rozmyślił, trzeba by to wymiarkować, od zdrady Aleksego bardzo wiele zależy, zamek jest mocny nie tak łatwo przyjdzie nam go zdobyć, inna rzecz gdy nas Aleksey tajnymi kurytarzami do sklepów zamkowych zawiedzie.

— I ja tak myślę, rzekł jeden starszy kozak a cała gromada chórem przywtórzyła. Chmielnicki klasnął trzykroć w dłoń, wszedł sługa, temu kazał przyprowadzić tatarzynka. Gdy tatar wszedł odezwał się do niego w te słowa Chmiel.

— Słuchaj ty dyabli synu, masz wóz i przewóz, jeśli się dobrze sprawisz dostaniesz dziesięć karbowanów, jeśli pokpisz sprawę, bądźiesz wisieć na pierwszej gałęzi rozumiesz?

— Rozumiem, wielmożny panie.

— Uważaj co powiem, pójdziesz tak jak stoisz do zamku i oddasz się w ręce straży, nie zawadzi przytem wrzeszczeć i wyć tak jak to wy sobacze nasienie umiecie. Skarżyć się będziesz że cię tu niewinnego posadzono o kradzież a pod grozą bizunów zbiegłeś z obozu, możesz przy tej sposobności psy na nas wieszać, to ci prędzej uwierzą. W zamku przy najbliższej sposobności staraj się widzieć z młodym panem Aleksem, każdy ci go wskaże, otóż powiesz mu, że ja cię przysyłam i pytam czemu nie przychodzi wedle umowy, no cóż zrozumiałeś, ty tatarska mordo?

— Zrozumiałem, proszę łaski pana.

— Aha jeśli tylko z Aleksem się rozmówisz, staraj się tą samą drogą tutaj powrócić, byś nam opowiedział jak rzeczy stoją i swoje karbowanie wziął, ale bez wiadomości nie waż mi się ty chwoście lucypera na oczy pokazywać, bo ja tu już dla ciebie ładną

wierzbę przeznaczyłem, a teraz won i spraw się po ludzku. Ledwie tatarzyn wyszedł kazał Chmielnicki wieczernie podawać, wiedząc, że ciężkomyślącym kozakom najłatwiej w ten sposób do przekonania przemówi. Wciągnięte wąskie stoły na kozłach w podkowę ustawione, nakryto obrusem i poczęto roznosić potrawy. Chmielnicki polskim zwyczajem przepił do gości wódką poczem kieliszek poszedł koleją. Wniesiono dymiące wazy wyborowego barszczu z uszkami, potem szła pieczeń barania mocno czosnkiem szpikowana, dalej hołubce z kwaśnej kapusty jagłami nadziewane, potem ćwiartki cielece, suszone ryby, kielbasy, wreszcie jako legomina narodowa mamałyga z bryndzą, na deser bakalie i owoce. Do potraw podawano dla odmiany to wino, to miód, to moszcz lub arak. Trzeba Chmielnickiemu przyznać, że umiał grać na namiętnościach swych dzikich podwładnych wodzów. Wiadomo przecież, że za takimi specyałami każdy porządny kozak do piekła by poszedł. Starszyzna kozacka, zwykle jak nieuki, podczas najważniejszych obrad albo dumala kiwaniem głowy na wszystko odpowiadając, albo wprost myśląc o niebieskich migdałkach. Ta sama jednak starszyzna gdy poczuła narkotyzującą powonienie i język woń przypalonego czosnku ożywiała się natychmiast, oczy oglądały się za żerem a gdy wreszcie upragnione jadlo podano rzucała się na nie jak stado wygłodniałych wilków sprzątając z mis bajeczne nakłady. Późno w noc przy bandurkach i śpiewie trwała ochota, wreszcie popita tłuszcza legła jak snopy zżętego zboża.

IV. Zdrada.

Równy z świtem wybrał się mały tatar do zamku. Jako zacięta bieda postanowił bądź co bądź zyskać obiecane karbowanie. Gdy się już tak do murów zamku przybliżył, że go można było usłyszeć, zaczął wrzeszczeć i wyć w niebogłosy. Biegł w kierunku zamku a gdy go wpuszczono trząśnięcie na całym ciele, padał wszystkim do nóg a stawiony przed wojewodą czołgał mu się jak psiak u nóg, łkając żałośnie od czasu do czasu przeklinając kozaków Chmielnickiego. Wojewoda kazał mu rzecz całorządnie opowiedzieć ale tatarzyn się przyczaił, wył dalej i nie nie mówił, dopiero pod groźbą batogów zaczął śpiewać. Opowiedział, że był posłany z oboru tatarów do Chmielnickiego a kiedy odchodził, jakiś kozak pewnie sam złodziej oskarżył go że ukradł jakąś złotą rzecz. Zrewidowano go a kiedy nie nie znaleziono powiedzieli że musiał schować, poczem mu dobrze skórę wygarbowali i do jakiegś chlewa na noc zamknęli. W chlewie była jedna zbutwiała deska, tę wyważył i wcześniej rano uciekł. Do swoich bał się wracać z obawy aby go nie wydano i teraz prosi by go w zamku przyjęto, to mówiąc rzucił się znowu do nóg wojewodzie wijąc się jak piskorz.

— A siedź sobie tu, kiedy chcesz, do posług możemy cię użyć tylko abyś się dobrze

sprawował ot zaraz możesz zanieść jedzenie Aleksemu, hej! Tymko pokażesz temu Tatarowi gdzie więzienie, niech codziennie przez okno jedzenie podaje.

— W ten sposób doskonale się dla tatarzyna złożyło, wziął żywność i poszedł za Tymkiem, który zaraz odszedł mając jakąś pilną robotę. Zostawszy sam na sam z Aleksem, przedzielony tylko kratą poczał tatarzyn opowiadać czym jest wysłańcem i jak się tu dostał, nie zamileczał też o obiecaniej nagrodzie. Niewymownie się Aleksey tym nagłym zwrotem ucieszył, stracił już bowiem nadzieję urzeczywistnienia swego planu.

— Słuchaj chłopcze rzekł do Tataru, jeśli mi pomożesz stąd umknąć, dam ci pięć razy tyle co ci Chmielnicki obiecał.

— Ucieszony tatar rzekł, zrobię wszystko, niech pan tylko rozkazuje.

— Otóż niema co zwlekać, musisz się wystrząść o pilkę do przetrznięcia kraty i mocny powróż. Tatar oddalił się szybko, bo właśnie ktoś tamtędy przechodził. Aleksey został sam ze swoimi myślami upojony jak najlepszą nadzieją. Wieczorem gdy się już wszystko spać pokładło, usłyszał Aleksey jakiś szmer u kraty, jak gdyby mysz gryzła, zaciekawiony zbliżył się do okna i ujrzał tatarzynka który z zrećnością małpy wdrapał się na kratę i piłował żelazo małą piłeczką.

— Jesteś mały, szepnął Aleksey, sprawuj się cicho abyś nas nie zdradził.

— Tatar palec na ustach położył i dalej żwawo piłował. Po dobrej godzinie o tyle już w pracy postąpił, że przy pomocy Aleksego udało się kratę wyważyć. Aleksey wyskoczył cicho się sprawując i pociągnął tatarzynka za sobą.

— Ja swoje zrobiłem, rzekł tatarzyn, reszta należy do pana, jak pan myślisz uciekać?

— Sznur masz?

— Mam proszę pana i sznurową drabinę.

— Dobrze, idź za mną.

— Szedł Aleksey przodem, za nim tatar obareczony sznurem i drabiną. Niebawem przyszl nad fosę a wdrapawszy się na mur zaczęli badać położenie. Aleksey przymocował drabinę do haka w mur wbitego nie wiadomo w jakim celu tam umieszczonego, po drabinie spuścił się aż na dół, a widząc że jeszcze do wody spory kawał, przymocował sznur. Tuż za Aleksem spuścił się tatarzyn.

— Umiesz pływać? spytał Aleksey tataru.

— Gdzieżby znowu, na stepie wód niema.

— W takim razie spuść się za mną na sznurze, potem uczep mnie się tylko mocno, przepłynę z tobą na drugą stronę.

— Jak rzekł tak się stało, tatar uczepił się Aleksego gdy już byli tuż nad wodą, Aleksey rzucił się śmiało w wodę i mimo ciężaru jakiego sprawiał tatarzyn, przepłynął na drugą stronę. W zamku musiano zauważyć ucieczkę więźnia bo wszczął się ruch, widać było migające się światła na murach, strzelono nawet parę razy ale zbiegi już byli daleko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Techtel-Mechtel z przeszkodami.

(Ciąg dalszy).

IV.

Duchy Bełkotki.

Lekeya kochankom nie wyszła na zdrowie,
Jego ze strachu nawiedziło mrowie,
Które mu długo zostało w pamięci,
I ona także nie miała już chęci,
W nocy po lesie urządzać sielanki,
Więc teraz w modę weszły znowu ranki,
O czwartej z rana już do źródła spieszą,
Niebem, powietrzem i sobą się cieszą,
Lecz miłość na czezo ni smaczna ni zdrowa,
Więc gdy tygodnia minęła połowa,
Znowu ukradkiem do lasu wychodzą,
Gdzie im tak dobrze pod Amora wodzą,
W przeciwną stronę chodzą dla zmylenia,
Naszej czujności, to rzeczy nie zmienia,
Bo elektryczność zakochanych zdradza,
Wiemy już znowu gdzie ta para chadza,
Tam gdzie Bełkotka szmerze tajemnicza,
Chodzą się kochać, poznać im z oblicza,
Że miłość w sercach silnie im się pali,
Gdyśmy to miejsce schadzek wyszperali,
Wnet nową szopkę mamy zamiar zrobić,
Więc pseudo, niedźwiedz poczał się sposobić,
W dniu umówionym idziem do Bełkotki,
Czekamy kota i kochliwej kotki,
Wieczór był ciemny księżyc za chmurami,
Nawet na niebie błysnęło czasami,
Idą już koty słychać ich mruczenie,
My jak artyści na prawdziwej scenie,
Za głaz co stoi nad wodą wkopany,
Chowamy się szybko, kocur zakochany,
Siada na ławce przy nim siada ona,
W tem nagle cała scenerya zmieniona,
Ktoś z nas zapalek rzuca zapalony,
W wody Bełkotki doktor przestraszony,
Patrzy na płomień co zwody wybucha,
Lecz większe strachy przyszły na cybucha,
Wyszliśmy nagle w prześcieradła białe,
Odziani jak duchy, tu światła wspaniałe,
Tu duchów strasznych niby z czyścica grono,
W reszcie śpiewamy wszyscy uni, sono,
Pieśń tak ponurą, dziką i grobową,
Że Mendel znowu zarył w piasek głową.

V.

Nocna kąpiel.

Znowu czas jakiś przycichły amory,
Noene wśród lasu, od tej także pory,
Mendel rozgłosił, że rewolwer nosi,
O awanturę niemal że się prosi.
Znowu spacer po nocy zaczyna,
Wszak ma rewolwer, zatem gęsta mina,
Lecz nas do psoty znów bierze chęć szczerą,
Teraz się Mendel bawi w gondoliera,
Jakże to pięknie przy świetle księżycy,
Siedząc na łodzi patrzeć w piękne lica,
Jest tu stawek na niej jedna łódka,
Tam w nocy Mendel i jego jagódka,

Jakby w Wenecyi pływają po stawie,
W wygodnej łodzi, dawnośmy ciekawie,
Z za drzew i krzaków idyllę śledzili,
Wreścieśmy psotę nową wymyślili,
W dzień oznaczony zbieramy chłopaków,
Z wsi okolicznych, pod osłoną krzaków,
Czekają nocy, każdy na patyku,
Ma ogień bengalski, wśród wrzawy i krzyku,
Mają te ognie zapalić gdy damy,
Znak oznaczony, tym czasem czekamy,
Idzie zwierzyzna, on nieco na przędzie,
Swą ulubioną tuż za rękę wiedzie,
A w drugiej ręce trzyma broń morderczą,
Myśmy to z miną widzieli szyderczą,
Żyd z bronią w ręku! ze strachu nie strzeli:
Wreszcie już przyszli do mokrych topieli,
Siadają w łódkę on wiosłem odbija,
A ona jak piękna wodna lilija,
Patrzy na niebo czegoś niespokojna,
Ma snąć przecucie, wnet się zacznie wojna,
Na dany znak chłopcy ognie zapalają,
Z piekelnym wraskiem nad wodą biegają,
A my strzelamy z strzelb i pistoletów,
Światło księżycy robi z nas atletów,
Cienie zwiększają postacie w dwójnasób,
A żeśmy mieli amunicyi zasób,
Więc kanonada brzmi po całym lesie,
I echa strzałów do zakładu niesie.
Nagle patrzymy w łodzi siedzi ona,
Widać śmiertelnie wrzawą przestraszona,
Ale gdzie Mendel? przy świetle księżycy,
Patrzymy z wody wystereza nożyca,
Staw był dość płytki, głową zarył w błocie,
Nogami strzyże tak jak przy robocie,
Fryzyer nożycą, znów pustym plac boju,
Wracamy, oni zostali w spokoju.

(C. d. n.)

Kącik humorystyczny.

* Złodziejska duma.

Sędzia: Twierdzisz żeś popełnił czyn zbrodniczy w nietrzeźwym stanie, ja temu nie wierzę.

Złodziej: Czemu nie, pan sędzia myśli że po trzeźwemu byłbym się dał złapać.

* Dziwna choroba.

Student: Ou, do dyabła strasznie mi źle.

Stróżka: Możeby pójść po doktora.

Student: A cóż to myślicie że on mi co pożyczycy?

On: Wiesz ptaki znowu narobiły w ogrodzie szkody.

Ona: Wiesz co spraw mi nowy kapelusz to stary da się użyć jako strach na ptaki.

* Telegram z Marienbadu.

Kuracya skończona, przez cztery tygodnie nie piłem ani kropli piwa, jutro wieczornym przyjeżdżam, przygotuj éwiartówkę pilsnera.

Mąż.

* Delikatna różnica.

Słyszałeś, Ieka Feitelesa już nie ma. Co to jest nie ma, czy jest kaput czy umarł?

* Wiejska kawa.

Pan: (w wiejskiej oberży). Proszę was gospodynio zróbcie nam dobrą kawę, tylko nie bierzcie cykoryi.

Gospod. Przecież pan nie będziesz pić czystej wody?

Przygody pana Józefa Magendufta na świeże powieczy.

II.

Wycieczka na Paraszkę czyli purcelbaum z figurami.

Przeleżałem dwie doby na chore siedzenie, Malecza kładzie mi plastry i znosi jedzenie. Na sobotę wycieczkę rychtują na góry, Malecza już zarzynała dwa gęsi i kury. Napiekła bałabuchów, czekamy soboty, Przyszła wreszcie sobota, nigdzie nie ma słoty, Siadamy więc na wózki na konie wierchowowe, Każdy pełny z projekty ma nabity głowy, Jedziemy na Paraszki, to jest wielgi góry, Czeba cztery godziny tam jechać — bachury, Ze szatki łapają motyle — no pomalu, Wjechali my na góry — jeszcze by sze cosz [zdało,

Więc całe towarzystwo szada tam na trawie, Każe bojkom zapalić ogień i czekawie Paczy z góry na śliczne panorama w koło, Ach! jak nam tu przyjemnie, miło i wesoło, A jakie tu powieczy, ja nie gadam słowa, Tylko łykam powieczy jakby szano krowa, Niżej kroków z dwadzieścia szadły bałabusty, Tam gotować chcą kawy, pirogi z kapusty, Przygrzywać na maszyny i inne specjały, Kropniłem sobie sznapsa kieliszek nie mały, A na świeży powieczy człowiek zaraz piany, Więc zaledwie na nogach moich, że ustany, Czekam, czekam na kawy, ale czas zbyt długi, Więc kropniłem wódeczki kieliszek i drugi, Towarzystwo rozeszło sobie gdzieś do lasu, Panientki, kawalerzy używają wezasu. Pokładniłem spać trochę a w tem ktoś wy- [szczelnił,

Ja sze zaraz obudził, myślę że wycelnił, W moje smutne twarzowe te drugie połowe, I zlatuje po trawie na szyi na głowe, Spadam na dół na ogień, przypiekałem spodnie, Moje białe spodniki, to już były zbrodnie, Bidna Malecze pikowe spodnie prasowała, Czyby sze ona była kiedy spodżywała, Jaki los ich spotyka, ogień zagasiłem, I wszystkie imbryki od kawy stłukniłem, Kawy co miało towarzystwo wypić sobie, Rozlany jest na spodnie — co ja teraz zrobię.

III.

Polowanie na swojejskie dżyki szwyni.

Ledwiem trochę ze wstydu do siebie przy- [chodził,
Aż tu nowy mam kłopot, znów sę plan uro- [dził,
Przychodzi do mnie Cybuch ten witzmacher [wielki,

Postawiłem od wino czerwone butelki,
On mnie zacznie namówić „Słuchaj no mój
[Józu,
Tutaj w Skole jest dżyków niebezpiecznych
[dużo,
Chcę jutro zrobić polowanie i zaproszę,
Ciebie na te wprawę — darmo sze wiproszę,
Że nie umiem wiszczelnąć i boję się dżyki,
„Jaki z ciebie dzeczynny — masz pod nosem
[mliki,
Że się boisz polować? ja mam dobrą radę,
Będziesz szadać na drzewo i jak na paradę,
Szczyłać z góry na dżyki — A jak dżyk wy-
[laźni,
Na drzewo i ukąsi — „Mówię ci wyraźni,
Że żadne szwini po drzewo nie chodzi,
Nu to niech będzie jak to nie nie szkodzi,
Wieczór idziemy z wielgi przed Maleczy se-
[kretu,
Bo ona by mnie zaraz w pakowała w bety,
I nie dała iść szczelnąć — idziemy po czichu,
Aby nie sztokniło jakie kiepskie lichu,
Cybuch mnie wsadza z trudem na wysokie
[drzewo,
A sam idzie o parę kroków gdzieś na lewo.
Szelma Cybuch miał cały plan dawno gotowy,
Podmówił i podpłacił od lasu gajowy,
Ten poczemku siadł w krzaku, czyma swojskie,
[szwyni,
Poczychu przyszedł do mnie, swoje zdrady
[czyni,
Sznurek od szwyni mnie do torby przymo cował
Potem szwyni do uchu patyk zaszwidrował,
Szwini z wielgi boleszezy kwiczy i uczeza,
A tu jeszcze i Cybuch wyszczelnął, i pies
[szczeka,
A mnie łydki ze strachu tłuką się o korę,
Ale na takie strachy nie było już pory,
Szwini leci i ciągnie za torbę ze sznurkiem,
A ja fajt leczę z drzewa — zaczępiłem z kur-
[kiem,
Moja szczelba strzeliła — całkiem już zam-
[dliłem,Kiedy nareszcie oko jedno otworzyłem,
Byłem cały zdrapany, podarty na spodnie,
A tu stoi gajowy ze smolny pochodnie,
Pitam gdzie dżyk on mi z szmiechem pokazuje,
Proste szwini swojskie — kto mój wstyd od-
[lezuje.

(C. d. n.)

Ciekawość ukarana.

Humoreska.

(Ciąg dalszy).

II

Nasz Piotruś ledwie ją ujrzał zakochał się powyżej uszu, to się trafia nawet i u arystokracyi.

Zakochał się z pierwszego wejrzenia, to dobrze, ale czasy Platonów i miłości platonskiej dawno już spoczęły w ławnicach pogańskich, więc wypada się przedstawić poznać i... tu przestrasza ogarnął Piotrusia i... i co?

A nie jak mnie zechce to się znią ożenić, ale może to jaka hrabianka? e! nie, tu hrabianki nie bywają, muszę się Stacha zapytać co to za jedna, aranżer musi ją znać.

— Biega Piotruś po sali, szuka za aranżerem, ale gdzie tam! kto go znajdzie, aha! pewnie w bufecie, idzie do bufetu, jest, zakrapia się właśnie koniackiem, Piotruś do niego:

— Kochany Stasiu, mam do ciebie wielką prośbę.

— Co prośbę? ależ dobrze, tylko bo uważasz jak masz prosić to już poproś naprzód panny Tyncei niech nam da koniacku.

— Panno Tyncio, kochana panno Tyncio, proszę dwa koniacki.

— No niech cię to nie żenuje, ale bo to widzisz, ja tak bez podlania żadnej sprawy nie zaczynam, no kałatnijmy się, zdrów!

— Na zdrowie, no nie myśl że to rzecz wielkiej wagi, podobala mi się pewna panienska, ty wszystkich znasz, przedstaw mnie.

— Więc to mała rzecz, panno Tyncio, jeszcze dwa koniacki tak, zdrów! więc to u ciebie mała rzecz, a wiesz ty co z tego wynikać może? wiesz? zastanowiłeś się?

— Ja? nie, kłamie Piotruś.

— To ja ci powiem, małżeństwo.

— Oszalałeś!

— Jeszcze nie, ale może powiesz że nie, powtórz jeszcze raz.

— Ależ człowieku, chcę poznać pannę w celu...

— A w celach matrymonialnych, sam się zdradziłeś, panno Tyncio jeszcze dwa, tak, zdrów! nie bój się ja nie w ciemnię bity, gdyby to w celu tańczenia tylko, to tybys za mną nie biegał i szukał, ale czekałbys spokojnie, ale pomyśl ino gdyby tak do ciebie przyszedł, no wstaw się w moje położenie.

— Dalibóg nie mogę.

— No wstaw się, panno Tyncio możeby jeszcze dwa, dobrze, dziękuję, zdrów!

— Cheesz mnie spoić czy co? nie będę pić więcej

— Jaktó? cheesz się tak na sucho żenić, oho! bratku a ja tu od czego, kropnij sobie koniacka, ja cię przedstawię i panna twoja.

— Ale coś także, tak od razu, bełkocze Piotruś, który mając słabą głowę już się trochę upił.

— Jaktó od razu? ja tak zawsze anavau, balanse, turdimau chajse croise i wesele.

— Ależ.

— Tu nie ma żadnego ależ, panno Tyn...! tak, dziękuję zdrów, znowu niecheesz pić?

— Ależ to mi zaszkodzi.

— Co?!! koniaczek zaszkodzi, nie obrażaj pana Boga i to komu, tobie herkulesowi, patrz jam mucha, komar nie daj się zawstydzic.

— Kiedy mam słabą głowę.

— Dr. filizofii i słaba głowa, nie bądź dzieckiem, no dodrze czekaj, źle łykasz, panno Tyn... tak, dziękuję, zdrów!

— Nie, więcej absolutnie pić nie będę, wypięm już k.. koniaków.

— Jaktó? to ty rachujesz koniaki?

— No przecież muszę wiedzieć ile mam płacić.

— Bąc spokojnym, zapłacisz za butelkę,

cóżto ty miślisz, że ja za pomyślność młodej pary, będę pić jednym naparstkiem?

— Jakiej młodej pary?

— Kapitałny sobie, no któż się żeni, ja czy ty, nie, wiesz Piotruś, ty dzisiaj jesteś nie możliwy w porządnym towarzystwie.

— Co pod tem rozumiesz?

— Pod towarzystwem? naturalnie że ciebie.

— Kończmy sprawę już stroją instrumenta.

— Nie bój się, bezemnie nie zacząną lansir, otóż wracając, ale do czego my mamy wracać panno Ty... dziękuję zdrów!

— A rób już zemną co ci się podoba, upij mnie, otruj mnie tylko mnie, już raz przedstaw.

— Oho! pomału bratku, cieszy mi to, że ci się naprawiło w twej filozoficznej głowie, poznajesz że Cognac... to nie woda, otóż, aha! miałeś się wstawić, uważasz gdyby do ciebie no uważaj bąc na chwilę Froterkowskim, uważasz jaki zaszczyt, gdyby tak przyszedł jakiś filozofi czynny profesor i prosił by cię, byś go przedstawił pannie, pannie no jakżesz się nazywa.

— Ależ ja nie wiem.

— Prawda, to nie twoja rzecz i prosił byś go przedstawił pannie przypuśćmy X. notabene gdyby ten filozoficzny doktor wybałuszył na ciebie oczy jak nieprzymierzając wół, gdyby mówił szybko, głosem urywanym, jakby się co najmniej paliło, coabyś pomyślał?

— Przedstawiłbym go.

— A ja nie, to jest nie zaraz, czekaj, coś mi w gardle sechnie, panno.... dziękuję, zdrów! naprzód pomyślał, bym zakochał się.

— Ale cóż znowu.

— Ej Piotruś, skryty z ciebie człowiek, no, wy już tacy wszyscy wy zakochani, no tylko się niebroń, otóż ja uważasz zacząłbym naprzód od koniacka, pan.... dziękuję, zdrów! W tem muzyka zagrała przygrywkę do lansir. A to czeskie knedle, co za śmiałość! bezemnie zaczynać szkrabać swoją kocią muzykę, powiadam ci, ta muzyka to moja śmierć wzięliśmy wojskową, grałaby nie źle ale cóż abo to im dodadzą ducha beczką piwa?

— W tem wbiega jakiś wymokły gogo:

— Panie Froterkowski, już najwyższy czas, panny już w miejscu ustać nie mogą.

— Posyp im pan soli na trzewiczki, teraz zima, może przymarzną do podłogi.

— Mochen Sie keine schlechten Witze Herr von Froterkowski, reflektuje go lejtnant od ułanów, który wszedł tuż za gogiem, sondern gehen Sie arrangiren.

— Zaraz Panie Finio, gleich auf der Stelle Herr Lieutenant, no popatrz się bezemnie, powiadam ci człowiek się na śmierć zapracuje, pan.... a do krośet nie spij panna! idę aranżować, daj tu panna tę butelczyne, co? tylko mniejsza połowa? no niech stracę, zdrów! i jednym haustem wysusza pan aranżer resztę koniaku. Możesz zapłacić i chodź na salę przedstawię Cię, panno Tyncio proszę nam zarezerwować jeszcze butelczkę.

(C. d. n.)

Prenumerata
miejscowa i za-
miejscowa wy-
nosi rocznie 3 zł.
60 ct., półrocznie
1 zł. 80 ct., kwar-
talnie 90 ct.

Numer pojedyn-
czy 10 centów.

NOWINY STANISŁAWOWSKIE

Czasopismo ekonomiczno-społeczne.

Wychodzi 3 razy na miesiąc, każdego 1., 10. i 20.

Inseraty:

Słowo petitem 1/2
ent., garmentem
1 ent., za duże
litery oblicza się
osobno. — Abo-
nament taniej. —
Kwadraty humo-
rystyczne 50 ct.
W rubryce „Na-
deślane” 10 ct.
od wiersza.

Adres Redakcji i Administracji: ulica Zosina Wola 1. 69.

Kalendarz. Środa (20.) Feliksa de Val. Czwartek (21.) Ofiarowanie N. P. M. Piątek (22.) Cecylii panny. Sobota (23.) Klemensa papieża. Niedziela (24.) F. 25. po Św. Em. Poniedziałek (25.) Katarzyny panny. Wtorek (26.) Konrada m. Środa (27.) Wirgiliusza. Czwartek (28.) Krescentego. Piątek (29.) Saturnina m. Sobota (30.) Andrzeja apost.

Socyjni demokraci.

Wiele się dzisiaj mówi i pisze o socyalnej demokracji. — Większość ludzkości nie rozumie nawet tego wyrażenia socyalna-demokracja — a często sami socjaliści nie rozumieją tego, ani nie wiedzą dlaczego są socyalistami. — Wiedzą tylko, że inni są takimi, słyszą prowodyrów, którzy im poprawę losu, złote góry obiecują, więc są socyalistami, albo im się przynajmniej zdaje, że są takimi. Wyraz socyalizm, pochodzi z łacińskiego — „socius”, znaczy towa-

rzysz — tak więc wyznawcy jednej i tej samej zasady uważają się za jedno towarzystwo. Socjaliści łączą się w towarzystwo, by wspólnymi siłami waleczyć o swe prawa i dążyć do poprawy losu. Jak dotychczas, można jako prawdziwych socyalistów, prawie wyłącznie robotników uważać, czy to fabrycznych, czy z rzemieślników się rekrutujących.

Socjaliści żądają głównie ośmiodzinnej pracy, lepszego wynagrodzenia, zaopatrzenia dla siebie na starość, jakoteż dla wdów i sierót, w razie śmierci ojca rodziny.

Łączność między sobą utrzymują socjaliści za pomocą wieców i zgromadzeń ludowych, choćby pod gołym niebem. Za pomocą agitacji, szerzą ideę socyalizmu — i starają się jak najszersze masy pod swoją chorągiew zgromadzić.

Socjaliści walczą głównie za po-

moćą strejków, ale w razie potrzeby, nie cofają się przed krwi rozlewem, to znaczy: zaczepieni bronią się, a jako bezbronni, nieraz już krew swoją oddali, w imię wyznawanych idei.

Zastanówmy się, czy i o ile socyalizm naszych czasów ma rację bytu, i czyby nie można w inny sposób potrzebom i nędzy ludu zaradzić?

Jeżeli pomyślimy, że dola tych ludzi wcale nie jest lekka, że przeciwnie, ciężko na chleb powszedni pracować muszą, to nie możemy nie mieć cokolwiek sympatii dla ich sprawy, musimy wejść w ich położenie i pomyśleć, że pracując ciężko zaledwie na chleb zarobić mogą, a nie mając żadnego zapewnienia na starość i zaopatrzenia dla wdów i sierót. Głównym ich postulatem jest ośmiodzinna praca; w zasadzie każdy przyjaciel ludzkości musi im przyznać słusność, ale w praktyce trudno to zaprowadzić.

W czem nasza siła?

(Ciąg dalszy).

Socyalizm jest starym jak świat — już Grecy i Rzymianie znali go dobrze, a chrześcijaństwo niezem innym nie jest jak socyalizmem. — Ale dzisiejszym panom prowodyrom socyalistycznym, socyalizm Chrystusowy nie wystarcza.

Czem jest socyalizm dni dzisiejszych? Jest on niezem innym jak mrzonkami powstałymi w niezdrowych głowach ludzi ambitnych, którzy schlebując namiętnościom warstw niższych — na barkach socyalizmu swe „ja” wynoszą, a wywieszając na czerwonych sztandarach popularne hasła, kryją właściwe swe cele. Najzapaleńszy bojownik za sprawę socyalizmu — największy agitator, gdy zostanie posłem, lub gdy mu dadzą tłu-
stą synekurę, wnet do innego przechodzi obo-

zu. — Ledwie dopiął celu, jużby socyalistów wieszać kazał — nie pomnąc, że tylko głupocie tych bałamuconych, t. zw. socyalistów, obecne swe stanowisko zawdzięcza. Rząd, socyalizmu się nie obawia — od czasu do czasu, zatkawszy krzykaczom jakąś posadą usta, czyni ich nieszkodliwymi — a na bezbronne masy bałamuconych — ma w najgorszym razie taką moc wojska i broni, że spokojnie, nawet na zabawki, zwane szumnie ruchem socyalistycznym, spoglądać może.

Jak dotychczas socyalizm, gdziekolwiek nawet silniejsze zapuścił korzenie — nigdzie widocznych nie osiągnął korzyści. Tu i owdzie z pomocą strejku, uzyskali robotnicy nieco lepsze warunki, ale prawie wyłącznie rzemieślnicy. — Piekarze, gdy czeladnicy piekarscy strejk robią, muszą się z nimi godzić — bo każdy dzień strejku wielkie im przynosi straty.

Dlatego czynią małe ustępstwa strejkującym, ale na tem cierpią jedynie konsumenci — piekarze bowiem, albo cenę pieczywa

powiększają, albo wagę pomniejszają — albo gorszą mąką wyrównywają różnice.

Robotnicy przy kolejach zajęci, do strejków ani chęci, ani odwagi nie mają — wiedzą bowiem dobrze, że zostaliby rozpedzeni, wzbronionoby im powrotu, a na ich miejscea rzesze innych z upragnieniem czekają.

Ci więc, którzy się zmory socyalizmu obawiają, spać mogą spokojnie, bo socyalizm dzisiejszy, wiele czyniąc hałasu — nie powinien nikogo przestraszać.

Przejdźmy do rzemieślników. — Polska nie miała stanu średniego, nie miała własnych rzemieślników. — Chłop trzymał się roli, dla szlachcica rzemieślnictwo i handel były zajęciami hańbiącymi — dlatego rzesze obcych rzemieślników w Polsce osiadało.

Przeczytajmy listę obecnych obywateli Lwowa lub Krakowa a uderzy nas moc wielka nazwisk cudzoziemskich. — Przeważnie Niemcy, dalej Francuzi, Włosi, Grecy i inni. Ci jednak o cudzoziemskich nazwiskach obywatele, prócz nazwiska, niezem

Wszakże ludzie najciężej, bo umysłowo pracujący, muszą nieraz przeszło dziesięć godzin służbę pełnić — urzędnicy n. p. kolejowi lub pocztowi są w niektórych oddziałach przez dwadzieścia cztery godzin w służbie, gdzie ciężko pracować muszą, wszystkie władze umysłowe wytężając, bo zawsze stoją jedną nogą w kryminale, a jak kolejowi i w grobie. Mała nieuwaga urzędnika ruchu, a pociąg wjeżdża na inny tor, najeżdża inny i powstaje nieszczęście, setki tysięcy guldenów szkody sprawiające, a co gorsza ofiary w ludziach porywające. — Mała nieuwaga, a urzędnikowi pocztowemu ginie list pieniężny i narażony jest na kryminal, suspendowanie i t. d., najniewinniej w świecie.

Taką to służbę pełnią urzędnicy kolejowi i pocztowi ciągiem przez godzin dwadzieścia cztery, prawda, że potem mają dwadzieścia cztery godzin wolnych, ale chyba na to, by się po ciężkiej pracy wypaść mogli. Czyż w obec takiej pracy, praca ślusarza przy warstacie, choćby dziesięć godzin robił, jest cięższą — stanowczo nie. A przecież urzędnicy, chociaż tyle lat na nauce trawili mimo liekiej zapłaty i tak ciężkiej pracy, strejków nie robią.

Nie robią strejków, bo by ich oddalono, i gdzieindziej by ich nie przyjęto. Czeladnik robi strejk, bo wie, że napędzony przez jednego majstra, u dziesięciu innych miejsce znajdzie.

Naszem zdaniem, robotnik praco-

wity, nie narzeka na nadmiar pracy, ponieważ w stosunku do ilości godzin jest i wynagrodzenie, on woli za dziesięciogodzinną pracę wziąć tygodniowo dziesięć złr., niż za ośmiogodzinną n. p. siedem. Socyalistami są zwykle młodzi, kawalerowie, którzyby chcieli mało robić, wiele zarabiać, i wiele hulać, a to się nie zgadza ze sobą.

Taki robotnik, pracując dziewięć, lub dziesięć godzin, sarka, czyni strejki i w ogóle jest niezadowolonym.

Ten sam jednak, grając potem przez całą noc w bilard i karty, i przegrawszy nieraz w ciągu kilku godzin całotygodniowy zarobek, nie nie mówi, bo na to strejk nie pomoże. — W ostatnich czasach żądają robotnicy powszechnego głosowania, zdaje im się, że gdy to osiągną, osiągną szczyt swych marzeń, naiwni! tak im będzie z tem jak bez tego.

O tę reformę wyborczą rozbijają się gabinety, a właściwie wszystkie te komedye są zbyteczne.

Cóż by się stało, gdyby reforma wyborcza była ustanowioną, gdyby na mocy powszechnego prawa głosowania i ci, parze społeczeństwa, ci wydziedziczeni, za jakich sami się uważają, osiągnęliby nawet parę głosów w parlamencie lub sejmie przez wybranych przez siebie posłów.

Przedewszystkiem nie łatwo by im to przyszło, ponieważ wpływowe osoby stości, które działają na lud podczas wyborów i na nich nie zaniebdałyby presji swej wywierając, wódka

i kielbasa odegrałyby swą rolę i robotnicy, ciesząc się jak dziecko, że im wolno głosować, głosowaliby jak dziś chłopci. Prowodyrzy, mając dobre łapy, celem agitacji wysmarowane, mówią chłopu: „Głosujcie na grafę A lub B, on nasz, on mądry, on o nasze interesa dbać będzie, co tam głupi chłop z panami poradzi, na panów, trzeba pana, ale naszego.

Graf A lub B przed wyborami wszystko obiecuje, po wyborach sądzi, że już dość się napracował i podczas sesji, albo świeci nieobecnością, albo drzemie w fotelu, budząc się tylko, gdy trzeba pójść do bufetu na świeże „würstle“ lub „kanapkę“, albo „pa-szteciki“

Tak samo byłoby i z robotnikami, ich przywódcy, krzykacze, u których troskliwość o dobro robotników, jest zawsze na języku, wzięwszy po cichu odpowiedni „nervus rerum“ tak ładnieby robotnikom przedstawiali, że wybranym musi być, albo pan dyrektor kolei, albo pan nadinżynier, że ci uznawszy słuszność ich wywodów, głosują jak jeden mąż na podanych kandydatów, i ci dzięki im przechodzą. Rozumie się, że lepiej się stało, że został wybranym dyrektor, lub inżynier, niż miałby być wybranym szewski czeladnik, który kopyta nie pilnuje, ale kieliszka i bawi się w szeroką politykę, jako socyalista. Cóż by ten człowiek tam w Radzie państwa robił, on potrafi w szynku swym kompanom przedstawiać, że świat potrze-

więcej pochodzenia swego nie zdradzają. — Osiadli tu od wieków, dawno spolszczeni, prawymi stali się synami ojczyzny. Przemysł drobny, rzemiosło i handel w Polsce wyłącznie były przywilejem obcych. — Dziś o tyle się czasy zmieniły, że wielu z rdzennych tubylców, do handlu i przemysłu się garnie. Trudną jednakże jest konkurencya chrześcian z żydami. — Tu jednak winą wyłącznie po stronie chrześcian. Porównajmy te dwa żywioły. Żydek zaczyna handel od sprzedawania siarniczek, później gdy trochę pieniędzy uzbiera, albo po kawiarniach w skrzynce swe towary roznosi — albo zawiesza pakę w jakiej sieni i handel prowadzi. — Gdy oszczędnością i zapobiegliwością więcej zbierze, żeni się, zawsze z jakim takim majątkiem i otwiera już prawdziwy interes.

On i żona, co najwyżej przy pomocy małego chłopaka, za wikt nędzny utrzymanego, od świtu do nocy chodzą koło interesu. — Wiecznie na nogach, wiecznie pracują — jedzą niemal w powietrzu i co jedzą — tro-

chę łoskzynu, kawałeczek mięsa i dużo cebuli — na szabas śledzia, lub dzwonek taniej ryby. — Mieszkają w taniej izbie po dwie i trzy familje — nie mając żadnych prawie wydatków. — Tak grosz do grosza składając, po latach do znacznej dochodzą fortuny, dzieci ich mają już gotowe większe interesa.

Inaczej czyni katolik. — Chłopak w niższym gimnazjum, niechcąc się uczyć — zostaje za karę do handlu oddany — bez względu czy ma do tego zamiłowanie lub nie. — Przeszedłszy kilkuletnią praktykę zostaje pomocnikiem — zwykle dobrze płaconym. Myślałby kto, że żyjąc skromnie — resztę składa — by kiedyś interes własny założyć. Dzieje się inaczej — pan pomocnik, ubiera się według najświeższej mody, grywa w bilard, w chwilach wolnych uprawia sport jeździ konno, biekłem i t. d. czyni wszystko byle pieniądze wydać, długi narobić — i nie nie oszczędzwszy, więcej wydać, niż posiada. — Często udaje mu się majątnie ożenić — wtedy albo

pieniądze żony przepuści, albo jeśli uczciwszy zakłada handel. — Zwykle mając sam i przez żonę koneksye, dobrze mu się zaczyna powodzić — zamiast korzystać i kapitał na czas zastoju gromadzić, postępuje wręcz przeciwnie Przedewszystkiem więc bierze wielkie drogie mieszkanie i urządziwszy je na stopę niemal książęcą — zaczyna prowadzić dom odpowiednio swemu, według jego mniemania stanowisku. — W lecie żona musi jechać do kąpiel, w karnawale w najdroższych sukniach innym imponować — przyjęcia, zabawy — nie mało pochłaniają pieniędzy — tymczasem interes nie mogący na te wszystkie potrzeby wystarczyć — zwłaszcza coraz mniej pilnowany, bo panu kupcowi zaczyna się jego zajęcie przykrzyć, on staje się radnym miasta, komitetowym, wydziałowym — wszystkim tylko nie kupcem, interes na łaskę obcych zostający, chromać zaczyna — i pomału następuje ruina, bankructwo. — Kto winien? — może pan kupiec? lub jego godna połowica? — broń Boże! — konkurencya żydowska, brak

buje naprawy i podaje środki pomocy, ale tam, wśród ludzi wykształconych, jeśliby miał choć trochę rozumu, trzymałby język za zębami, aby się nie kompromitował.

No a przy głosowaniu, czyż z kilkom robotnikami, silne frakcje parlamentarne, potrzebowałyby się liczyć? Czyby głosowali pro, czy contra, nie wieleby na tem zależało!

Zdaje mi się, że możnaby robotnikom dać tę upragnioną reformę wyborczą, nie zmieniliby to w niczem polityki, tylko krzykacze socjalno-demokratyczni, mieliby łatwy sposób do zapchania sobie gardła. W końcu nie mogę się powstrzymać od jednej uwagi.

Dzisiaj na porządku dziennym jest sprawa robotników. Tyle się o tych robotnikach mówi i pisze, jak gdyby oni byli alfa i omega społeczeństwa. Kto się troszczy chłopami? chyba nie dawno powstały nieznany „ruch chłopski”? Kogo obchodzi sprawa żydowskie i konieczna asanacja tychże? chyba antysemita, zwłaszcza wiedeński. Komu na sercu leży sprawa urzędników, kto dba o uregulowanie płac i polepszenie ich doli, przecież pensje są prawie takie same, jak przed laty dwudziestu, ale drożyzna kilkakrotnie większą, kto o nich dba? Kto myśli o księżach z nędzą walczących, o nauczycielach ludowych, prawdziwych białych murzynach i t. d. To wszystko jest niczem, wolno urzędnikom, wolno nauczycielom nędzę znosić — wszak to „inteligenty“, krzyk się

tylko robi wyłącznie dla robotników — pardon! — po za robotnikami jeszcze i inni ludzie żyć pragną. Śmiesznem jest zaiste, że robotnik jest „sacro — sanctus“, o innych stanach, nawet mówić nie warto.

Kronika.

Pamiętajmy o „Fundacji Kościuszkii“, Oświacie ludu, Wawelu, Cieszyńcu i t. d.

— Dr. Maciej Krobicki, adwokat krajowy, dzielny patriota, sokół i członek wielu towarzystw przeniósł kancelaryę z Kołomyi do Stanisławowa.

— Jak to nazwać. Jak w poprzednim numerze wspomnieliśmy, dyrektor teatru p. Myszkowski padł ofiarą kradzieży. Chociaż nam donoszono jakie i na kogo są poszlaki wstrzymaliśmy się z drukowaniem tychże aż do wyświetlenia się sprawy. Redakcyi „Kuryera“ ktoś nieszczególną zrobił przysługę, pisząc do kroniki, na prosty donos nieczem nieuzasadniony, że sprawcą kradzieży jest p. Szymański, artysta sceny p. Myszkowskiego znany aeronauta.

Czy to jest godziwem, człowieka niewinnego piętnować nazwą złodzieja?

Jesteśmy przekonani, że Redakcyja Kuryera, nie mając powodu podejrzywać prawdy tej notatki, w dobrej wierze ją umieściła, bo przecież Redakcyja nie mogła się spodziewać, że ktoś odważy się nazywać człowieka nieskazanego, dotąd nieposzlakowanego złodziejem. Dość smutno, że Sąd tak dorywczo kazał p. S. uwięzić, ale to trudno takie są prawa i nie nam przeciwko nim szemrać, ależ przecież człowiek w śledztwie nie jest jeszcze zbrodniarzem, dopiero wyrok go uwalnia lub piętnuje.

Niechże autor tej niefortunnej notatki wstawi się w położenie p. Szymańskiego. Złodziej i jego współniczka zostali odkryci, nie możemy jednak nie zrobić uwagi, dlaczego ci od których to zależy przyjęli człowieka notowanego złodzieja, pono nawet z państwa

wydanego do służby, czy to nie lekkomyślność?

— Napaść na Towarzystwo muzyczne im. Moniuszki. Niech nam szanowny kolega „Kuryer“ wybaczy, że już w drugim artykule poddajemy krytyce, co w przedostatnim numerze Kuryera, jacyś nieznani pod pseudonimami kryjący się rycerze pióra nagryzmolili. Krytyka jest dozwoloną. Pan X. z „Kuryera“ zapatruje się na tę sprawę ze swego stanowiska, zaś Ypsilon z „Nowin“ ze swego.

Otóż pan X. potępił w czambuł Towarzystwo muzyczne, zarząd Wydział, darował tylko łaskawie prezesowi.

Nie chodzi nam bynajmniej o krytykowanie całego artykułu i zbijanie go punkt za punktem, bo artykuł ten na to nawet nie zasługuje, powiemy tylko ogólnie, że zdania tam wypowiedziane są od A. do Z. fałszywe — w sprawie teatru Wydział postąpił po obywatelsku, a votum zaufania, nie otrzymał Wydział ze względu na prezesa, ale ze względu na zasługi Wydziału. Krytykować łatwo, trudniej coś zrobić zwykle najlepsi krytycy, gdy im się odda w ręce to, co krytykowali, daleko gorzej się z tego wywiązują, niż krytykowani. Zresztą jeśli ów pan X. sądzi, że krytykowaniem zwłaszcza z uprzedzeniem i wiecznem niezadowolaniem z tego co się w towarzystwach robi, tym towarzystwom przysługę oddaje, to się grubo myli, gdyż zniechęca szukanami ludzi pracy, dla dobra towarzystwa oddanych — no a gdy tych poodstrasza kogo da na ich miejsce? może siebie, ba! nie innego nie umie.

Verax.

— W Czerniowcach postanowiła młodzież polska, z powodu żałoby narodowej wstrzymać się z urządzeniem wieczorku w dzień św. Katarzyny.

— Pomnożenie posad. Cesarz zezwolił na pomnożenie o 15 posad sekretarzy rady przy sądach kolegiatnych zachodniej Galicyi, za równoczesnem zwinięciem takież liczby posad adjunktów sądowych.

— Dla polskiego Gimnazjum w Cieszyńcu przeznaczono na inspektora p. Rudolfa Bartelmussa, dyrektora szkoły realnej w Opawie, byłego inspektora szkół ludowych w Cieszyńskim.

— Cesarz nie zatwierdził wyboru dra Luegera na burmistrza Wiednia. W Wiedniu panuje z tego powodu nie małe rozdrażnienie.

szczęścia, zastój w handlu i t. p. Znam stosunki kupieckie i wcale nie przesadziłem w tem com napisał — ale życzę najlepszego rozwoju polskiemu handlowi — jedyną podam kupcom radę: Idźcie śladem żydów, oszczędzajcie i pracujcie i żyjcie jak oni, a gdy za młodu porobicie majątki na starość zapewniwszy los dzieci, możecie spokojnie owoce swej pracy pożywać.

Handel polski dla nas bardzo jest ważnym — bo w niem także nasza siła leży, wszak dziś trudno marzyć, pokonać naszych nieprzyjaciół bronią — ale na polu ekonomicznem — wolno nam walkę prowadzić, wolno nam z innymi rywalizując dla swej pracować korzyści.

Wspomniałem już, że mając swe własne fabryki i swój handel pieniądze za zboże, moglibyśmy w kraju zostawiać. — Ale mielibyśmy mówić o rzemiosłach. Dzisiaj na szczęście coraz więcej naszych do rzemiosł się bierze — dziś nie mamy obcych rzemieślników — bo potomkowie obcych przy-

byszów stali się polakami — nie gorszymi od rodowych. Mimo wszystkiego, rzemiosła u nas na niskim stoją stopniu.

Rozliczne są tego przyczyny. — Tandetne wyroby fabryk wiedeńskich produkujących t. zw. „Ausschusy“ specjalnie dla Galicyi, zalewają nasz kraj podejrzaną wartością wyrobami. — Ceny tych wyrobów są tak bajecznie niskie, że rzemieślnik galicyjski, chociaż na miejscu konkurować z niemi nie może. — Cóż się dzieje, biedniejsza i najliczniejsza część konsumentów prawie wyłącznie swe potrzeby z tych źródeł pokrywa, a majątniejsi, albo u swoich kupują, albo sprowadzają z zagranicy po cenach wysokich doborowy towar. Mödlingskie wyroby obuwia podkopały cech szewski — tak samo stolarze walcą z wyrobami fabryk wiedeńskich i inni rzemieślnicy nie w lepszym są położeniu — ale walka to nierówna.

Jedynie piekarze, rzeźnicy i masarze, są w tem szczęśliwym położeniu, że się obcej konkurencyi obawiać nie potrzebują.

I jak się dziwić naszej publiczności, gdy kupuje towary i wyroby wiedeńskie, gdy są przedewszystkiem tanie — dalej n. p. chcąc nabyć obuwie, wystarczy pójść do sklepu z wyrobami mödlingskimi, by mieć najobfitszy wybór — można sobie bucik do swej nogi dobrać i można być zadowolonym. — Nasz szewc robiąc na miarę po pierwsze nie dotrzyma terminu — dalej nie mając fachowego wykształcenia raczej nogę swymi wyrobami okula — nagniotki wytworzy i w dodatku słono każe zapłacić.

Jakaż jest rada by z jednej strony zaradzić przeciw zalewom fabryk obcych, a z drugiej strony publiczność do swoich zwrócić. Jest to rzeczą łatwą i od rzemieślników samych zawisłą. — U nas chłopak do terminu przyjęty — przez dwa do trzech lat pełni funkcyje niańki u pani majstrowej — poczem dopiero bywa zaprawiany do szlachetnej sztuki, dratwy i kopyta. — Tak więc lat parę daremnie stracił.

C. d. n.

Panuje przekonanie, że w niezatwierdzeniu widoczny jest wpływ rządu węgierskiego, który jest na wskrós liberalny. Po ponownym wybraniu Luegera — została Rada miejska rozwiązana a rządu objął komisarz rządowy.

— Marszałkiem galicyjskim mianowany został przez cesarza hr. Stanisław Badeni, brat prezydenta ministrów.

— **Czołem Magistratowi!** Niektórzy uważają „Nowiny“ jako miotłę do wymiatania magistrackich śmieci.

Że tak nie jest, i że zawsze co godne pochwały, pochwalimy, a co godne nagany, zganimy — wykazać się postaramy.

N. p. obecnie musimy „sit venia verbo“ zwrócić uwagę na pewną sprawę.

Gdy Świetny Magistrat, idąc z duchem czasu, sprowadził dla miasta kosztowną lokomobilę do walcowania ulic, powstał krzyk na lekkomyślność Magistratu, że pieniądze w błoto rzuca. — Jakto więc Stanisławowianie tak są zakochani w swym rodzinnym błocie, że się z niem rozstać nie mogą? I myśmy słysząc te chóralne krzyki, że względu na parowy walec, powątpiewali w jego wartość.

Ale mamy już taki zwyczaj, że czy chodzi o pochwałę, czy o nagane, musimy się o tem naocznie przekonać — ha! jesteśmy już takimi niewiernymi Tomaszami. — Idziemy więc by się naocznie o wartości waleca przekonać. — „Obstupimus, intentique ora tenebamus“, czyli po naszymu — otwarłszy usta podziwialiśmy z zajęciem.

Proszę sobie wyobrazić potężny walec, o parowym motorze z lekkością baletnika, a z naciskiem słonia, wyrównujący ulice, kamień nie kamień, błoto nie błoto, wszystko to walec wygładza, jak żelazko do prasowania kolnierzyki.

Aż się dusza raduje patrzeć na zagładę błota i wybojów ulicznych, może się nawet kiedyś doczekamy, że Zosina Wola, gdzie się niestety nasza redakcja znajduje, ujrzy ów zbawczy walec, który jej dobrze grzbiet wygładzi, a byłby czas „periculum in mora“, gotów kiedyś numer „Nowin“ wyjść w czarnych obwódkach, gdy się redakcja w błocie utopi. — Za walec Magistratowi czołem.

Verax.

Teatr, literatura i sztuka.

Dnia 10. b. m. przedstawiono komedję „Ojciec Martin“. 12. dano „Pięć cór na wydaniu“ wesołą farsę. 14. pierwszy gościnny występ p. Feldmana, artysty sceny lwowskiej „Bal maskowy“ komedya i po raz drugi „Piosenki tyrolskie“ jednoaktowa operetka. 16. przedstawiono „Dwa herby“ komedję z niemieckiego, z p. Feldmanem. 17. Biedna dziewczyna“ operetka. 20. i 21. daną będzie „Cavalleria rusticana“ słynna opera Mascagniego — publiczność oczekuje jej z wielką niecierpliwością — ale możemy p. Myszkowskiego wydać z sekretu, że wystawienie tej opery sprawi niespodziankę i przejdzie oczekiwania wszystkich. O cenę i krytykę zostawiamy panu Krytykiewiczowi jako fachowemu.

— **Pan Krytykiewicz.** Państwo znacie starego Krytykiewicza? Naturalnie, któżby nie znał starego zrędy, co powymiałał teatry warszawskie, krakowskie i lwowskie i teraz go tu do Stanisławowa przygnało. Stało się to całkiem niespodziewanie — nie myślecie

państwo bym został zwabiony nadzieją dobrego honorarium od „Nowin“ nie — tylko się proszę nie śmiać — w starem piecu dyabeł pali — ot podobała mi się jedna mała, z teatru Julka, bo z wszystkimi lepszymi artystami jestem per ty.

I tak Mieczek — to Fränkel, Ferdek to Feldmann, Helka to Modrzejewska, Tadek to był s. p. Skalski. Kiedy już tu siedzę, paskudna natura ciągnie wilka do lasu, mnie zaś do krytyki. Ale cóż, bardzo mi się tu z krytyką źle wiedzie — ja lubię jak trzeba pochwalić ale ostrożnie, ot jak tabaki na jeden niuch, o! bo „te komedyanty“ fe! co za brzydkielwowskie wyrażenie, chciałem powiedzieć artyści, to ino go pochwalisz, już ci ogon zadrze i myśli aha! Królikowski, Smochowski, Benza, naturalnie nieboszczyk, to fuszery naprzeciw mnie i het się zepsuje. Ale co najlepiej lubię, to tak uciąć porządnie, tak chlastnąć aktorzynek w kark moralnie, lub mu dać krytyką szcztuka w nos. A tu ani rusz — „rób jak chcesz, głowę susz“ nie i nie. No, bo proszę państwa, dam temu konia z rędem, no nie dam bo nie mam, ale tak się mówi, jeśli mi kto potrafi Julka skrytykować, ten gra! co?

Chodzę na wszystkie przedstawienia, zwykłe za kulisy, aby moją małą widzieć. I tak na „Ojcu Marcinie“ n. p. jak tu krytykować tego panie Swaryczewskiego, kiedy gra jak anioł choć nie ma anielskich form, no chwala Bogu, dałem mu łatkę, grał ojca Marcina jak anioł, to prawda, ale że anioł nie może być taki gruby, więc ma łatkę. Inni grali tak, że nie o nich napisać nie mogą, a to już jest wielką pochwałą, bo u mnie tak, gra znakomicie, piszę gra nieźle, gra dobrze, nie nie piszę — gra źle chwytam za miotłę i prażę.

„Na pięciu córach“ Julek był nieprześcignionym, a cóż państwo powiecie na tego „tausendkünstlera“ Danielewskiego, prawdziwy to wonny kwiatek z krakowskich pól; co tu dużo gadać, nie mogę go dłużej chwalić, bo mnie żółte zaleje, że mu łatki przypiąć nie mogę. Lecz „henreka“ jest łatka, nos ma zanadto spiczasty. Albo ta Lasocka, to ci herod... przepraszam, byłoby mi się brzydkie wyrażenie wyrwało, ale bo też gra, niech ją wszyscy, tfu! znowu mi coś paskudnego na język lezie.

Albo ta Broncia, o bo ja z dobrymi jestem per ty, chciałem powiedzieć Kazia, co to za sprytna bestyjka, a jakie to miłe, a jakie ładne, a co to za głosik — ej! stary będą myśleli, że to twoja mała, a to całkiem inna. Ależ łatkę, łatkę — królestwo za łatkę. — Aha! jest i łatkę, Kazia taka miłutka, że podbiła serca wszystkich młodzieńców pełnych nadziei. — Od czwartej klasy począwszy do maturzystów, wszystko się w Kazię kocha na zabój — no! no!, żeby tylko główna konferencya dobrze wypadła. — Chciałem naprzykład sprząść tego Jedynakowskiego, — a to rzeczywiście jedyny chłopak — jak on gra — widać talent; nieszczególnie się nazywa — no ale i Źwierciakiewiczowa podobnie się nazywa, a jest sławną. — Co do tego Nynkowskiego to dalibóg gra niemożliwie,

ale niestety dobrze, jak z tego kiedyś nie będzie Modrzejewska w spodniach, to Krytykiewicz przestanie krytykować. Niechby tylko dał sobie trochę uszy ogolić, ale to trudno, niech już tam zresztą będzie jakim chce, byle tylko zawsze tak wybornie grał.

O naszej Radwance, cóż mam pisać? Tyle razy bezskutecznie próbowałem ją krytykować i we Lwowie i Krakowie, że już tu nie mam ochoty, powiem tylko „adio mia bella Santuzza.“

Tyle papieru popsulem, a krytyka nie jest warta, cóż to Krytykiewicz już tylko chwalić umie? Oj! starzejesz się bratku. — No od Grudnia będziemy tu mieli nową trupe, gdybym nie dał Boże miał tu dłużej zabawić, to ja już tamtych schrupię na jedno posiedzenie kiedy, tych nie mogę.

— **Czasopismo na płótnie** wychodzi w Madrycie. Po zmyciu druku, płótna tego używa się na chustki do nosa. Możeby nasi wydawcy pism prowincjonalnych, w ten sposób swe pisma wydawali a choć nie każdy potrzebuje strawy duchowej, nos jednak ma każdy.

Ale prawda, woleliby wtedy nosa nie ucierać, byle czasopisma nie prenumerować.

— **Nowe pismo.** Z dniem 24 bm. rozpocznie wychodzić w Krakowie nowe pismo p. t. „Dziennik poranny“, zaś we Lwowie „Ster“ pismo dla kobiet.

N A D E S Ł A N E.

Sztuczne kwiaty

z jedwabiu, atlasu, pluszu i t. d.

po cenach najumiarkowańszych, robione na sposób warszawski, są do nabycia. — Bliższy adres w handlu W. Filausa.

Karol Zajączkowski

jubiler i złotnik w Stanisławowie

Główny skład

towarów jubilerskich i złotniczych

ZEGAR KÓW DAMSKICH I MĘSKICH.

Przewodnik po Stanisławowie.

Fabryka worków papierowych.

J. Dankiewicz ul. Kazimierzowska.

Restauracje.

Michalski ul. Sobieskiego.

Cukiernie.

Zbigeni ul. Sobieskiego.

Handle korzenne.

Kajetan Kopacz ulica Karpińskiego.

Adolf Gurawski ulica Karpińskiego.

Magazyn bławatny.

Karol Piskorz ul. Sapieżyńska.

Magazyn galanterijny.

Wilhelm Filous ul. Sapieżyńska.

Handle papieru.

Stanisław Rutkowski ul. Sapieżyńska.

Drukarnie.

J. Dankiewicz ul. Kazimierzowska.

St. Chowaniec ulica Belwederska.

Zegarmistrz i jubiler

K. Zajączkowski ulica Karpińskiego.

Fryzery.

Zygmunt Kostyanowicz obok cerkwi katedr.

W rubryce tej płaci się 10 ct. od wiersza, rocznie 3 zhr.

DODATEK LITERACKI

do Nr. 3. „Nowin Stanisławowskich”

z dnia 20. listopada 1895.

CÓRA WOJEWODY

POWIEŚĆ

(Ciąg dalszy).

Gdy się w obozie Chmielnickiego dowiedziano o ucieczkę Aleksiego powstał tumult i wrzawa nie do opisanego, cieszą się, wiedząc, że teraz zamek musi być zdobyty, a co za tem idzie pożądana grabież.

Piekielne wrzaski i wiwaty zbudziły samego Chmiela, który dowiedziawszy się o co chodzi, kazał natychmiast zbiegów do siebie przywołać. Aleksiego przyjął bardzo grzecznie, tatarzynkowi wypłacił karbowanice i dodał mu jeszcze parę, ale nie mógł się powstrzymać by mu uszu nie nakręcić mówiąc:

„Sprytna z ciebie bieda, no, no, ja ci już ręczę, że z takim talentem na wysoką się dostaniesz szubienicę.”

Zapiszczał tatar psim głosem, ale ucieszony złotem wyleciał jak z procy. Teraz zamknął się Chmielnicki z Aleksym na długą naradę, co juradzono zobaczymy. Nazajutrz zostawiono jeszcze załogę w spokoju, by uspić czujność Wojewody, dopiero trzeciego dnia zabrano się do wykonania ułożonego planu. Dzień cały siedziano cicho, czyniono tylko małe napady dla zamaskowania właściwego szturmu. Gdy noc zapadła, poczęli się kozacy i tatarzy zbliżać do zamku, pełzając jak węże na brzuchach i nasłuchując co chwila czy nie są zdradzeni. W ten sposób podpełzali aż blisko fosy, tu Aleksy który cały oddział prowadził, poszukawszy nieco, wskazał im olbrzymi głąz zakryty krzewami, wspólnymi siłami namęczywszy się nie mało, odwalono głąz i ujrano swobodne wejście pod ziemię. Cichaczem jeden po drugim zsuwali się do pieczar a Aleksy zapaliwszy łuczywo szedł przodem. Wten sposób dostali się aż pod sam zamek, poczem po wykutych stopniach zaczęli w górę wychodzić.

Nareszcie ujrano mocno okutą bramę z grubych belek dębowych. Nie mając klucza musiano zwolna wysadzić zawiasy, kruszyć kamienie z obmurowania aż i tę zaporę przełamano.

Zbrojny oddział uszykował się na podwórce zamkowym, poczem z piekielnym wrzaskiem zaczęli się włamywać do pokoi wyważając drzwi i okna.

Aleksy zaraz z początku dobrawszy sobie kilku silnych chłopców, wiedząc gdzie szukać Bronię, wtargnął do jej sypialni.

Zastał rzeczywiście Bronię już ubraną, a przy niej Wojewodę i Romana, obaj byli uzbrojeni i postanowili się bronić do upadłego.

Zobaczywszy ich Aleksy, zawołał: „Poddajcie się!” Wojewoda strzelił z pistoletu i ranił Aleksiego w lewe ramię wołając: „masz zdrajco”.

Aleksy widząc, że to nie przelewki, dał znak — mołojcy zaszli bokiem i pochwycili Wojewodę i Romana wiążąc im ręce w tył.

Nie nie pomogło wściekłe szamotanie się obydwu, musieli uleść przewadze.

— Teraz jesteś moją, zawołał Aleksy, nie mogłem cię dostać po dobremu, otwarcie — „biorę cię zradą”.

— O mnie mniejsza, rzecze Bronia, mogłeś mię wykraść a w takim razie byłbyś złodziejem, może nawet zbójcą, ale nie zdrajcą. Ojczyzny, a cóż może być podlejszego. Wydając obronny zamek w ręce wrogów, splamiłeś się na wieki i niezem już tej hańby nie zmażesz ja pogardzam tobą i śmierć raczej sobie zadam, niż pozwolę się zhańbić twem dotknięciem.

— No! no, jakoś to będzie ugłaskamy i ciebie, zmiekniesz w mych rękach jak воск. A zwracając się do więźniów rzekł: Pomnąc tego com winien Wojewodzie i bratu, puszczam was wolno, narażając się przez to Chmielnickiemu.

— Nie opuszczę mej córki, rzecze Wojewoda.

— A ja mej narzeczonej, dodał Roman.

— Tylko, że ja się was pytać nie będę co chcecie, a czego nie chcecie, hej! chłopcy, wyprowadzić panów za wały, ale żeby was nikt nie spostrzegł, za wałami zdejmiecie im sznury i puścicie ich wolno.

Chłopcy uczynili jak im kazano.

Aleksy chciał się zbliżyć do Broni, ale ta go silnie odtrąciła. Zaświślał więc, a gdy nadeszli kozacy, kazał im Bronię w bezpieczne uprowadzić miejsce.

V. Opryszki.

Gdy się kozacy na dobrze w zamku usadowili, udał się Aleksy do Chmielnickiego i oznajmił mu, że dopiawszy swego celu, zabiera Bronię i opuszcza kozaków, bo nie ma tu czego więcej szukać.

— A to idź, rzecze Chmiel. „kiedy nie masz spokoju i chcesz się tłuc po świecie”, to mówiąc, dał mu sakiewkę grubo dukatami wyładowaną, mówiąc: „to na drogę”.

Pieniądzy nie przyjmę, odrzekł Aleksy, „wiem, że popełniłem czyn haniebny, ale uczyniłem to miotany szaloną miłością, nie dla pieniędzy”, to mówiąc skłonił się dumnie Chmielnickiemu i odszedł. — Zaraz kazał

okulbaczyć konie a wzięwszy dwóch najdzikszych mołojców, wsadził Bronię na konia, wziął ją w środek między siebie i luzaków i pojechał. — Miał zamiar udać się na Besarabię lub na Węgry, sam jeszcze nie był zdecydowany. — Na razie zwrócił się w kierunku Pokucia.

Bez żadnych przygód dotarli do Kołomyi, odpocząwszy, postanowił Aleksy przeprowadzić się przez Karpaty do Węgier.

Minęli Kosów, Żabie, Uścieryki, byli już niedaleko Popa Iwana, najęty przewodnik wiodł ich znanymi tylko pasterzom przełęczami. — Noc ich zaskoczyła, więc rozłożyli ogień w lesie i spać się pokładli, tylko jeden czuwał, stojąc na straży.

Nagle około północy kilkunastu opryszków otoczywszy improwizowany obóz, wpadli z toporkami w ręku na śpiących i w mgnieniu oka ich powiązali.

Barczysty herszt bandy, kazał przed siebie postawić Aleksiego i zażądał pieniędzy, grożąc śmiercią, gdyby dobrowolnie nie chcieli oddać.

Rozśmiał się Aleksy:

— Pieniądzy nie mamy, sami uciekamy do Węgier jako nieliczna garstka z zdobytego zamku na kresach, jeśli nie wierzycie, możecie nas zrewidować.

Podczas gdy opryszki jeńców rewidowali, dziwna myśl przyszła Aleksemu do głowy. — A gdyby wraz z swymi mołojcami przystał do opryszków?

Cóż miał na razie lepszego uczynić? jakiś czas mógł bezpiecznie wśród nich przebywać, do Polski nie miał czego wracać, bo by go obwieszono, na Węgrzech nie wiedział co pocnie, tu pośród opryszków dzięki swej przewadze umysłowej nad nimi i szalonej odwadze, może zostać hersztem obrany.

Rzekł więc do przewódcy: Wiecie co, pieniądze wprowadzić nie mam — ale ponieważ na moją głowę nałożono cenę w Polsce i nie wiem co ze sobą począć, przystałbym do was, jeśli się wam silne ramię i moja odwaga na co przydać może.

Z początku zbójce z niedowierzaniem na niego patrzali, wietrząc zradę, ale gdy oświadczył, że na wszelkie próby jest gotowym i wraz z mołojcami do nich przystanie — przyjęli ich z radością.

— A cóż z dziewczką zrobimy? zapytał herszt.

— Niech nam jadło warzy odezwali się zbójce, „stara Marucha i tak już z nami po wertepach łązić nie może”.

Tak więc los naszych zbiegów został postanowionym.

Opryski to naród rycerski — nie prości zbójce. Rekrutowali się z huculów, każdy hucul ma w sobie coś rycerskiego, u nich opryszek nie jest niczem złem, przeciwnie, mają ich w wielkiem poważaniu i za bohaterów uważają.

Nader malowniczym jest strój hucula, opryska. Burkę nosi z owczej wełny koloru brunatnego, spodnie czerwone, bogato złotem lamowane. Na nogach mają t. zw. postoły lub buty węgierskie, na głowie kapelusz filcowy, od dużych kres zwany „kresanie“, z pozakładanymi piórkami pawimi i koguciami. Każden ma torbę ładnie mosiężnymi ozdóbkami wybitą, w ręku toporek, straszną broń w ich dłoni, umieją bowiem na kilkadziesiąt kroków takim toporkiem trafiać. — Prócz tego każdy opryszek ma rusznicę, nóż za pasem i tegi okuty kostur, do spinania się po górach.

Zwykle jeden z opryszków jest artystą na trombitcie. Trombita jest to na parę metrów długa, prosta rura kręcona z kory brzoźowej, ku końcowi coraz szersza. Na niej to wprawny hucul, wygrywa piękne smętne dumki ruskiego ludu.

Dowódcą bandy kazał się zbierać do drogi i niebawem wyruszone. Szli takimi wertepami, że miejscami musiano Bronię nieść na improwizowanych noszach, zwłaszcza przez bystre górskie potoki.

Świtać już zaczynało, gdy cała czereda znalazła się u wejścia do pieczary, doskonale krzakami zamaskowanej. Tu przywitała ich stara Marucha mruczeniem i czarny kot złowrogiem miauczeniem.

Moglibyście już Marucha raz, ozwał się herszt, „tę czarną bestyję zadusić, zawsze mi się zdaje, że to jej miauczenie rychłą śmierć mi wróży“.

— Czy kot miauczy czy nie, taki niezadługo albo wisieć będziecie, albo was szandary uśmiercą.

— Co mówicie Marucha, przeląkł się bandyta, jak każdy hucul, zabobonny.

Ano tak już w kartach stoi, ja już tego nie odmienię, rzuciłam dla was węgle na wodę, wszystkie toną odrazu — oj śmierć, śmierć was czeka rychła.

Nie krzacie no Marucho — raz kozie śmierć i raz maty rodyła — ot dajcie nam lepiej co jeść, bośmy przeziębili na rosie.

— Jest gorąca winna polewka — to pijeć, a co to za dziewczę tu przywiedliście?

— To na twoje miejsce Marucha, bo ty już z nami łązić nie możesz.

— A bodaj szczezła wraz z wami — o patrzcie no na łajdaków, już im stara Marucha nie wystarcza, młoda im pachnie — czekajcie, niedoczekanie wasze“.

— Nie bójcie się matko Marucho, gwałtem mnie tu przywiedli, ale nie doczekają się, bym im co warzyła — ja córka polskiego wojewody, miałabym jadło warzyć dla zbójów — nigdy!

— „Będiesz warzyć będziesz“ ozwał się starszy zbójca, a swoje państwo rychło u nas zapomnisz.

— Stul mordę Wasyl, rzecze Marucha, pan na dobrze mówi, gdzieżby takie delikatne pańskie dziecko, jeść warzyło, dla takich jak wy

łotrów — nie bój się moje dziecko, stara Marucha nie da ci krzywdy zrobić, a jadło to już sama będę dalej dla tych huculów warzyć.

— Znurzeni zbójcy, posiliwszy się winną polewką i kielbasą, pokotem na słomie spać się pokładli. Nazajutrz zabrali Aleksego i obu mołojców na wyprawę, zostawiwszy kobiety w pieczarze.

Fatalnie im się wyprawa powiodła, uciekać musieli z niczem a ścigający ich żandarmi zastrzelili hersztą i dwóch zbójców — kilku raniąc. — Przepłoszona banda ledwie pod wieczór do swej nory się przewlokła.

Teraz zaczęto wybierać hersztą i Aleksey większość głosów został hersztem obrany.

W czasie niebytności zbójców zapewniła Marucha Bronię, że jej uciec pomoże, trzeba tylko czekać gdy się na większą wybiorą wyprawę — mówiła wprawdzie, że jej żal panienki, by się między zbójcami poniewierała, ale głównie chodziło jej o usunięcie rywalki do warzochoy.

Teraz następowała wyprawa za wyprawą, gdy się raz po długich przygotowaniach na większą wyprawę zbójce wynieśli — porozumiała się Marucha z huculem idącym na odpust do Kołomyi — przebrała Bronię po huculsku i oddała pod opiekę hucula. — Jako córka starego Maksyma, jadąc na huculskim koniku, przybyła Bronia bez żadnej przeszkody do Kołomyi. Tu obdarowała hucula resztą pieniędzy, jakie miała przy sobie, posprzedała złotego medalioniku w Kołomyi i udała się pod opiekę kołomyjskiego starosty, dalekiego kuzyna wojewody.

VI. Żółte Wody.

W czasie gdy się powieść nasza rozgrywa, bunt Chmielnickiego był dopiero w rozwoju. Jak wiadomo Chmielnicki, jak jedni powiadają, był szlachcicem z Marowsza, według innych z Rusi Czerwonej, syn bitnego żołnierza, któremu za zasługi dano słobodę Sobotów, w starostwie Czechryńskim. — Współcześni mu historycy charakteryzują go jako człowieka zuchwałego i śmiałego, nieubłaganego w zemście, przebiegłego, dumnego a przytem skromnego, chytrego lecz otwartego — stosownie do potrzeby.

Naprzód służył Chmielnicki u Żółkiewskiego potem u Daniłowicza, wreszcie wkradłszy się w łaski Władysława IV. i Koniecpolskiego hetmana w kor. został Pisarzem Zaporoskich kozaków.

Król wiedział z kim ma do czynienia znał jego szaloną odwagę i zdolność — toż podczas zamierzonej wojny przeciw Turkom dał potajemnie zlecenie uzbrajania kozaków by ich w danej chwili można było użyć.

W tem zaszedł przez nikogo nieprzewidziany wypadek, wypadek brzemienny w groźne następstwa na przyszłość.

Podstarości Aleksandra Koniecpolskiego Daniel Czapliński — odebrał Słobodę gwałtem Chmielnickiemu, a na domiar złego porzywa mu żonę.

Wściekłość Bohdana nie miała granic, porzyścił zemstę krwawą wszystkim polakom,

U kozaków rozdmuchuje z łatwością tlejący zarzewie nienawiści i chęci odwetu za niejedną krzywdę od polaków doznana.

Po śmierci Barabaszenki został Chmielnicki obrany wodzem kozaków. Wciąż myśląc o zemście począł gromadzić wojska, wreszcie na zagładę Polski, zawiera przymierze z Hanem tatarskim.

Kasztelan krakowski Mikołaj Potocki, nie wiele sobie z Chmielnickiego robiąc, wysłał naprzeciw niego swego syna Stefana, niedoświadczonego młodzieniaszka z małą garstką wojska.

Opuściwszy zdobyty zamek, gdzie tylko nieliczną załogę zostawił, szedł Chmielnicki w forsownych marszach z całą swą potęgą przeciwko wysłanym przeciw niemu nielicznym hufcom wojsk koronnych. Pod wieczór zbliżyły się tak dwa wojska, że prawie strzelać do siebie mogły, ale, że już noc zapadała, odłożono ostateczną rozprawę do dnia następnego.

Bronia znajdowała się w polskim wojsku, albowiem starosta kołomyjski wiedząc, że wojewoda znajduje się w wojsku Potockiego wysłał ją tam. Po drodze spotkała się z wojskiem młodego Potockiego i dowiedziała się z radością, że w tem wojsku ojciec jej się znajduje. — Wojewoda pałając chęcią, jak najprędzej waleczyć z tym, co zdradą z zamku go wyrugował, a przy tem mając nadzieję, że w wojsku Chmielnickiego znajduje się Bronia, pociągnął z wojskiem Stefana Potockiego.

Czułem było powitanie Broni z sędziwym ojcem i Romanem, który się też w obozie znajdował. — W nocy postanowiła Bronia nikomu nie mówiąc, przedrzeć się do obozu wrogów, by wymiarkowawszy ich siły donieść o tem polakom. Nie namyślając się wiele bohaterska córka wojewody, udała się w kierunku, gdzie światła wskazywały obóz nieprzyjacielski.

Zaledwie się do obozu zbliżyła, zatrzymały ją czaty, a dowiedziawszy się, że idzie z obozu polskiego, jako szpiega, posłali ją do namiotu Chmielnickiego. Wódz kozaków nie spał jeszcze, kazał ją więc do siebie przywołać i groźnie zapytał czego szuka i co szpieguje.

— „Nie szpieguję wcale“ odparła Bronia „ale szukam Aleksandra“.

Rozśmiał się Chmielnicki, mogłaś pani coś lepszego wymyśleć, czyż nie wiem w jakimś pani była stosunku do Aleksego.

Ale Bronia nie zbita wcale z tropu, opowiedziała o swych przygodach między zbójcami, zamilała tylko o ucieczce, pobycie u starosty i w obozie polskim. — „Cóż mi czynić należało“ zakończyła swe opowiadanie, czasy burzliwe — samej dziewczynie niebezpiecznie się błąkać po kraju, o ojcu i Romanie nie mam wiadomości, z Aleksym wychowałam się od dziecka, o choć w innych warunkach brzydziłabym się udawać pod opiekę zdrajcy — ale uniewinnia go to, że właśnie z miłości dla mnie, z rozpaczyny niemal nas zdradził, a miłość jego jest mi właśnie rękojmią, że się mną szczerze zaopiekuje.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Techtel-Mechtel z przeszkodami.

(Dokończenie).

VI.

Smutne zakończenie.

Komuś nareszcie było już za wiele,
Tego zgorzenia a więc doniósł śmiecie,
Wszystko mężowi co bawi w stolicy,
Napisał, „panie pilnuj swej spodnicy.
Grube pieniądze szlesz jej na kuracze,
A ona tu inne miewa rekreacye.
Gdzieś aż z Krakowa żydek tu zawitał,
Ten się nie wiele o skrupuły pytał.
Że to mężatka, zresztą ona sama,
Go usidliła, więc dla pana plama.
Z tego wynika. „Maż się z gniewu wścieka,
Pana doktora uśmiercić przyrzeka.
Siada na kolej przyjechał wieczorem,
„Gdzie żona?” pyta. „Przed chwilą doktorem
Poszła do lasu,” kelner opowiada.
„Ha! więc to prawda, ta cała szkarada,
Prowadź mnie chłopeze” idą, my za niemi,
To ludzki zwyczaj cieszyć się cudzemi.
Bieda albo wstydem, wchodzim do lasu,
Tam para grucha i używa wezasu.
Maż jakby deus wpada ex machina,
Teraz się scena wyborna zaczyna:
„Z tobą się pani już później rozprawię,
„Lecz wprzód żydzika podłego zadławię.”
„Co to? gwałt, rozbój. jakie pan masz prawa,”
„Pan śmiesz się pytać, a to rzecz ciekawa.”
„Jestem jej mężem i pomszczę się krwawo,”
„Ja panu wskażę gdzie jest moje prawo.”
Zmiekła Mendlowi bojaźliwa rura,
Patrzy gdzie można urządzić tu nura.
Na jego szczęście księżyc gdzieś się schował,
Mendel się zmianą nader uradował,
Uciekł jak zając, do domu powraca,
Chwile pobytu w Iwoniezu skraca.
Siada na powóz i na dworzec jedzie.
Tymczasem maż swą lubą żonkę wiezie.
Ja z nią mieszkalem ścianą prze dzielony,
Wróciłem, słucham, maż strasznie wzburzony.
Krzyczy na żonę, wreszcie słyhać razy,
„No, masz nagrodę, mój honor bez skazy.
Tyś wystawiła na hańbę, ohydna,
I jeszcze tyleś mogła być bezwstydną.
Romans ze żydem prowadzić po noccy,
Nędzna kobieto, tyś w szatana mocy.”
Z tego naukę bierzcie o mężowie,
Do kąpiel żony nie jeżdżą po zdrowie.

Kącik humorystyczny.

* Na balu.

Pani pozwoli, że przedstawię pani mego przyjaciela.

Ależ ja pana wcale nie znam.

To nie nie szkodzi, mój przyjaciel zaraz mnie przedstawi.

* Szybki rachunek.

Prawda, że pani masz dzieci?

Tak, siedmioletniego synka i pięcioletnią córeczkę.

Mój Boże, jak to czas leci, ktoby pomyślał, że pani już 12 lat zamężna.

Dziesięcioro przykazań prawowiernego obywatela stanisławowskiego z komentarzami.

1. J am jest świetny Magistrat, pan twego życia i śmierci, który cię trzyma w niewoli żydowskiej — nie będziesz miał innych Magistratów przedemną.

2. Nie będziesz brał imienia Magistratu twego nadaremno, czyli niewycieraj sobie gęby Magistratem, bo on jest od tego aby nie robił, a tobie do tego zasi.

3. Pamiętaj, abyś szanował święta magistrackie t. j. dni, w których magistrat nie robi, dni takich ma rok magistracki 365, zaś w roku przestępnym 366.

4. Czej Magistrat twój, Burmistrza i Radę miejską, abyś długo żył — jeśli nóg na drogach tutejszych nie połamiesz, w błocie się nie utopisz, przy tem oświeceniu głowy nie rozbijesz, aby ci się zresztą w ogóle dobrze powodziło.

5. Nie zabijaj Magistratu twego pisaniem do „Nowin stanisławowskich”, lecz jak na porządnego obywatela przystało, czytaj „Przegląd stanisławowski”...., albowiem „błogosławieni ubodzy w duchu, ich jest królestwo Magistrackie — czyli możesz zostać kiedy radnym.

6. Nie mów o nieczystościach Magistratu t. j. o błocie, które ten Magistrat pielęgnuje, zachwycaj się wonią zdechłych kotów i szczurów w rynsztokach gnijących.

7. Nie rozkradaj dobra Magistrackiego, nie wynieś z sali radnych podczas posiedzeń spiętego radnego — nie ukradnij przyrzędu parowego do zgartywania błota — nie ukradnij uporządkowane archiwum miejskie — nie kontroluj sumienia niektórych radnych co się tyczy dostaw i t. d. — Nie niszczyć parku miejskiego z wielkim nakładem w śródmieściu założonego — nie tłucz lamp żarowych Auera na ulicach Sobieskiego, Zosina Wola i tylu innych. Przedewszystkiem nie kradnij nam żydów z Wiceburmistrzem na czele.

8. Nie mów fałszu przeciw Magistratowi, lecz słuchaj nabożnie co pisze „Przegląd stanisławowski”...., ten Magistratu nie zgani — jemu wierz na słowo, a będzie zbawioną dusza twoja.

9. Nie pożądać Rady miejskiej, ani krzesła radzieckiego.

10. Ani koni Magistrackich, ani osłów, prawda tych w Magistracie nie ma (jako? czyżby wszyscy radni wyginęli?) ani policaja ani batiara do zgartywania błota, będącego na łaskę wym chlebie, ponieważ go się przez cały rok nie używa, ani łopat, ani mioteł magistrackich, ani żadnej rzeczy, która jego jest.

Odmawiać trzy razy dnia z prośbą do przemienienia pańskiego.

* Dobry ojciec:

Czy panu wszystko jedno, z którą z moich córek pan się ożenisz?

Zupełnie wszystko jedno.

W takim razie, weź pan najstarszą, ta się będzie najwięcej cieszyć.

Student: Oczem przed moim starym, dziwna rzecz skąd on bierze tyle pieniędzy, które ja przepuszczam.

Bankier: (który właśnie przyjechał do miejsca kąpielowego z córką) kelner, kurlistę; (kelner przynosi, bankier daje córce listę i mówi:) Masz, wybierz sobie męża.

Feldfelbel: Wczoraj widziano pana panie jednorocznika po cywilnemu, powinienes się pan wstydzić, żołnierz po cywilnemu to tak jak na niebie zaćmienie słońca.

Ojciec: słuchaj, czy ten twój kolega, z którym przystajesz jest z porządnego domu? Syn: O! pewnie, przysyłają mu miesięcznie o 20 złr. więcej, niż mnie.

* Prawdziwa przyjaźń:

Nie gniewaj się żonczko, ale w tej twoje przeładowanej tualecie wyglądasz o 10 lat starszą.

A! to dlatego moja przyjaciółka Zosia zapewniała mnie, że wyglądam w niej o 10 lat młodszą.

Przygody pana Józefa Magendufta

na świeże powieczy.

(Ciąg dalszy)

IV.

Nieproszony goszcze na moi skóry.

Ledwie trochę ze strachu do siebie przychodzę

A tu już los mi nowe nieczęści łagodził.

Urządzono majówkę znów zrobić do lasu,

Tylko blisko ażeby nie był ambarasu,

Ja im mówię wiececzkę nie warto jest zrobić,

Zawsze czeba szę trochę do tego sposobić,

Może trafić nieczęści jak to w lasu bywa,

Oni w szmich „wiemy, wiemy, czemu pan

[tak szpiwat

Pam nam chce z nieczęści pozawracać głowę,

A pan miszli na swoje spodniki pikowe,

Zrumieniałem na gębie, jak ćwikłowe burak,

Tylko miszle czekajcie ja nie takie durak,

Pikowe spodnie moje zostawiłem w domu,

A wzięłem z „segeltuchu” co to szkodzi komu?

W tych szę mogę już cały wikompać u w

[kawę,

A potem powycirać na zielone trawie.

Przyszed szabas, majówka, wiececzka, jedziemy,

Ja yz moi familii, wesoło szmiejemy,

Przyjeżdżamy do lasu — już muzyka czeka,

Zagrała Gigerl - marsza a młodzież nie zwleka,

Wyłapała panientki i z wozów ściągnęła,

Snell polkę grać kazała i zaraz tańczyła,
A ja na nich skrzykniałem „To nie jest no-
[blesa,
Za mych czasów tańczono naprzód polonesa,
„Vivajt“, vivajt niech żyje taniec narodowy,
Pan Magenduft nam pokaże kawałki nowy“,
Wziąłem sobie pod boki tłuste Balsamowe,
Klaskam, tupam z nogami i wywijam z głowę,
Gdy się skończył polones wzięli mnie do góry,
Patrzenie na naszą chlubę izraelskie córki“.
Ja już ciężki i tłusty więc tańcem zmęczony,
Wymknąłem po angielsku do lasu na strony.
Tam rzuciłem na ziemię jakby na kanapie,
Nie minęło pięć minut, ja już głośno chrapie,
Spałem sobie tak słodko jak u pana Bogu,
Aż mi całkiem zdrętniała nie wiem która noga
Wtem „giwałt“ co jest? skrzykniałem zry-
[wam sze na nogi,
I popatrzę na moje zielone podłogi,
Ah! Giwałt ja leżałem na wielkie mrowisko.
Pod głowę jak poduszkę to miałem kopisko,
Gdzie popatrzę to mrówki i pod kamizelki.
I pod spodnie mi wlażyły i pod jäger szelki,
Z rzucam z siebie ubranie jakby opętany,
Nadchodzi towarzystwo widzi moje tany,
Panienki za nos biorą i dostają mdłości,
I wołają „wun ni ma nawet koliczności“.

IV.

Niegrzeczny Niedźwiedź czyli obliwany poniedziałek.

Gdy jeszcze mi nie całkiem wszystko odpuch-
[niło,
A tu już nowe nieczęści na mnie spadniło,
Przychodzował znów Cybuch, fras na jego
[głowę,
I zaczął propozycje mnie dogadać nowe,
„Wisz co Józo“ powiada „to nieczęści twoje,
Ze swojskie dżyki szwyni nie był z wny
[moje“,
To ten goj pobereźnik cholery na niego,
Narobił brzydkie rzeczy na spokój twójego“.
Teraz weźmiemy szelby pójdziemy na szpaki,
Niech sobie nie wyszmieją wszystkie łapser-
[daki,
Że ty się boisz szczelić, nu co było robić,
Zawrócił moje głowę czeba si sposobić.
Wziąłem szelby ze szczany idziemy do lasu,
Zakradniemy sze czicho całkiem bez hałasu,
Aby szpaki nie spłoszyć — nigdzie szpaki
[nie ma,
Idziemy coraz dalej mnie już bierze trema,
Że się jeszcze zgubimy — Cybuch sze wy-
[szmiwa,
Że ze mnie jest bojahus i majufes szpiwa.
Szpaki gdzieś pochowały nie ma i ogona,
Raz tylko wyleciała jakaś czarna wrona,
I drapniła z krzyčeniem jakby ją coś rznęło,
Wtem słyszę wus yst? giwałt w lesie cosz
[ryknęło,
Na mnie mrówki ze strachu wylażą na plecy,
Patrze cybuch zbladł cały porzucił swe hecy,
I wylaży na drzewo, ja pitam do niego,
Cybuch? co jest? co robisz, po co i dlaczego.

Nu Cybuch szedzi czicho jak mysz w swoje
[dżury,
Wtem wylaży niedźwiedź na mnie mit grojse
[pażury,
Jak ja jemu zobaczył, byłem toid ze strachu,
A Cybuch sobie szedzi jakby kot na dachu,
Upadnięm ze strachu leżę jak umarły,
Przychodzi niedźwiedź do mnie, to nie były
[żarty,
Wacha, wacha, czy żyję poczuł woń cebuli,
Nie smakował mu zapach zaraz uszy stuli.
Kichnął sobie czy razy ja miszłę na zdrowie,
I czekam czy wun mi co na ucho nie powie,
A un nogę tę z tyłu podnosił do góry,
I jakby deszcz co padni z wielki czarny chmury,
Pokropił mnie całego ale nie z perfumy,
Miszlałem że cholera pachnie albo dżume,
Niedźwiedź poszedł a Cybuch krzyczy „To
[kawałek“,
Niedźwiedź ci zrobił oblewany poniedziałek.

Ciekawość ukarana.

Humoreska.

(Ciąg dalszy).

II

Został wreszcie Piotruś przedstawiony,
przetanieczył jak we śnie lansiera, poczem prze-
szedł z swą danserką i panem radcą do sa-
li jadalnej, siadł obok panny Wici i podczas
kolacyi bawił ją tak, że była zachwyconą i
jego trafnymi uwagami i wyskokami niewin-
nego humoru. Piotruś posiadał wiele nauki
i towarzyskiej ogłady, zresztą koniak uczynił
swoje, dość, że niezgrabny nieco zazwyczaj
w towarzystwie pań, pan doktor, stał się na-
gle rozmownym, wesołym, dowcipnym.

Panna Wicia, była z tych młodych panie-
nek, które jeszcze patrzą na świat przez róż-
żowy ćwikier, nie zepsuta światem, nie nudna
emancypantka, słowem panienka jak cacko.

Piotruś był zachwycony, oczarowany i,
po troszę zakochany, bo świat leci telegrafem
telefonem, mikrofonem jak to śpiewa swym
uroczym głosem w biednym Jonatanie nasz
wielki (wzrostem) Myszkowski.

Po kolacyi tańczył dalej z panną Wicią,
patrząc z zazdrością gdy ktoś inny także miał
to szczęście z nią tańczyć. — Po skończonym
balu pospieszył do garderoby ubierać pannę
Wicię, potem sprowadził ją ze wschodów i
wsadził do powozu. Gdy się przy wsiadaniu
z nim żegnała z wdzięcznym uśmiechem po-
dając mu rączkę, niemal się nie rozplynął
z rozkoszy pan doktor mimo 20. stopniowego
mrozu. — Jak na sto koni wsadzony, powró-
cił po swoją garderobę, po drodze schwytał
go Froterkowski, — cóż ty uciekasz, prawdzi-
wa zabawa dopiero się zaczyna, tańce skoń-
czone, ale zostaje bufet i męskie towarzystwo,
no a nasz koniak?

— Wybacz kochany jestem zmęczony, o 9
mam wykład.

— No ale kazałem zarezerwować butelczkę
koniaku.

— Jeśli o to chodzi, chodźmy na górę, ko-
niak zapłacę, napiję się nawet strzeziennego
a z resztą to ty się już uwiniesz z którym-
kolwiek z kolegów.

— Tak mi mów, walny z ciebie chłop, no
daj pyska, gratuluję ci panny, a nie zapomnij
mnie na wesele zaprosić.

Nie czekając protestów Piotrusia, pobiegł
pędziwiatr an carriere do bufetu, gdzie Pio-
trusia projekt został w czyn w prowadzony.

Uwolniony Piotruś z uścisków „kochane-
go“ kolegi, powrócił do domu, ale mimo znu-
żenia, sen go się nie czepiał, piękne oczy
panny Wici, były zdaje się przyczyną bezsen-
ności. Nie opuścił jednak wykładu, był tylko
bledszy jak zwykle.

Z upragnieniem doczekał się stosownej
pory do zrobienia wizyty, wsunął się w frak
i t. p. nieodzwonne do pierwszej wizyty akce-
sorya, wsiadł do fiakra i popędził z wi-
zytą — nie potrzeba dodawać gdzie.

Papy dobrodzieja nie zastał w domu, za
to panna Wicia w niebieskiej sukience (jego
ulubionym kolorze) przyjęła go serdecznie, jak
dobrego znajomego. Ani się spostrzegł, że
przepisanych wedle recepty mody 5 minut już
kilkanaście razy minęło, gdy wszedł pan radca
swym miarowym krokiem.

Pan radca wielki gadatiwus, ani zważał,
że Piotruś z pierwszą wizytą, ani sobie dał
gadać, że chce odejść. Mrugnął na córkę, ta
zaczęła przyrządzać kawusię i tak Piotruś jak
gdyby w tym domu „kopę lat“ bywał, został
na kawie, wypił sporą dozę „lubezyku“ i zo-
stał na wieki stracony dla szlachetnej branży
starych kawalerów. Przy pożegnaniu został
przez pana radcę zaproszony do odwiedzania
ich jak powiadał „skromnego domku“ a i
Wicia nie zapomniła o nieuniknionem „niech
pan o nas nie zapomina.“

— Biedny doktor oszołomiony tem ser-
decznem przyjęciem, spostrzegł z przestra-
chem, że się zakochał powyżej swych doktor-
skich uszu.

— „Ale co tam“ pomyślał „fortuna auda-
ces adiuvat“. — Zaczął bywać z razu rza-
dziej, potem coraz częściej, aż wreszcie do-
piął swego — panna mu była wzajemną.

Ale jak to Piotruś, nie mógł pomieścić
tego w swej mądrej głowie, by obywatelska
córka, zajęła się nim, synem kominiarza —
„chodzi jej o stanowisko, o majątek“ przy-
puszczał, o swych zaletach osobistych mało
wiedział.

Raz gdy już dość późno wieczorem po-
żegnał się z swym ideałem, gdy się już zna-
lazł na ulicy dziwna myśl przyszła mu do
głowy.

C. d. n.

Prenumerata
miejscowa i za-
miejscowa wy-
nosi rocznie 3 zł.
60 ct., półrocznie
1 zł. 80 ct., kwar-
talnie 90 ct.

Numer pojedyn-
czy 10 centów.

NOWINY STANISŁAWOWSKIE

Czasopismo ekonomiczno-społeczne.

Wychodzi 3 razy na miesiąc, każdego 1., 10. i 20.

Inseraty:
Słowo petitem 1/2
ent., garmentem
1 ent., za duże
litery oblicza się
osobno. — Abo-
nament taniej. —
Kwadraty humo-
rystyczne 50 ct.
W rubryce „Na-
desłane” 10 ent.
od wiersza.

Adres Redakcji i Administracji: ulica Zosina Wola 1. 69.

Kalendarz. Grudzień (1) N. 1. *Adw. Eligiu-
sza.* (2.) *Bibianny p.* (3.) *Franciszka Ksaw.* (4.) *Bar-
bary panny.* (5.) *Sabby opata.* (6.) *Mikołaja biskupa.*
(7.) *Ambrożego.* (8.) N. 2. *Ad. Niep. Pocz.* (9.) *Le-
okadyi.*

Czego miastu naszemu potrzeba?

Gdybyśmy chcieli wszystko poru-
szyć, co miećbyśmy powinni, a czego
nie mamy musielibyśmy dziesięć ta-
kich artykułów napisać a nie skończy-
libyśmy litanii postulatów.

Ponieważ po walcu parowym wi-
dzimy, że Magistrat czasem się budzi
z uspienia, i coś dla miasta czyni,
więc mamy nadzieję, że i parę uwag
mu się przyda.

Są ludzie, a i towarzystwa, które
potrzebują by im ktoś myśl podał,
popchał, a zrobią wszystko. Chcą
dobrze robić, ale brak im inicjatywy
i odwagi.

Miastu naszemu potrzeba trotoarów,
ale nie asfaltowych, lecz z kamienia
trembowelskiego, rynek powinien być
sześciangami granitowymi lub piasko-
wymi, równo wybrukowany.

Oświetlenie powinno być gazowe
jednakowe na wszystkich ulicach, bo
jeśli się ściąga podatki od wszystkich
mieszkańców, to i wszyscy mieszkań-
cy powinni mieć z tego użytek.

Tak samo nie wystarcza zamia-
tać błoto a w lecie kurz skrapiać,
przed domami radnych, o resztę się
nie troszcząc.

Stanisławów jest bardzo upośledzo-
nym pod względem publicznych ogra-
dów. Mamy zaledwie wały, otóż te
wały należałoby uporządkować, sta-
ranie w ładzie utrzymywać i w ogó-
le do europejskiego stanu przyprowa-
dzić. Stanisławów coraz się powięk-
sza, kamienice rugują ogródki, dymy
z kolei i fabryk, a zwłaszcza z gazo-

wni, zanieczyszczają powietrze, jedyną
radą na to, pielęgnowanie ogrodów
jakie już są i zakładanie plantów i
skwerów po placach.

A propos gazowni. Ciekawa rzecz
kto i za ile, pozwolił na to, ażeby ga-
zownię wystawiono niemal w śród-
mieściu, a niebezpieczeństwo pożaru,
a fetor niemożliwy? Proszę zobaczyć
gdzie n. p. we Lwowie jest gazownia.

Że ementarz leży w mieście, to
winą niczyją nie jest, bo ementarz
był daleko od miasta, ale miasto się
rozszerzyło i przybliżyło. Ostatecznie
prędzej czy później, ementarz trzeba
będzie dalej przenieść, ze względów
sanitarnych.

W lecie do największej przyjemno-
ści należy kąpiel rzeczna, my rzeki
mamy, ale niestety dość daleko a nikt
się nie znajdzie, by zaprowadziwszy
omnibusy, sam dobrze zarabiał, a pu-
bliczności uczynił wygodę, gdyż nie

W czym nasza siła?

(Dokończenie).

Jakiż z niego będzie majster? Naturalnie
zły. — Za granicą, syn rzemieślnika, nieraz
kończy szkołę przemysłową, a nawet techni-
kę, poczem się ima ojcowskiego fachu. Taki
człowiek może i w istocie rozwija i ulepsza
coraz więcej swe rzemiosło, a co za tem
idzie, powodzi mu się dobrze i przychodzi
do majątku. U nas chłopak, parę klas gi-
mnazjalnych lub realnych mający, już się
wstydi iść do rzemiosła, staje się raczej
dyurnistą i powiększa i tak liczny zastęp
proletaryatu inteligencji. Ten sam jako
rzemieślnik mógłby być panem, lecz fałszy-
wy, a niczem nieuzasadniony wstyd, każe
mu pracować, jako wieczny parjaks społe-
czeństwa o głodzie i chłodzie.

Mamy co prawda nieco szkół fachowych,

ale to wszystko do potrzeby jest prawie ni-
czem. Jest u nas drobny przemysł, przez
lud uprawiany, snycerstwo, koszykarstwo,
tkactwo, garncarstwo, ślusarstwo i t. p. —
w niektórych okolicach całe rodziny i gminy
żywi.

Ale to wszystko powinno być w jakiś sy-
stem ujęte, ludziom tym należy pomóc,
otworzyć im miejsca zbytu. Czyni się coś-
kolwiek i w tym kierunku, ale niestety jak
mało!

W ostatnich czasach nowa gałąź prze-
mysłu powstała w Galicyi — myślę o prze-
myśle naftowym. Podnóża Karpat znane są
od wieków z bogactwa soli, w czasach no-
wszych, skarby prawdziwe dla przemysłu
odkryły.

Wyżyna galicyjska bogata w tereny na-
ftowe, wytworzyła przemysł naftowy, dziś
mamy już t. zw. „polskich nafiarczy”. Wielu
na nafię porobiło już majątki, mniej ostrożni
potracili, ale gdy się zesumuje plus i minus,
a doda do tego ilu setkom i tysiącom ludzi

ten przemysł chleb daje, dojdziemy do nader
pomysłnych rezultatów. I tu obcy, wietrząc
świetny interes usiłowali zalać nas swymi
ludźmi, przybywali speculanci z stron obcych,
a nawet zamorskich, ale dzięki Bogu nasi
skuteczną z nimi walkę prowadzą i dzisiaj
przemysłem naftowym słusznie możemy się
szyczyć.

Ważną dla Galicyi, jako dla kraju rolni-
czego jest kwestya gorzelnictwa. Rząd tak
wielkie nakłada podatki na wyrób spirytusu
i zupełnie w swój zarząd ten przemysł chwy-
ta, że coraz mniej rolnicy nasi mogą mieć
z gorzelnictwa pożytku. Tu i owdzie ludzie
przedsiębiorczy, próbują przemysł u nas ro-
zwinąć, zakładają piarnie, cukrownie,
jednym się więcej, drugim mniej szczęści,
ale sama myśl, że się już coś w tej sprawie
czyni, jest dla nas pociechą, że i ten odło-
giem u nas leżący sposób zarobku, ta jake-
śmy powiedzieli, przyszła nasza siła, obok
rolniczej, pomału na właściwe wejście tory.
Powiedziawszy słów parę o ludzi i o prze-

każdego stać, na płacenie codziennie 60 ct. fiakrowi.

Wartoby jako delegata wysłać jednego radnego do Kołomyi, by się przypatrzył jak tam wyglądają budki kąpielowe miejskie na Prucie, ile Magistrat przez lato na nich zarabia i może by tu to zaprowadził, bo obecne prywatne szatra są do niczego.

Tyle na razie, innym razem powrócimy do tego tematu.

Z bruku.

Uderz w stół, nożyce się odezwą — narzeszoie wylazło sztydło z worka i w najnowszym numerze „Przeglądu stanisławowskiego“ jakiś pan Zbigniew napadł na naszą Redakcyę.

Po raz pierwszy i ostatni odpowiadamy na to piśmidło — ponieważ ze szmatami walczyć nie myślimy, nie chcemy sobie ręk walczyć, biorąc łachman do ręki. Kto nogę postawi w kałużę, błoto go obryzga. Naszem postawieniem nogi, było napisanie „Dziesięciorga przykazań magistrackich“. Płatny jurgieltnik „Przegląd“ nie mógł tego zostawić bez odpowiedzi. Gdyby pan Zbigniew et consortes mieli czyste sumienie, toby nas ten napad nie dziwił, ale na kim cięży sprawa propinacyjna dzięki której miasto taką wielką sumę straciło a która to sprawa z powodu znanej baraniej odwagi radnych została zatuszowana, ten nie powinien z żadną Redakcyą w której skład wchodzi ludzie nieposzlakowani i powszechnem szacunkiem się cieszący, wojny zaczynać.

Pan Zbigniew zarzuca nam nieznaną sobie stosunków tutejszych — któż jak nie rdzenni stanisławowianie te stosunki ma znać? Gdybyśmy jednak rzeczywiście stosunków nie znali, to o tyle jeszcze postaramy się poinformować, by sprawę propinacyjną oświecić.

zbieramy już materyały — a dodamy, że lepszą jest moimania dziennikarska, niż kleptomania dobra publicznego.

Najwięcej nas bawi, że p. Zbigniew wciąż się zwraca do jednej osoby — nie wie biedak, że Redakcyja nasza jest spółką z pięciu się składającą, dlatego niech się o koszty nie obawia, jakie ponosimy. U nas jeden ma przydzielone artykuły wstępne i t. d., drugi kronikę, trzeci teatr, czwarty humorystykę a piąty powieści i fejetony.

Naszego fejetoniste bierze p. Zbigniew za główną i jedyną sprężynę, co widać z tego, że mu zarzuca nieświadość stosunków. Ależ panie Zbigniewie — nasz fejetonista sam wiedząc, że stosunków nie zna, nie bierze się do niczego prócz fejetonów i powieści a będąc na stanowisku, któreby mu nie pozwalało na robienie polityki, pisze niewinne powieści o treści tak niepodważanej, że sam p. prokurator mógłby być ich autorem — no a w państwie austriackim, żadnemu obywatelowi tak niewinnej rozrywki nikt nie wzbrania. Pan Zbigniew doradza nam zimną wodę — my i bez jego rady bardzo lubimy zimną czystą wodę — woda służy nam do mycia i kąpieli, ale zdała by się woda p. Zbigniewowi, możeby mu nadszargane sumienie trochę przepłukała, a zdałoby się.

Zresztą o ile nam wiadomo, pan Zbigniew prędzej czy później dostanie się do pensjonatu p. Neussera — jego błędny wzrok najlepiej o tem świadczy, zresztą powagi lekarskie twierdzą, że wyjazd jego na willegiaturę w uroczą lwowską okolicę, zwaną „Kulparkowem“, jest tylko kwestyą czasu.

Czem się różni „Przegląd stanisławowski“, od „Przeglądu lwowskiego“ niczem — tamten bierze pieniądze od Länderbanku, ten od Magistratu i t. p. tylko, że tamten jest świetnie redagowany a nasz „Przegląd“ jest moralnem zerem.

Nam zarzuca p. Zbigniew, że źle redagujemy — każdy bezstronny przyzna, że nasze

redagowanie do redagowania „Przeglądu“, ma się jak 100 do 0.

Co do tego, że rozesłaliśmy pierwszy numer okazowy gratis, też nam p. Zbigniew robi zarzut, proszę uważać jak słabymi argumentami walczy „Przegląd“. Prawdopodobnie p. Zbigniew gdy jeszcze praktykował na dziennikarza w Honolulu, nie wiedział o tem, że jest to zwyczajem przez wszystkich Redakcyę przyjętym „rozesłać gratis“ numer okazowy — ale u nas w Europie mógł się już o tem dowiedzieć.

W tych dniach zacznie wychodzić w Krakowie „Kurjer poranny“ ten rozeszle pierwszy numer w 20.000 egzemplarzy — tak uczynił swego czasu „Głos Narodu“ i wszystkie w ogóle Redakcyje. W jakim sposobie publiczność ma się dowiedzieć, że nowe pismo wychodzi — trudno przecież czekać, aż jakiś p. Zbigniew w jakimś tam „Przeglądzie“, zrobi reklamę szczerkamiem. Sapienti sat, my jednak za takiego p. Zbigniewa uważać nie możemy.

„Nolis jacere margaritas ante porcos“, nie dla p. Zbigniewa piszemy, a ponieważ prenumerata już nam nakład pokrywa, więc mało dbamy o sąd półgłówka.

Dewizą naszą jest „Prawda“, dlatego ludzie dobrej woli założyli „Nowiny“, by paraliżować machinacyje „Przeglądu“ — czyż Stanisławów tak nisko upadł, by wyrazem opinii publicznej był jurgieltnik magistracki? Najwyższy był czas zabrać się do wy-czyszczenia stajni Augiasza, nieprzyjemnie osom, gdy im kto do gniazda zagląda, ale to trudno, jest u nas kreatura magistracka, musi być i organ niezawisły. Nasze „Nowiny“ z zajęciem w stolicach kraju czytają, a o nasz „Przegląd“ żaden pies po za Stanisławowem nie spyta. Miarą naszego redagowania nie będzie p. Zbig., którym „Brodneid“ kieruje ale ubytek prenumeratorów, którzy odróżnią pszenicę od kłokolu.

Tyle słów ewangelii — zastrzegamy się, że na żadne zaczepki „Przeglądu“ więcej odpowiadać nie będziemy, a jeśli „delirium“

myśle, o handlu i rzemiosłach, musimy pójść dalej by rzecz zaokrąglić.

Przejdźmy do właściwej inteligencji, do ludzi umysłowo pracujących. W Galicyi uderza nas nadmierna ilość urzędników. Synowie urzędników, nawet przemysłowców, podupadłej szlachty, a nawet arystokracji szukają kariery urzędniczej. Słusznie można powiedzieć, że im więcej w danym kraju urzędników, tem on biedniejszy. Smutną jest rzeczą, że młodzież u nas, siły i talenta, całe bogactwo ducha, zużywa po biurach rządowych i krajowych. Urzędnicy są potrzebni, nikt tego nie zaprzeczy, ale nie w tym stopniu, by cała młodzież inteligentna jak u nas po za karierą urzędniczą świata nie widziała. Dawniej szlachcic siedział na roli, wolał być rządcą u drugiego gdy podupadł a od urzędów stronił. Dziś gdy rodzina liczniejsza, zwykle najstarszy bierze ziemię i spłaca młodszych. Młodzi bracia obierają sobie zawód wojskowy, duchowny, a przeważnie urzędniczy. Nie da się zaprze-

czyć, że urzęda są jedyną, niemal ucieczką, dla umysłów słabszych, mniej samodzielnych, również jak dla młodzieży ubogiej, lub z niższego stanu, przez naukę do czegoś lepszego dochodzącej. Młodzież więcej samodzielna, przy pomocy z domu, obiera sobie zawód lekarski, najwięksi biedacy duchownemu poświęcają się stanowi, ubodzy a pilni profesorskiemu, ale przeważna większość zostaje urzędnikami, mała część tychże poświęca się adwokaturze.

Ależ bo i dziwić się nie można, przemysłu prawie nie mamy, handel dopiero w rozwoju, cóż więc ta młodzież ma czynić — żyć przecież trzeba.

Nawet technicy dla braku fabryk albo do biur rządowych i krajowych, albo do kolei wstępują. Zwykle urzędnicy po dwudziestu kilku lub trzydziestu latach gorliwej służby, dochodzą do rangi ósmej, do tak tw. złotego kołnierza, szczytu ich marzeń. Takim się już względnie dobrze powodzi i ci z losu swego są zadowoleni. Ale rzesze urzędników

niższej kategorii są zwykle cichymi socyalistami, sarkającymi na szczupłe dochody za ciężką pracę.

Urzędnik rangi jedenastej, mając pensyi z dodatkami 750 złr., zwłaszcza gdy żonaty, czyż nie jest biedakiem?

I poto to przez lat z górą szesnaście w szkołach się uczył, by teraz gdy stanowisko osiągnął, pracował za tak lichą zapłatę? Nawet się dziwić nie można ich zapędem socyalistycznym.

Stan ten anormalny, tak długo się nie zmieni dopóki z rozwojem przemysłu i handlu, nie wejdzie i do nas bogactwo — a wtedy przemysł da zatrudnienie inteligentnej młodzieży intratniejsze i przyjemniejsze. Bo, że ślęczenie po ośm do dziesięciu godzin dziennie nad księgami i „kawałkami“ do przyjemności zaliczonem być nie może — tego chyba nikt nie zaprzeczy. Praca biurowa nie tylko, że małe niesie dochody, ale i zdrowie podkopuje. Inaczej wygląda gospodarz na wsi gdy dzień cały, na świeżem

p. Zbigniewa jest jeszcze w stadium początkowym, to zapewne porzuci napady na nas a walczyć będzie szlachetniej, współzawodnictwem w redagowaniu.

Życzymy mu też opamiętania, bo inaczej p. Neusser rychło zyska pacyenta, gdy sobie krew psuć będzie, nie otrzymując odpowiedzi.

Czesław.

Kronika.

Pamiętajmy o „Fundacyi Kościuszki“, Oświacie ludu, Wawelu, Cieszynie i t. d.

Kurjerowi ad usum. Pan Emil Schayer c. k. urzędnik pocztowy, był u nas w Redakcyi i prosił nas o publiczne oświadczenie, co zgodnie z prawdą chętnie czynimy.

Nie prawdą jest, aby pan Emil Schayer był członkiem naszej Redakcyi, a wszelkie napady na jego osobę, w piśmie nam wrogiem, chybiły celu, bo spudłowały, ale narażyły niewinnie człowieka nie z nami wspólnego nie mającego na nieprzyjemności.

Jużto „Kurjer“ ma specjalny dar robienia z ludzi ucześciwych złodziei, zaś z ludzi Bogu ducha winnych dziennikarzy, ej! Kurjerku, starzej się lub głupiej się.

Mieczysław Jelita Czerkowski
redaktor „Nowin stan.“

— **Polowania.** Sezon tegoroczny nie jest wcale pomyślnym, zwierzyny, a zwłaszcza zajęcy brak, to też polowanie z dobrym skutkiem zanotować należy. W Bukaczowcach i okolicy polowano pod przewodnictwem p. naczelnika Ferusa i ubito w 8 strzeib, 67 zajęcy, 12 capów, 20 lisów, 4 dziki i 14 jarząbków, rezultat jak na tegoroczny brak zwierzyny zdumiewający. Pan W. Popiel jeden

przebywa powietrzu, raz na koniu, raz na wózku, inaczej urzędnik w mieście.

Taki urzędnik podatkowy, laterniujący kolumny cyfer do zawrotu głowy, lub urzędnik pocztowy fachujący stojąco czasem przez dwie godziny z rzędu listy, lub kartujący t. zw. „frachtbriefy“, czyż nie są godni litości? A jednak nie ma na to rady, tylko przez podniesienie przemysłu i handlu, bo wtedy nietylko wielka część młodzieży tym gałęziom pracy by się poświęciła, a ponieważ po urzędach byłoby braki, bo młodzież za lichą dzisiejszą płacę pracować by nie chciała więc i w urzędach, chcąc nie chcąc, musiano by znacznie pensje podwyższyć, już nie z łaski, ale z konieczności.

Byłoby więc dobrze i tym coby się do przemysłu garnęli i tym którzyby do urzędów wstępowali.

Zostaje jeszcze do omówienia stan szlachecki i arystokracja, ale cóż o nich wiele pisać można. Szlachta podupadła przez złą gospodarkę, przez tracenie pieniędzy za granicą, a arystokracja, ta nie liczna jaka jest u nas, jest zawsze jedną i tą samą.

Dlatego na pytanie „w czym nasza siła?“ jedyna odpowiedź — w przemyśle, handlu, rzemiosłach.

z najlepszych myśliwych naszego powiatu zastrzelił zająca całkiem białego, jest to cuniosum, zwierzęta całkiem białe, są to t. zw. albinosy i kwalifikują się do muzeum. Muzeum Dzieduszyckich ma liczne okazy rozmaitych białych zwierząt i ptaków, między tymi białego kruka a nawet białego szczygła, okaz tak rzadki, że trafić się zaledwie może raz na sto lat.

Sprawozdanie zarządu „Macierzy szkolnej“ dla Księstwa Cieszyńskiego za czas od 1. października do 1. listopada 1895.

W miesiącu październiku wpłynęło do kasy Towarzystwa 5026 złr. 64 ct. Wydatki (środki naukowe, ławki, ¼ roczny czynsz z wynajętego domu, płaca dyrektora i nauczycieli, wyatki kancelaryi gimn. i portorya itp.) wynosiły 3042 złr. 76 ct. Cały fundusz na utrzymanie gimnazjum polskiego w Cieszynie wynosi obecnie o ile się da obliczyć z powodu chwiejności kursu papierów około 98.910 złr.

Fundusz stypendyjny dla biednych uczniów gimnazjum polskiego wynosi 7353 złr. 19 ct. W Cieszynie d. 15. listopada 1895.

Ks. Józef Londzin, sekretarz. Ks. Monsignore Świeży, prezes.

— **Wydział Tow. Bratniej pomocy słuchaczyw wszechnicy lwowskiej** zawiadamia, że przyjmuje zgłoszenia na lekce, zajęcia u p. p. adwokatów i notaryuszy, w ogóle zajęcia odpowiednie dla akademików i poleca na nie odpowiednich kandydatów. Biuro Tow. znajduje się przy ul. Żybkiewicza 1. 4. Otwarte codziennie od 12-1 godz. i 7-8.

Za Wydział Towarzystwa „Bratniej pomocy“ na wszechnicy lwowskiej:

K. Wróblewski, sekr. kom. inform., Jan Piepes, przewodniczący.

— **Wyjmujemy z „Gazety pokuckiej“** z dłuższej recenzji. nader pochlebnej dla teatru p. Myszkowskiego tych zdań parę: Oczekiwany w Kołomyi teatr p. Myszkowskiego, który po pierwszym przedstawieniu „Ptasznika z Tyrolu“ tak dobrze zapisał się w pamięci naszej publiczności zjechał do Kołomyi we środę 6. bm. z najnowszą operetką Zeller p. t. „Szttygar“. Pomimo, że p. Myszkowski zaledwie dzień przedtem ogłosił swoje przybycie teatr był zupełnie wysprzedany. Nie pamiętamy tak licznie zebranej publiczności, ale też trzeba przyznać, że teatr p. Myszkowskiego zasługuje pod każdym względem na poparcie. Jest to teatr taki, jakiego dotąd nie widzieliśmy na prowincyi. Nie dziwimy się zatem, że p. Myszkowski z takim towarzystwem i taką starannością ma powodzenie. Publiczność widzi, że teatr pracuje i zasługuje w całym tego słowa znaczeniu na poparcie.

— W poniedziałek dano Mascottę, czyli Dziewczę szczęścia, operetkę graną z wielkim powodzeniem na wszystkich scenach europejskich.

— **Rzym.** Książa arcybiskupi i biskupi ruscy ze Lwowa i Stanisławowa na czele 130 pielgrzymów ruskich przybyli do Rzymu, aby w imieniu narodu ruskiego złożyć hołd Ojcu św. Pielgrzymi ci przybyli z okazji tej, że obecnie przypada 300-letnia rocznica Unii Rusinów z kościołem rzymskim. Uroczysty obchód tej rocznicy odbędzie się w przyszłym roku we Lwowie.

— **Starzec 138-letni.** W jednym ze szpitalów petersburskich znajduje się starzec 138-letni, niejaki Iwan Kuźmin. Człowiek ten wygląda daleko młodziej, mówi dobrze, widzi, słyszy. Urodził się on 1757 r., jako poddany hrabiego Szeremetjewa, mając lat 85 wysłany został za opór przeciw jednemu z hr. Szeremetjewów na 10 lat do Syberyi,

gdzie jednak pozostał aż do ostatniej chwili. W r. 1894 ogarnęła go tęsknota za domem rodzinnym, otrzymawszy tedy paszport, wrócił do Moskwy, a gdy tu nie znalazł już nikogo z rodziny, udał się do Petersburga, gdzie znalazł przytułek w szpitalu. Kuźmin pamięta dokładnie wojny Napoleońskie. Ojciec jego dożył również sędziwego wieku, zmarł bowiem, mając lat 141.

— **Z Krakowa donoszą.** Miasto nasze po kilku dniach gorączkowego ożywienia z powodu wyborów do sejmiku krajowego, żyje dalej zwykłym swym życiem codziennym. Nie brak jednak przedmiotów pierwszorzędnej wagi, interesujących ogół; wszak ster rządu spoczął w ręku Polaka, a nadto dwie teki ministerialne; finansów i spraw zewnętrznych dzierżą także Polacy. Czy jednak kraj odniesie z tego jakie korzyści? — mało kto chyba jeszcze się ludzi. Polakom bowiem zajmującym wysokie stanowiska w Austrii bardzo o to chodzi, aby ich nie posądzono, że dogadzają swym rodakom. Mimo to trudno zaprzeczyć, że miłego doznaje się uczucia, widząc nazwiska ziomków w szeregu tych, na które cała Europa zwraca oczy.

Gimnazjum polskie w Cieszynie, już szczególnie otwarte pomimo tylu trudności i przeszkód — to również przedmiot pierwszorzędnej doniosłości żywo nas zajmujący, jako dowód gorącego patriotyzmu i siły odpornej braci Ślązaków, oraz solidarności całego narodu polskiego, celem dokonania wiekopomnego dzieła.

Książę biskup krakowski Puzyra przejął w spuściznie po swym dostojnym poprzedniku, ks. kardynale Dunajewskim gorącą chęć doprowadzenia do skutku restauracyi kościoła katedralnego na Wawelu. Z jego polecenia w dniu Wszystkich Świętych we wszystkich kościołach diecezji krakowskiej odczytany został z ambon list pasterski, wzywający do składek na odnowienie tej historycznej katedry. Spodziewać się należy, że ten krok księcia biskupa przyspieszy zgromadzenia potrzebnych funduszy na ten tak wzniosły cel.

Nasza rada miejska uchwaliła aby w kościele Najśw. Maryi Panny, który tak po królewsku przyozdobił wewnątrz śp. mistrz Matejko, wystawić mu pomnik kosztem 4.000 złr. Będzie to płaskorzeźba w marmurze wmurowana w ścianę kościoła. Za nim stanie na publicznym miejscu pomnik wielkiego malarza słusznie, że w tej świątyni, tak bardzo przezeń umiłowanej, będzie się znajdować pamiątka przypominająca rysy przedwcześnie zgasłego mistrza.

— **W Wiedniu** popisuje się obecnie na scenie młodzieniec z „żelazną skórą“. Człowiek ten wychodząc na scenę z gołymi rękami i nogami kładzie się na łóżko wystlane ostrymi gwoździami, potem podnosi na ramionach walec najeżony ostrymi sztyftami, na którym zwiesza się trzech ludzi, następnie z zawiązanymi oczami wychodzi po drabinie, która zamiast szczebli posiada ostrza, mieczów, wreszcie tacza się w beczce, najeżonej ostrymi gwoździami. Lekarze nie mogą wytłumaczyć takiego znieczulenia.

— **W ostatnich dniach** zmarło trzech znakomitych mężów: Były minister prezydent austr.: hr. Taffe; w Krakowie jeden z najznakomitszych anatomów współczesnych, — chluba polskiej nauki Dr. Ludwik Teichman, zaś w Paryżu najcelniejszy powieściopisarz francuski, Aleksander Dumas.

— **W zeszłym tygodniu** odesłało biuro sanitarne w Kołomyi sześć osób pokąsanych przez psa wściekłego do Krakowa.

Uroczyste otwarcie kolei Lwów, Kleparów, Janów odbyło się dnia 23. z. m. Stacey

kolejowe Rzesna polska, Domażyr i Janów są już kompletnie wykończone. Regularne pociągi kursować już będą dla użytku publicznego w niedzielę 24. b. m. z chyżością 25 kilometrów na godzinę i będą szły trzy razy dziennie, ze Lwowa do Janowa i z powrotem. Budowa dalszej części linii kolejowej, z Janowa do Jaworowa i przez Krakowiec do Radymna rozpocznie się, z początkiem wiosny i trwać będzie około dwa lata.

Teatr, literatura i sztuka.

Dnia 22. Listopada, odbył się pod dyrykcją p. M. Biernackiego 1. wieczór muzyczny, Towarzystwa im. Moniuszki, w sali teatralnej własnego gmachu.

Program był piękny i urozmaicony. 1. Kwartet smyczkowy F'dur Beethovena odegrany przez obydwu pp. Biernackich i dwóch dyletantów, nie pozostawiał nic do życzenia, odegranym został poprawnie i z przejęciem się klasyczną muzyką, mistrza tonów.

2. Spiew p. H. wprost zachwycał słuchaczy, tak, że musiał pieśń „Kocham cię“ powtarzać.

3. Koncert smyczkowy Sitta, odegrany przez p. A. Biernackiego, sprawił na słuchaczy muzyki, nader miłe wrażenie, pan B. jest skrzypkiem par excellence i każde miasto, może nam takiego artysty pozazdrościć. Co za czystość tonów! skrzypce płaczą i śmieją się, stosownie do woli artysty, a jak cudowne staccato, jak czyste harpegie, smyczek z taką lekkością biega po strunach jak gdyby nie ludzką ręką był poruszany, ale jakiegoś elfa.

Nadzwyczaj miłą niespodzianką, była suita krakowiaków, Noskowskiego. Serdeczne dzięki należą się tym, co koncert układali, za pielegnowanie muzyki rodzinnej, swojskiej. Niechżeś to będzie przykładem dla urządzających koncerta. Jeśli ci panowie myślą, że nas tylko klasycznymi i obcymi utworami karmić można to się mylą, muzyka klasyczna jest piękną i pielegnować ją należy, ale do duszy przemawia, po strunach serca gra, tylko ta nasza, kochana.

W muzyce obcej możemy podziwiać genialny układ, bogactwo tonów, wreszcie technikę i wykonanie, ale nie każdy jest znawcą muzyki ciężkiej, klasycznej, są i tacy, którzy pragną muzyki, ale tej zrozumiałej, swojskiej. Gdy usłyszymy Jontka z Halki, nasze krakowiaki, kujawiaki i kołomyjki, to aż się dusza raduje, z krakowiakiem chcielibyśmy wyskoczyć, a z dumką zapłakać. Całe wykonanie suity krakowiaków było wyborne, sola doskonale, a zwłaszcza solo damskie powszechne zyskało uznanie.

Dziękujemy wydziałowi za tę prawdziwą biesiadę artystyczną, prosimy tylko, byle częściej. Nie rozumiemy jednak, dlaczego publiczności mimo licznych zniżek i ułatwień mniej się zebrało niż się należało spodziewać, ha! jest wielu profanów.

Kronika muzyczna. Po raz pierwszy wystawiono w tym miesiącu w berlińskim teatrze Kralla, nową operę liryczno komiczną

Ferd. Hummla p. t. „Wierny filut“. Wielkie nadzieje pokładane w Hummlu zawiodły, nowa jego opera tylko znakomitej roli błazna, przez librecistę doskonale przedstawiona zawdzięcza, że nie zrobiła zupełnego fiaska. Głównymi figurami są król August II., jego błazen i faworyta królewska hr. Cosel. Tytułową partję śpiewał artysta berliński Liebau. Jemu też zawdzięczają autorowie, że sztuka nie upadła. W Wrocławiu wystawiono w obecnym sezonie dwie nowości operowe: „Czar-na Kaśka“, p. Jarno i Kieuzla „Der Evangelienmann“, Dziewczę z Nawarry“ nowa opera Masseneta ma słabe powodzenie w Wiedniu i Paryżu. Autor operetki „Mikado“ Sullivan napisał nową operę komiczną p. t. „Herszt“. We Lwowie z nowości przygotowują „Sprzedana narzeczona“ Smetany i „Mefisto“ Boity, a wznowioną zostanie opera Moniuszki „Verbium nobile“.

NADEŚLANE.

Artykuły w rubryce „Nadesłane“ nie pochodzą od redakcji, która też za nie odpowiedzialności nie przyjmuje.

Ponieważ powiadają, że artykuł p. t. Z bruku, podpisany pseudonimem Zbigniew w Kurjerze stanisławowskim z dnia 24. Listopada miał być przeciwko mnie wymierzonym, mam zaszczyt oświadczyć, że z „Nowinami stanisławowskimi“ nie wspólnego nie mam, do tychże nie pisuję, dziennikarzem nie byłem, nie jestem i być nie myślę, po za domem i urzędem, ani sprawami miasta, ani gazetkami lokalnymi się nie interesuję. Proszę zatem o odwołanie wyżej wymienionego artykułu, lub sprostowanie, że nie mnie się tyczy, zaś w przyszłości wszelkie tego rodzaju ataki ze strony jakiegokolwiek Redakcji, sędownie ścigać będę.

Emil Schayer

c. k. asystent poczt.

Sztuczne kwiaty

z jedwabiu, atlasu, pluszu i t. d.

po cenach najumiarkowańszych, robione na sposób warszawski, są do nabycia. — Bliższy adres w handlu W. Filousa.

Karol Zajączkowski

jubiler i złotnik w Stanisławowie

Główny skład

towarów jubilerskich i złotniczych

ZEGARKÓW DAMSKICH I MĘSKICH.

Wielki wybór pierścionków zaręczynowych i obrączek ślubnych.

Przyjmuje reparacje wchodzące w zakres złotnictwa i zegarmistrzostwa,

rzeczając za dokładne i tanie wykonanie

Hauptstädtische Wechselstube-Gesellschaft

Adler & Comp.

daje losy w ratach miesięcznych płatne, pod najlepszymi warunkami. — Zastępstwo w Stanisławowie. — Wiadomość w Redakcji.

Wincenty Michalski

restauracya i piwiarnia

jedyny w Stanisławowie wyszynk piwa pilzneńskiego, 8 ct. 1/4 litra.

Wyborne potrawy i przekąski. Przyjmuje abonament na obiady.

Wszystko po cenach najumiarkowańszych.

Przewodnik po Stanisławowie.

Fabryka worków papierowych.

J. Dankiewicz ul. Kazimierzowska.

Restauracye.

Michalski ul. Sobieskiego.

Cukiernie.

Zbigniew ul. Sobieskiego.

Handle korzenne.

Kajetan Kopacz ulica

Karpińskiego.

Adolf Gurawski ulica

Karpińskiego.

Magazyn bławatny.

Karol Piskorz ul. Sa-

pieżyńska.

Nożownik i ślusarz

Józef Mazewski.

Magazyn galanteryjny.

Leon Wagner ul.

Sapieżyńska.

Handel papieru.

Leon Weiss

ul. Karpińskiego

Drukarnie.

J. Dankiewicz ul. Ka-

zimierzowska.

St. Chowaniec ulica

Belwederska.

Zegarmistrz i jubiler

K. Zajączkowski ulica

Karpińskiego.

Fryzjer.

Zygmunt Kostynowicz

obok cerkwi katedr.

W rubryce tej płaci się 10 ct. od wiersza, rocznie 3 zhr.

Wyciąg z rozkładu jazdy

c. k. austriackich kolei państwowych, ważny od 1. maja 1895 r.

Podług zegaru miejskiego.

Przychodzą ze Lwowa:

Pociąg pospieszny	10 g 4 m rano
" osobowy	7 " 4 " wieczór
" "	3 " 2 " w nocy
" "	3 " 20 " po poł.

Odechodzą do Lwowa:

Pociąg pospieszny	7 g 5 m wieczór
" osobowy	10 " 5 m rano
" "	3 " 3 " w nocy
" "	2 " 37 " po poł.

Przychodzą z Czerniowic:

Pociąg pospieszny	6 g 40 m po poł.
" osobowy	9 " 49 " rano
" "	2 " 38 " w nocy
" "	2 " 17 " po poł.

Odechodzą do Czerniowic:

Pociąg pospieszny	10 g 14 m rano
" osobowy	7 " 30 " wieczór
" "	3 " 27 " w nocy
" "	3 " 40 " po poł.

Przychodzą ze Stryja:

Pociąg osobowy	9 g 36 m rano
" "	2 " 33 " w nocy
" "	3 " 30 " po poł.

Odechodzą do Stryja:

Pociąg osobowy	7 g 18 m wieczór
" "	8 " 38 " rano
" "	3 " 13 " w nocy

Przychodzą z Husiatyna:

Pociąg mieszany (z Czortkowa)	7 g 52 m rano
" osobowy	6 " 27 " po poł.
" "	2 " 28 " w nocy

Odechodzą do Husiatyna:

Pociąg osobowy	10 g 28 m rano
" miesz. (do Czortkowa)	7 " 46 " wieczór
" osobowy	3 " 48 " w nocy

Przychodzą z Woronienki:

Pociąg osobowy	9 g 27 m rano
" "	6 " 47 " wieczór

Odechodzą do Woronienki:

Pociąg osobowy	10 g 19 m rano
" "	7 " 40 " po poł.

DODATEK LITERACKI

do Nr. 4. „Nowin Stanisławowskich”

z dnia 1. grudnia 1895.

CÓRA WOJEWODY

POWIEŚĆ

(Dokończenie).

— Taką mową wprowadziła w błąd nawet przezornego i przebiegłego Bohdana — rzekł.

— Nie chcę wchodzić, czy słowa twe zawierają prawdę czy nie, zresztą choćbyś nawet szpiegować nas przyszła, pozwalam ci i na to, takiej potędze jak moja w obec garstki polaków, nawet zdrada nie zaszkodzić nie może, bo cóż im pani powiesz, chyba, że na jednego polaka wypada dwudziestu kozaków.

— To mówiąc, pożegnał Bronię, która reszty nocy użyła na dokładne zbadanie sił nieprzyjacielskich.

— O świcie wymknęła się Bronia z powrotem z obozu kozackiego, a przybywszy do swoich, kazała się zaprowadzić do młodego dowódcy. Opisała mu całą swoją wyprawę, dokładnie podała siły nieprzyjacielskie i ze łzami w oczach błagała wojewodzica by zaniechał walki i cofnął się póki jeszcze czas, by się połączyć z głównymi siłami wojsk koronnych, gdyż podejmując bitwę naraża, całe swe wojsko na niechybną zagładę. Ale butny młodzian, pałający chęcią okrycia się sławą, lekcewał sobie przestrogi dziewczyny, przechwalał się, że do wieczora kozaków rozgromi, a Chmielnickiego na pal wbić każe.

Bronia widząc, że na upor wojewodzica, nie nie poradzi, udała się do ojca i poczęła Wojewodę i Romana namawiać, by nie szli na niechybną zagładę.

— Nie rozumiesz tego moja Broniu, sam wiem dobrze, że prócz śmierci lub niewoli, niczego innego spodziewać się tam nie możemy i gdybym był wodzem, cofnąłbym się i nie narażał wojska na zatrącenie, ale teraz gdy tu jesteśmy, w obliczu wroga opuszczać wojsko, tuż przed samą bitwą uciekać sromotnie, byłoby, co najmniej tchórzostwem, a tegobyś sama pewnie nie chciała.

— Przebaczone, mówiłam bez zastanowienia.

Wtem dały się słyszeć surmy wojenne, to Stefan szykuje swe wojsko.

Pobiegł Wojewoda, a za nim Roman na swe stanowiska, pożegnawszy się czule z Bronią.

Jak okiem można było sięgnąć, ława kozaków i ukrytych za niemi tatarów, szła wolnym krokiem naprzeciw polakom.

Potocki mimo młodego wieku znakomicie wojsko uszykował, oddział husary stał w środku.

Przyszło do starcia, strasznym był atak husarzy, zadudniała ziemia pod uderzeniem roslých bachmatów, ciężka kawaleria w zwartym szyku uderzyła w środek wojska nieprzyjacielskiego.

Jak łan zboża kosą ścinany, tak padali kozacy kopytami rumaków tratowani i dzidami husarzy kluci, ale cóż ta garstka mogła uczynić w obec takiej przewagi. Uczynili wprawdzie wyłom w wojsku kozackim, szczerbem tym reszta wojska polskiego rzuciła się w środek wojska nieprzyjacielskiego, polacy walczyli jak lwy, sam Stefan z szaloną odwagą rzucał się w miejsca najniebezpieczniejsze, ale niestety! garstka polaków ze wszystkich stron oskrzydłona, nie mogła podoląć przewadze. Mała tylko część wojska zdołała umknąć w rozsypce, reszta już to w pień wycięta, już to do niewoli wzięta została.

Stefan zginął śmiercią bohaterską.

Czarniecki z 1600 ludźmi został wzięty do niewoli, jako też Sieniawski, Kazanowski i inni.

W niedalekiej odległości stało liczniejsze wojsko polskie, które ciągnęło Stefanowi na pomoc, było to wojsko pod Mikołajem Potockim hetmanem w. kor. i Kalinowskim hetm. polnym.

Kalinowski radził zaraz uderzyć, Potocki zwlekał, wtedy uderzył na nich Chmielnicki, Kalinowski został dwakroć raniony, Potocki wzięty do niewoli a wojsko rozgromione.

VII. Hołd Chmielnickiego.

W Polsce było podówczas bezkrólewie, — Władysław nie żył, wieści nadeszły o klęskach, przerażyły naród zebrany na elekcyę.

Sejm konwokacyjny uchwalił dalsze prowadzenie wojny, na wodzów wybrano trzech regimentarzy, byli to: Książę Ostrogski, Wojewoda sandomierski, Aleksander Koniecpolski i podczaszy koronny Ostroróg.

Gdy się wojsko pomału gromadzi, Książę Jeremi Wiśniowiecki, zbiera własnym kosztem 4000 ludzi i znosi pod Zawichłem Assawulę Krzywonosą, liczącego przeszło 5000 ludzi.

Mieszkańcy miasta Niemirowa, wzbraniłi się Wiśniowieckiemu, właścicielowi tego miasta, bramy otworzyć.

Jeremi bierze miasto szturmem i każe wyrzucić wszystkich mieszkańców.

To doprowadziło Chmielnickiego do wściekłości, gromadzi więc wojsko kozackie i zmagia się z tatarami. Tymczasem nadciągnęło

polskie wojsko pod trzema regimentarzami, mającymi władzę ograniczoną przez dodanych 26 komisarzy.

Wiśniowiecki połączył się regimentarzami i radził bezzwłocznie na kozaków uderzyć, zanim się zbiorą i wzmocnią. Nie chciano słuchać doświadczonego wodza, stano beczynnie pod Piławcami i zawarto za pośrednictwem Adama Kysieja Wojewody bractawskiego, z Chmielnickim zawieszenie broni.

Bohdan obsadził lepsze miejsca około wojsk polskich, stąd popłoch, nocą tłumami wojsko uchodziło z obozu. Wszystko wojsko się rozpierzeło, zostawiając bogate namioty i wszystko na łup kozaków porzucając.

Teraz Chmielnicki spustoszył całą Ruś i Podole, Lwów i Zamość musiały się okupić.

Dowiedziawszy się o klęsce, jaką Janusz Ks. Radziwiłł zadał jego wojskom na Litwie i czekając na wybór nowego króla, stał beczynnie pod Zamościem. Dnia 16. Listopada 1648 r. został wybrany Jan Kazimierz królem. Chmielnicki zawarł w Perejśławiu z królem przymierze i otrzymał buławę hetmańską, chorągiew i buńczuk.

Pokój nie trwał długo, już w kilka miesięcy później, podniósł Chmielnicki na nowo rokosz i wyruszył w pole, licząc około 180.000 kozaków i tatarów. W Zbarażu zamknięte wojsko polskie o sile zaledwie 9.000 ludzi, znosząc niedostatki i głód, broniło się do upadłego. Wreszcie nadciągnął Jan Kazimierz z odsieczą wiodąc 20.000 wojska.

Przez dwa dni trwała walka z korzyścią dla polaków, kanclerz Ossoliński, zdołał tatarów od Chmielnickiego odciągnąć, tak, że ten opuszczony musiał się upokorzyć. Stanąwszy w namiocie królewskim przed Królem, rzucił mu się do nóg i błagał przebaczenia. Chmielnickiemu winy darowano, ale zaledwie ujrzał się swobodnym, zaczął przemyśliwać nad udziałem księstwem na Ukrainie i Rusi. Porwał się znowu do broni, obwołano przeciwko niemu pospolite ruszenie na sejmie w r. 1650. Pod Sokalem król mając 100.000 wojska połączył się z hetmanem w. koronnym. Połączeni kozacy i tatarzy mieli około 300.000 wojska. Przyszło do bitwy pod Beresteczkiem, w której król odznaczył się nieustraszoną odwagą i biegłością w sztuce wojennej. Wojska polskie odniosły świetne zwycięstwo, 30.000 wrogów padło na placu. Również i Janusz Radziwiłł w licznych utarczkach gromił kozaków, tak, że wreszcie sam Kijów opanował. Tam to zjechał się Janusz Radziwiłł wraz z swym wojskiem, z Mikołajem Potockim hetmanem w. kor., który znów swe hufce prowadził.

Nader czułe, było powitanie obu wodzów, Janusz ścisnął Potockiego, patrząc na sędziwe szlachetne jego oblicze, sterane tyloletnią niewolą tatarską. Oba wojska złączyły się pod Białą-Cerkwią, czem przerażony Chmielnicki, zawiera niekorzystną dla siebie z polakami ugodę. Syn Bohdana Tymoteusz napadł w tym czasie z przeważnymi siłami na spokojnie obozującego, z powodu ugody bezpiecznym się być sądzącego, hetmana Kalinowskiego w Batowie, wojsko jego rozgromił, a sam hetman poległ. Wysłańcy Chmielnickiego podburzają przeciwko Polsce Rosyan, Szwedów i Turków. Król pobił pod Humanem połączonych kozaków z Rosyanami, zaś Radziwiłł nie czekając na wojska Gąsiewskiego, uderza na Rosyan i srogą odnosi klęskę pod Szklówem.

Połock, Nowel, Mohilew, Wniebsk i Smoleńsk dostały się w ręce rosyjskie.

Gdy się to dzieje, wojewoda wraz z Romanem, poczęli w okolicy swego zamku gromadzić ludzi, gdy się już czuli na siłach, przypuścili szturm do zamku, ale na razie bezskuteczny.

Bronia postanowiła bądź co bądź zamek kozakom odebrać i ojcu oddać, bo widziała jak go martwi, że się musi tulać bez dachu. Nikomu nie mówiąc, zebrała najdatniejszych dziesięciu chłopców dobrze uzbrojonych i nocą namiot ojcowski opuściła. Zbliżyła się na czele swego oddziału w miejsce za fosą zamkową gdzie już na nią stara Mokryna czekała. Mokryna była jej mamką i nianką i w ogień by za panią poszła. Bronia z łatwością za pomocą dziewczyny wiejskiej z nią się porozumiała i pouczyła co ma czynić. Księżyc właśnie skrył się za chmury, Mokryna zbliżyła się do Broni i rzekła „Wszystko jest jak panią rozkazała.“ Dodałam tym zbójom do wina lalki i spiośzki, spią teraz jak barany i nie ma się panią czego obawiać wejść do zamku. Chwała Bogu!, ojciec mój sówicie was nagrodzi. Niech i tak będzie ale robiłam wszystko dla jaśnej panią, bo panią kocham jak swoje dziecko. Za pomocą sznurowej drabiny przymocowanej przez Mokrynę do wałów, przeprawiwszy się na tratwie, która Mokryna cichaczem na wodę spuściła, wdrapali się na zamek naprzód uzbrojeni chłopcy a potem Bronia i Mokryna. Mokryna zawiodła oddział do komnaty wojewody, tu pod stołami i wszędzie na podłodze leżeli kozacy w ciężkim śnie pogrążeni. Bronia nie pozwoliła śpiących mordować, tylko kazała wszystkim ręce w tył powrozami związać, tak silnie spali, że się żaden nie obudził. Widząc na nich działanie środków usypiających i odurzających, zostawiła Bronia resztę załogi w spokoju i kazała jednemu z chłopców wyjść na wieżę i ogień rozpaść. Był to znak umówiony, jednemu z ojcowskiego oddziału wyjawiała Bronia swój plan i kazała mu, gdy ujrzy ogień na wieży, zbudzić wojewodę i o wszystkim mu powiedzieć. Gdy smolne łuczywo buchnęło płomieniem, zbudził chłopak jak mu kazano wojewodę. Wojewoda zerwał się myśląc, że to nocny napad na obóz ale

ujrząwszy płomień na wieży zamkowej, zawołał; pewnie te hycle podpaliwszy zamek, sami pouciekali. Nie panie wojewodo, mam właśnie oznajmić, że zamek zdobyty. Oszalałeś! przek kogo, kiedy? Ano panna Bronia wzięwszy dziesięciu naszych, zamek zdobyła. Szalona dziewczyna, ale to niemożliwe, chociaż są jeszcze cuda, a co moja krew, dobra krew.

— Hej! Roman wstań zamek zdobyty.

— Niechno ojciec nie żartuje, któżby to uczynił gdy my śpiemy.

— Ha! podziękuj swej narzeczonej.

— Co Bronia zdobyła zamek, ale to bohaterstwo, nie jestem godzien takiej dziewczyny.

— Jakoś to będzie, a co moja krew, dobra krew.

VIII. Zakończenie.

Zaledwie się wojewoda wraz z swoimi na nowo w zamku rozsiadł, gdy nowe na nich spadło nieszczęście. Aleksey wróciwszy z wyprawy zbójckiej, gdy Broni nie zastał, domyślił się czyją to była sprawa, kazał więc Maruchę obwiesić, a sam wraz z swoimi mołojcami opuścił opryszków. W Kołomyi stracił ślad, ponieważ Marucha wzięta na tortury wyznała wszystko i powiedziała, który hucul Bronię do Kołomyi odwiózł; udał się Aleksey do tego hucula, ale niezgoda więcej od niego dowiedzieć się nie mógł, tylko, że w Kołomyi na rynku Bronia się z nim pożegnała, ale nie wie co się z nią dalej stało. Straciwszy wiele czasu na bezskuteczne szukanie Broni w powiecie kołomyjskim, ponieważ przypuszczał, że się w którym z okolicznych dworów ukryła, postanowił Aleksey wrócić do Chmielnickiego. Obawiając się polaków, przedzierał się nocami lasami i wertepami aż nareszcie dotarł do obozu Chmiela. Ze zdziwieniem dowiedział się tu co zaszło, że Bronia sama była w obozie, a co najważniejsza, ponieważ sława tego wypadku szybko się rozszła, dowiedział się o zdobyciu zamku przez Bronię. Tego mu tylko było potrzeba, wiedział gdzie ją ma szukać, a to na razie było najważniejszym. Usiłował Aleksey skłonić Chmielnickiego by z całą swą siłą poszedł zamek zdobyć, ale go Chmiel wyśmiał mówiąc: Mam ja inne cele niż zdobywanie niepotrzebnych mi zamków, ażeby porywać dziewczęta dla takich jak ty pędziwiatrów. Oddałem ci raz dziewczynę, było jej pilnować, siedząc spokojnie w moim obozie, lecz gdy ci się zachciało po świecie awanturować, patrz teraz jak ją sam dostaniesz. Zresztą gdy cała Ukraina do mnie należeć będzie i ten zamek jak inne, dobrowolnie mi bramy otworzy, możesz do tego czasu poczekać. To czekałbym chyba do końca świata, odrzekł rozgniewany Aleksey i odszedł, ścigany szyderczym śmiechem Chmielnickiego, opuścił Aleksey natychmiast obóz i udał się w stronę zamku, w którym Bronia przebywała. Po drodze szczęśliwa

myśl przyszła mu do głowy. Spotkał cygana który prowadził niedźwiedzia pokazującego złoto. Podkupił cygana i umówił się z nim, że pójdzie wraz z niedźwiedziem gdzie Aleksey zechce. Sam się osmarował, sadzą potarł szaty, tak, że w łachmanach i osmarowany, na cygana wyglądał. — Dla niepoznania przyklepił sobie na twarzy parę czarnych plastrów i zawiązał jedno oko. Bez obawy poszedł do zamku, umyślnie przed wieczorem, i na dziedzińcu zamkowym począł wraz z cyganem popisować się tresowanym niedźwiedziem.

Zbiegła się gawiedź, przypatrując się niezgrabnym tańcom niedźwiedzia.

Wyszedł i wojewoda, Roman i Bronia i z zajęciem przypatrywali się sztukom niedźwiedzia, cygan walił pięściami w tamburino z dzwoneczkami i śpiewał ochrypłym głosem:

Hrajut bubny, hrajut flety,

Aj ty midwid' tańcuj ze ty.

Tymczasem Aleksey obchodził z tacą i zbierał pieniądze. Po produkcjach niedźwiedzi, począł cygan wróżyć z ręki, wzięwszy rączkę Broni, długo się jej przypatrywał kiwał głową, ale nie mówił. Spytany czemu nie wróży, rzekł: Nie tu dobrego nie stoi, a boję się mówić złe rzeczy. Wezwany by bez obawy wszystko powiedział, rzekł: Tu jedno tylko stoi, jasna panią zginie śmiercią gwałtowną i to nim nowy księżyc zabłyśnie. Głupis z twoim prorocstwem, rzekł Roman, ktoby tam na to zważał, no popatrz no i na moją rękę. Wziął cygan dłoń Romana, znowu głową kiwał. Oj, panią i wam rychła śmierć. Ha! ha! ha! dobryś sobie no niech i ojciec da mu swą rękę. Ja w takie brednie nie wierzę. My też nie, ale o co chodzi, może choć jednemu co dobrego powie. Ogląda cygan rękę wojewody i rzekł, niezapomniałszy głową kiwać, stary Mirko nie kłamie śmiać się państwo będziecie, ale kto przeżyje, przekona się, że Mirko prawdę mówił, wielmożny pan zginie niebawem wraz z jasną panią i panieciem.

Wróżył cygan dalej ludziom zamkowym, ale, że każdemu bez wyjątku śmierć wróżył, więc nareszcie zaczęli się śmiać z niego mówiąc, to durny cygan. A jednak cygan nie kłamał. Gdy noc zapadła pozwolił wojewoda cyganom przespać się w kurytarzu zamkowym, kazał tylko na konie uważać aby cyganie takowych nie pokradli. O północy Aleksey wraz z cyganem zrzucając obowiązek podkradli się pod okienko Broni. Mirko zdolny złodziej, miał przy sobie wszystko co potrzeba, wyciął dyamentem i wycisnął bez szelestu szybę, okno otworzył i wraz z Aleksem wleźli do środka. Najpierw natknęli na śpiącą Mokrynę, ta się obudziła, ale ze strachu krzyżeć nie mogła, ujrząwszy bowiem przy świetle księżyca dwie czarne postacie, zabobonna kobieta myślała, że to czarci, Mirko przyłożył jej nóż do piersi, a rzekłszy, stul mordę bo śmierć twoja, poczem założył jej knebel.

Tak samo zakneblowali Broni usta i wnieśli ją po ciechu na podwórze zamkowe, tu odwiązali niedźwiedzia i zbliżyli się do zamkniętej bramy. Zbudzony strażnik chciał wła-

śnie na alarm uderzyć, ale go Mirko jednym uderzeniem harapa na ziemię powalił, a zwią-
zawszy mu nogi i zakneblowawszy usta —
odsunęli wrzeczadze u bramy i zbliżyli się do
fosy, otworzywszy w murze małe dzwiczki.
Na niedźwiedzia wsadzili Bronię, sami pły-
nąc obok niedźwiedzia, wydostali się na brzeg
przeciwny.

Tu Aleksy dowiedział się, że Chmielnicki
pobity, cofa się i chce wziąć zamek, by się
miał gdzie ukryć. Rzeczywiście o świcie uj-
rzał Aleksy przednie strażę wojsk kozackich,
zgromieni tatarzy, w rozsypce pociągali na
Krym.

Chmielnicki przywołał Aleksego i oznaj-
mił mu, że zamek wziąć musi.

Aleksy podał mu środek wyborny, jak
sądził. — Oddział wojska miał wziąć Bronię
w środek i lochami podziemnymi dostać się
do zamku. — Być może, że lochy są strze-
żone, ale któż z załogi ośmieli się strzelać na
córę wojewody.

Gdy się Bronia o tym zamiarze dowie-
działa, postanowiła zginąć śmiercią bohater-
ską, a zamek ocalić. Dość jej już było tych
awantur, zresztą wiedziała, że jeśli swego za-
miaru nie wykona, kozacy zamek zdobędą,
ojciec i Roman wpadną do niewoli, a ona
już się po raz drugi Aleksemu nie wymknie.

Oddział z tysiąca ludzi, złożony zbliżył się
do lochów, odwalono kamień i wkrótce cała
ta masa wypełniła obszerne podziemne pie-
czary.

Gdy się już w środku pieczar znalazło,
udała Bronia zemdenie i padła na ziemię,
Kozacy sądząc się być bliskimi celu, nie
zważali na nią, ona znalazła ukryte małe dzwicz-
ki w ścianie, otworzyła je, skrzesała ognia i
zapaliła sterczący lont.

Lochy były podminowane beczkami pro-
chu, straszliwy huk wstrząsł ziemią w posa-
dach, z ogromną siłą wyleciał szmat ziemi
w powietrze zabijając i grzebiąc nieprzyjaciół,
ponieważ wojewoda z Romanem stali blisko
bramy do pieczar, zginął Roman na miejscu.
Wojewodzie wybuch obie nogi oderwał.

Umierając, zawołał Wojewoda, to moja
krew, tak zginęła córka wojewody.

Mały Icek

(poemat jakich wiele.)

I. Icek.

Miasto spi jeszcze, cisza tajemnicza,
Chyba gdzie skąpiec, swą kabzę przelicza.
Pan burmistrz smacznie o zaszczytach marzy,
We śnie go władza orderami darzy,
Sen ma tak słodki! we śnie na ulicy,
Nie ujrzyś śmiecia, ni zdziebka z pszenicy,
Ulice czyste nie ma nigdzie błota,
Ani zdechłego szczura, albo kota.

Lampy się palą jak gdyby na balu,
Światłem łagodnym o barwach opalu
A jednak jasne czyste kamienice,
Nie odrapane. Miejskie półksiężycy,
Mają mundury jakby z igły nowe,
Dumnie nad księżyc wznoszą mężne głowy.
Śni mu się także, że parowy walec,
Wygląda drogi jak masło, lub smalec.
Że walec tylko tysiączkę kosztował,
Że Magistratu chabety konował.
Jako rasowe koniki uważa,
Że załatwioną już kwestya ementarza.
Sny tak przyjemne, że aż burmistrz wzdycha,
Do tych obrazów, poci się i kicha.
Nagle sen straszny na niego przychodzi,
Włosy mu stają i z jękiem zawodzi.
Śni, że to miasto żydzi opuszczają
Bety i kramy swoje zabierają.
Burmistrz drzy myśląc, teraz koniec świata,
Na miasto przysła ruina, zatrata.
Kto po ulicach błoto nam rozniesie?
Czyż bachor takim piskiem tutaj drze się?
Kto na ulice wyrzuci kaczany.
Żupy, pomyje, kto powala ściany,
Kto w szabas będzie w śmiertelnej koszuli,
Chłapiąc patynkiem szerzyć woń cebuli?
A kto pożyczycy gdy trzeba pieniędzy,
Kto wykorzysta nawet ludzkie nędzy?
Burmistrz ze strachu budzi się, oddycha.
Do Pana, Panów szle modlitwę z cicha.
Że to sen tylko, że lud Izraela,
Nadal burmistrza serce rozwesela.
I wiceburmistrz, tu w mieście zostanie,
Nie pójdzie razem z braćmi na wygnanie.
Więc ocalone miasto znów szczęśliwie.
Żydzi znów będą szachrować skwapliwie.
Kiedy tak, burmistrz na swem łożu marzy,
Gdy radość, smutek zmienia się na twarzy.
Ojca swej gminy, na kościele szkapie,
Jedzie żyd młody, błoto w koło chłapie,
O! bo na jawie u nas bywa błoto.
To nie sen miły, braknie czasem złoto.
W miastowej kasie, lecz błota nie braknie,
Chociaż go pewnie nikt z mieszczan nie łaknie.
Żydek z pejsami pięknie kręconymi,
W długim hałacie z oczkami bystrymi,
Z nosem kroguleczym, jarmurkę naciśnął
Zamachnął batem na swą szkapę świsnął,
Sunie pobłocie jak rycerz na boje.
Icka czekają też nie lada znoje.
O swicie staje za miejską rogatką,
Tutaj się wita z swoją starą matką.
Z Ruchlą odzianą w spodnicę zbłoconą.
Rudą perukę na głowę goloną,
Wsadziła myśląc, że jej w niej do twarzy,
Razem czekają, czy się co nie zdarzy.
Zaczyna świtać zwolna suną chłopci,
Ten ma na sprzedaż węzełek konopi.
Baba półkopek niesie jaj do miasta,
A ta u której chuścina kraciasta
Wieprzaka pędzi — Icek ino spluwa
Od nieczystego wieprza się usuwa.
Na rzesze chłopów jak pajaków para
W padają Icek, w pada Ruchla stara
Targują jaja, obmacują kury.
Kupują nawet konopiane sznury,
Cebuli, czosnku najwięcej szukają,

Krzyczą na chłopów tam nazad biegają
Icek tumani i zamydla oczy,
To szybko biega, to poważnie kroczy,
Tańczy, przysiudy, albo obertasa
Kręci pejsaki i poprawia pasa,
Jarmurkę zsuwa na oczy ruchliwe,
Raz uśmiechnięte — to znowu złośliwe.
Ruchla z podziwem patrzy na synalka,
Jak na Znicz święty pobożna Westalka
Icek to duma pociecha starości
Mądry jak rabin, inni żydzi proszą
Nie rozumieją tyle co on tory
A jak go wszystkie słuchają bachory!
Bo w wolnych chwilach jest on Melamedem
Urząd ten dzierży niespełna lat siedem,
Uczy wybornie jeszcze lepiej ćwiczy,
Chłopców różeczką, a choć bachor krzyczy,
Icek wie dobrze, że to dla nauki
Przy różdze lepiej idą w łeb azbuki.
Icek jest także miasta afiszerm,
Gdy teatr zjedzie, z naszym bohaterem.
Tu przy rogatce teraz się żegnamy.
Niechaj szachruje obok swojej mamy,
My wróćmy w miasto tam gdzie mieszka Sara
Nadobna dziewczka i jej matka stara.

(C. d. n.)

Kącik humorystyczny.

Lubeżnyj družę Chaporablewyczu!

Dawnom wże do tebe ne pysaw, moja ty
sobako! Szeco tam u was czuwały, Biłyj car
hroszi daje czy niet — tu u nas wetyka bi-
da, hroszi z Matiuszki ne prysylajut, rublej
u nas ne wydko, nasi korennyji wiwezut jak
pesyki, aż im morda napuchła. Gaspadin
Olesnykij szeco chotiw buty herojom ruskim
założyw jakus szmatynku yły gazetku, kotora
mała jenteresa ruskich, protehowały w czasi
wyboriw do dumy derżawnoj i Sojmu. Propaw
Olesnykij jak bura suka — ani pes fistom
po nym ne machnuw, taj perestaw swoje
szmatie izdawaty. Zdochła odna sobacza szma-
ta, taj lipsze dla nas, ta może gasudar bilsze
rublej piszle. Ne majesz poniat szeco tutki
lachi wyrablajut, wistawły jakus budu taj
nazwały tuto „Sokół“ zjichały sia buntow-
szyki zo wsich storon, taj ustroiły weczern-
nyciu, na kotorej pyły na pohybel matuszki
a na zdrowie lachiw. Każu tobi takij to
butnyj narid, za mało im wydko moskaluszki
sała za szkiru naleły. Każu tobi jak sia spra-
wedływy, korennyj ruskij na tutych malczy-
kiw dywyt, szeco to szepki, konf-deratki z pir-
kowamy jakies Kościuszkowski ubrania nosiat,
to mało mało szlag ne trafyt ruskoho. Also
kinczu wże moju durnu pysanku, cilujucz
tebe w smerdieczu mordu

Twij

Moczymordowycz.

- Był tu kto? (pyta porucznik).
- Forysic: Był krawiec z rachunkiem.
- Porucz: Zatem nie było nikogo.

* Na domowej zabawie.

A ranżer: Panowie! tańczyciel! przecież nie jesteście tu dla przyjemności.

* Złe pismo.

— Powiedz mi pan, panie redaktorze, kto to umieścił ten nieczytelny artykuł o bakterjach.

— A to doktor Hegar, on ma tak nieczytelne pismo, że nawet drukowanego czytać nie można.

— Czegoż ty dzisiaj taki ucieszony?

— Niosłem sër dla pana porucznika, sër mi upadł w błoto, i pan porucznik pozwolił mi go zjeść.

Ciekawość ukarana.

Humoreska.

(Dokończenie).

— A gdyby się dowiedzieć co ona o mnie na prawdę myśli, ale jak?

— Przed oknami pomieszkania radcy były skwery, kasztan stał tuż vis a vis oświetlonego okna, nie wiele myśląc, Piotruś zrzuca z siebie, nie buty, bo to była zima, ale swą powagę doktorską i wchodzi na drzewo. Nie szło mu to łatwo, dawno już zapomniał wspinać się na drzewa, wreszcie wylazł i patrzy przez okno. Cóż zobaczył? tyle co nie, panna Wicia przegląda illustrowane czasopismo i śmieje się pokazując coś ojcu. Z daleka przez szybę na szczęście nie zamarzniętą widział Piotruś tylko jakiś czarny bohomaż, bujna fantazyja podszepnęła mu, „Pewnie kominiarz“ zdrewniał.

— W tem z dołu woła ktoś na niego:

— „Panie, pan, a niby za dlaczego pan tam bez wokno zagląda, źleż pan z drzewa, co pan sowa i wróble łapi?“

— Sytuacja Piotrusia była nie do pozazdroszczenia, poznał bowiem przy mdławym świetle latarni policyanta, naturalnie na księżycu widział Nr. 13. pech oczywisty.

— „Panie policaj, daj pan spokój dostaniesz pan papierka na piwo.“

— Chwilkę cisza, po chwili:

— „Panie pan, a co pan tam widzi bez wokno.“

— „Ależ nie pan radca z córką oglądają obrazki.“

— „Aha! wobrazki, no, a ta panna ubrana?“

— „Rozumie się, że ubrana, ma na sobie niebieską sukienkę.“

— „Bo to widzi pan, pan mi się spodobał (papierka na piwo) ale taki wziąłbym pana do furdygi, jakby się ta panna dajmy na to ubierała, to był by pan karany za niemoralność, a po chwili:

— „Panie pan, naj pan już zlatuje, poszedł bym sy na piwo do Naftulego.“

— Piotruś widząc że daremnie na drzewie siedzi, zszedł, wsunął cerberowi w łapę papierka i odszedł.

III.

Podejrzanie nurtowało w doktorskiej duszy dalej, próbował Kasię pokojową Wici przekupić, gdzie tam, wierna dziewczyna ani słyszeć o tem nie chciała, zagroziła tylko, że powie panience, paperek w tłustą rączkę zamknął apetytną buzię. Ktoś raz powiedział, że miłość rozum odbiera, miał rację, najlepszym dowodem Piotruś. Gdy go podejrzanie już zanadto trapiło, wpadł na pomysł czysto kominiarski. Obietnicą hojnej nagrody skaptował dla siebie pomocnika, czy czeladnika (nie wiem jak ich nazywają) swego ojca. Michaś był chłopak sprytny, był przytem niezłego, rozumie się jak się umyć. Rada w radę uradziła, że pewnego pięknego wieczora zakradną się obaj na strych domu, w którym mieszkał pan radca z swą piękną córką. Ze strychu spuszcza się kominem na dół, aż do ściany przypierającej do pomieszkania pana radcy.

W oznaczonym dniu wieczorem, wybrał się Piotruś ubrany w kostjum kominiarski z pocernioną twarzą w towarzystwie Michasia, który był ubrany w swój zwykły spacerowy uniform.

Przechodzą w oznaczone miejsce Michaś zaczyna głupieć, w tym samym domu służy jego Kasia „panicz“ mu nie mówił, że to chodzi o pannę tylko o awanturkę miłosną, naturalnie, że Michaś nie miał nic lepszego do roboty jak zacząć podejrzewać panicza o bałamucenie jego Kasi, no, a Kasię o zdradę. Nie puścił jednak Michaś ani pary z ust, znanymi wschodami idzie wraz z paniczem pod sam strych, drzwi główne od strychu na szczęście otwarte. Otworem zostawionym w dachu dla kaminiarza, wchodzi pierwszy Michaś na dach, wciąga przy pomocy szuura panicza za sobą i suną prosto do komina. Tu po krótkiej naradzie zsuwa się Michaś kominem na dół, na barkach siedzi mu Piotruś jak na koniu i jazda na dół. Z jechali aż do pierwszego piętra i wleźli do umyślnej dla kominiarza framugi, rękami dotykają drzwiczek od komina przy kuchni. Wtem słychać głos Kasi:

— „Zaraz, zaraz proszę pana.“

— „Aha! złapałem was, myśli Michaś czekaj paniezu, odechce ci się Kasi z nią się jutro rozmówię i układa czarną iście kominiarską zemstę, jak kot winduje się kominem w górę i czeka.

— „Co ty wyrabiasz, pyta go szeptem Piotruś.“

— „To ja się pana zapytam czego pan po noccy do Kasi łazisz?“

— Oszalałeś czy co?“

— „Służbę stracę“ myśli Michaś, „ale paniczowi dojadę za amory z Kasią,“ i z zimną krwią zaczyna wymiatąć komin od dwóch tygodni nie wymiatany, sadza sypie się Piotrusiowi na głowę.

— Piotruś woła przyciszonym głosem.

— „Michaś! co wyrabiasz chcesz mnie udusić.“

— „A dusiłoby panicza, niechodź pan do cudzej dziewczyny.“

Daremnie biedny Piotruś zaklina się, że mu nie Kasia w głowie, zgrzyt miotły i drapaczki przygłusza jego słowa, z pół korca sadzy sypie się na niego, jak mąka z pyta młyńskiego.

— „A co paniezu! Kasia ładna dziewczyna“ mówi Piotruś „masz panicz jednego całusa“ i łup z góry patynkiem po głowie biednego doktora. Maca Piotruś głowę, guz jak orzech, „a co Kasia?“ może jeszcze jednego całuska i drugi patynek spada na doktorską czuprynę.

— „Michaś! tyś chyba zwaryował, chcesz mnie zabić, czy co?“

— „Aha a pan chciałeś zabić sławę mojej Kasi, czekajno panicz, to mówiąc spuszcza grubą miotłę na sznurze na głowę swej ofiary i zaczyna wykonywać ruch taki jak przy pompowaniu wody. Piotruś widząc, że z szalonym chłopakiem sobie nie poradzi, zapomina o swej sytuacji i zaczyna szturmować do drzwi kominowych. Kasia przerażona hukiem blachy w krzyk, nie ma jednak odwagi otworzyć. Wbiega radca, za nim pna Wicia, w tem zardzewiała zatyczka przy drzwiczkach pęka i niefortunny adonis wypada na blachę kuchenną, szczęściem zimną. Przerazenia Kasi nikt nie jest w stanie opisać, w pierwszej chwili myśli, że to dyabeł, następnie przypuszcza, że to miłością tknięty Michaś. Piotruś z wstydem złazi z kuchni, wtem Wicia poznaje w nim swego narzeczonego i z wybuchem radości, nie zważając, ani na strój ani na miejsce, rzuca mu się na szyję. Z kolei chwila zgłupienia przyszła na radcę, gdy jednak Wicia zaczyna z pseudo kominiarzem tańczyć po kuchni, rozjaśnia się w reszcie i w radcowskiej głowie, nie będąc jednak niewinną panienką, bierze ten wypadek z mniej humorystycznej strony. Zaczyna Piotrusia egzaminować, ten wzięty na spytki, klęka przed Wicią i przyznaje się do winy. Teraz znów Wicia robi zadąsaną minkę, ale mając złote serduszko, darowuje mu winę, zwłaszcza widząc z jakich powodów nie ufał jej, każe mu jednak tak długo klęczeć, aż nie obieca poprawy. Gdy to natychmiast następuje, Kasia z rozkazu państwa, swym dzwiecznym głosikiem zwabia swego czarnego Otella z komina. Piotruś obiecuje Otellowi i niedoszłej Desdemonie ładny posazek, zastrzega sobie jednak, że będą mileżeć jak grób. Kasia łap Piotrusia za jedną, Michaś za drugą rękę i zaczynają całować. Piotruś broniąc się, robi Kasię uważną, że się posmaruje od zasmolonej ręki.

— „Proszę pana, odpowiada Kasia“ muszę się przyzwyczaić, jak zechcę mego pocałować, to on się przecież dla mnie myć nie będzie. Jakż koniec? naturalnie obie Numpy wychodzą, za obu Pompiliuszów.

Gdyby mi kto chciał zarzucić, że rzecz przedstawiona nie jest prawdopodobną, odpowiem mu, że gdyby niebyło prawdą, nie byłaby napisana, a wreszta od czegoż humoreska.

Prenumerata
miejscowa i za-
miejscowa wy-
nosi rocznie 3 zł.
60 ct., półrocznie
1 zł. 80 ct., kwar-
talnie 90 ct.

Numer pojedyn-
czy 10 centów.

NOWINY STANISŁAWOWSKIE

Czasopismo ekonomiczno-społeczne.

Wychodzi 3 razy na miesiąc, każdego 1., 10. i 20.

Inseraty:

Słowo petitem 1/2
ent., garmontem
1 ent., za duże
lity oblicza się
osobno. — Abo-
nament taniej. —
Kwadraty humo-
rystyczne 50 ct.
W rubryce „Na-
destane” 10 ent.
od wiersza.

Adres Redakcji i Administracji: ulica Zosina Wola 1. 69.

Kalendarz. (10) NMP. Loretańskiej. (11) Da-
mazego pap. (12) Aleksandra żołn. (13) Łucyi i Otylii
(14) Nikazego i Spir. (15) N. 3 Adv. Fortun. (16)
Adelajdy ces. (17) Łazarza biskupa. (18) Su ch. Gra-
cyana. † (19) Nemezyusza.

Gdzie patryotyzm?

„Lasciate ogni speranza” zgaście
ognie nadziei, to możnaby powiedzieć
o narodzie, który nie szanuje swych
pamiętek, swych dni uroczystych po-
święconych pamięci bojowników wol-
ności.

Na niedzielę dnia 1. grudnia, za-
powiedzianym był wieczór uroczysty
jako w 65. rocznicę powstania listo-
padowego. Stanisławów słynie jako
miasto patryotyczne, ale niestety tylko
w ustach nieświadomych. U nas jak
wszystko tak i patryotyzm jest tylko
na języku, ale w sercu go nie ma.

Cóż może być droższego dla każdego
człowieka jeśli nie miłość ziemi ojczy-
stej — lecz o ileż więcej my polacy
powinniśmy tę miłość w sercach na-
szych pielęgnować.

Wszak nam nic więcej nie pozo-
stało w spuściznie po ojcach, jak
tylko mowa i miłość ojczyzny. W ja-
kiż to sposób mamy okazać tę miłość,
jeśli nie pamięcią o dniach tak uro-
czystych i żalu pełnych jak rocznice
owych dni krwawo na kartkach histo-
ryi naszej wypisanych? Minęły czasy
gdyśmy z orężem w ręku praw na-
szych poszukiwali, dziś w pracy na-
sza nadzieja, ale gdy nam walka
wzbroniona, wolno nam, zwłaszcza
nam polakom w Galicyi, dzięki do-
brotności naszego miłościwego Mo-
narchy, przynajmniej cześć pamięć
tych, którzy krew przelali za wolność
ojczyzny.

Jeżeli oni bez wachania rodzinę,

życie, mienie, chętnie kładli w ofierze
na ołtarzu Ojczyzny, to my ich po-
tomkowie nawet godzin parę nie m-
żemy ich pamięci poświęcić?

Na szczęście nie wszyscy jeszcze
złymi są synami Ojczyzny.

Jakżesz to bolesny był widok pa-
trzeć na salę zaledwie do połowy
wypełnioną. I cóż stało na prze-
szkodzie, czy Halka po południu przed-
stawiona? to żadna wymówka, Halkę
grano już dzień przedtem — kto
chciał mógł pójść — zresztą teatr
mamy rok cały, a taki dzień uroczy-
sty tylko raz w roku. — A może to
było wielką ofiarą pójść na ten wie-
czór, przeciwnie program był piękny
i urozmaicony, wykonanie świetne —
najlepsi artyści z teatru p. Myszkow-
skiego brali udział — cóż więc, mo-
że kwestya finansowa? — i to nie,
było przecież pierwszego, a ceny były
tak niskie, że nawet najuboższy mógł

Aleksander Dumas

przez Franciszka Sarceya'a.

Dumas młodszy umarł w 71. roku życia,
w swej małej posiadłości Marly, którą wszyscy
miłośnicy teatru dobrze znali. Niczyj zgon
nie wywołał żywszego poruszenia i boleśniej-
szego współczucia niż ten. Nawet śmierć
Wiktora Huga i Emila Augiera przebrzmiała
jak świetna apoteoza. Emil Augier był bez
wątpienia dzielny, zarówno przez swych
krewnych jak i przyjaciół lubianym mężem;
jednakowoż zanim ostatnia jego godzina wy-
biła, cofnął się dawno w zacisze, publiczność
nieoczekiwała więcej nowych jego dzieł —
jego działalność była skończoną. Przeciwnie
wiedzieliśmy wszyscy, że Dumas w swej tece
posiadał utwór sceniczny w 5 aktach, który
niektórzy z nas mieli szczęście czytać i który
jest wprost podziwu godnym. Jeśli Dumas
wahał się go wydać, chociaż od trzech do
czterech lat był gotowym, to niestało się to

dlatego, ażeby miał wątpić o powodzeniu,
posiadał przecież chęć walki i można słusznie
odnieść do niego sentencją Berangera: „La
vieux coursier a senti l'aiguille”. Nie, stało
się to z innych powodów, które na jaw nie
wyszły i o których nie wspominałbym, gdy-
bym ten artykuł pisał dla francuskiego pisma.
Dumas wybrał jako temat sytuację już sta-
rego męża, który jednak bardzo sławnym był,
ten uwiódł młodą dziewczynę. Ma to być jeśli
chcecie Gothe i Bettina. Żeni się z nią mimo
odradzań przyjaciół i sprzeciwiania się familii.
Ubóstwia ją, jednak czy będzie szczęśliwym?
takim jest temat przez Dumasa rozwinięty.

Ten temat wziął jednak z własnego
doświadczenia, tym sławnym ukochanym i za-
kochanym starcem był on sam. Posiadał
własność ostrego i trafego sądu, tak więc
i własne życie osądził. Całkiem naturalnie
zmieniał osoby miejsce i czas — ale łatwo
było się domyśleć, że rzecz dzieje się około
jego własnej biografii. Pojmujecie, że z chwi-
lą, w której ta praca miała być krytyce czy-

telników oddana, pewne skrupuły ośwładnęły
Dumasem a jego otoczenie obawiające się, by
nie zostało poznane pod maską innego, nie
mały na niego wywierało wpływ. W ten spo-
sób „La voute de Thebes” owa pyszna „La
voute de Thebes” była co roku przez zanie-
pokojonego autora zapowiadana i znowu do
kosza rzucona, sztuka którą z niecierpliwością
oczekiwaliśmy i mieliśmy nadzieję, że Dumas
wreszcie sprawy uporządkuje.

Mimo swego wieku płynął zawsze z prą-
dem, znaliśmy go tak ożywionego, krewkiego,
zawsze pełnego ducha, jako pierwszego cau-
seura Parysa.

Znałem Dumasa ojca i Dumasa syna. Oj-
ciec był już starym, gdy wystąpiłem na polu
literackim. Byłem jednak współczesnym syna,
który mnie swą przyjaźnią obdarzał. Zwiste,
gdy ojciec konwersacją prowadził, było się
ośnionym. Opowiadał anegdoty i improwi-
zował romanse z taką żywą werwą, że niko-
mu nawet przez myśl nie przeszło wpaść mu
w słowo. Pamiętam jak nam raz przy de-

Jedynie tu istniejący skład
modnych towarów męskich i
bielizny, pod firmą:

„A la ville de Londres”

w gmachu c. k. Dyrekcyi kolei
państw., poleca najlepsze towa-
ry galanteryjne po nader przy-
stępnych cenach.

sobie pozwolić — a jeszcze dochód przeznaczony był na tak piękne cele.

Gdzież byli ci co zawsze patryotyzm mają na języku?

Gdzie było nasze patryotyczne mieszczaństwo? gdzie rusini? czyż w szeregach wojowników za naszą i waszą wolność nie było rusinów? gdzie byli nasi bracia polacy mojeszowego wyznania? gdy chodzi o *geschäft* żyd będzie i chińczykiem, czemu by nie miał być polakiem? ale gdzie trzeba bez zysku okazać, że się rzeczywiście jest polakiem, tam żydów nikt nie znajdzie.

Co myśleć o narodzie, który nie cześci swych bohaterów, którzy w dniu tak pamiętnym i uroczystym świeci nieobecnością na uroczystych obchodach.

Nie czynimy p. Myszkowskiemu żadnych zarzutów, przeciwnie — to że wniósł operetkę polską na wyżyny niemal dotąd nie osiągnięte — to mu się tylko chwalić może — ale ci co ujrzawszy na afiszu „Piękną Helenę“ lub inną tłustą operetkę, wypełniają salę po brzegi, a na obchody uroczyste, patryotyczne nie raczą przychodzić, czego są godni jeśli nie pogardy? Dlatego częściej tym nielicznym, którzy byli w Sokole na obchodzie, zaś hańba tym, którzy zapominają o tem, że są polakami i co winni sprawie ojczystej. Złe się dzieje niechżeż ci co przodują narodowi zwrócą na to baczną uwagę: „*Caevant consules ne respublica aliquid detrimenti capiat*“.

Wykształcenie polityczne u nas.

Jesteśmy proszeni przez autora o umieszczenie tej rozprawki, co z chęcią czynimy.

I.

Dające się od pewnego czasu odczuwać braki w wykształceniu politycznym obywateli naszego kraju, nasuwają konieczność zastanowienia się nad tą kwestją i poddanie jej pod rozważny sąd światłego ogółu, dla którego kwestya ta, ani obojętną, ani lekką być nie powinna.

Jak wiadomo, ustroj wykształcenia w Austrii i Galicyi przechodzi trzy fazy.

Dziecko w szkole normalnej uczy się czytać, pisać i rachować.

W gimnazjum czy też szkole realnej młodzież uczy się religii, języków, fizyki, matematyki, mineralogii, chemii, i historii powszechnej lecz tej ostatniej tylko do rewolucyi francuskiej.

Uniwersytet wreszcie stosownie do wydziału swego przygotowuje wyłącznie fachowych teologów, prawników, filozofów, techników albo lekarzy.

Jeżeli teraz weźmiemy przed oczy typ ukończonego lekarza, technika, agronoma czy też filozofa, który z najznakomitszym nawet postępem przeszedł istniejące i obowiązujące zakłady naukowe, musimy skonstatować dwa fakty. Po pierwsze, że ludzie ci nie wypierają się wcale i nie powinni zresztą wypierać się brania udziału w życiu politycznym, oraz drugi fakt, że ludziom tym daną była możność zrozumienia bardzo dobrze anatomii człowieka, budowy maszyn, lub wydajności ziarna pszenicy, ale nie była daną najmniejsza sposobność pojęcia ustroju gminy, powiatu, kraju i państwa, nie mówiąc już o tak daleko sięgających wiadomościach, jak, co należy do zakresu władzy i działalności sejmu lub Rady państwa. A powtarzam, iż ludzie ci w życiu politycznym chcą

i winni brać udział a następnie nie jeden z nich wybrany posłem ma tworzyć ustawy czy też postanowienia normujące najdrobniejsze i najsubtelniejsze stosunki tych ciał, o których ustroju przebyte zakłady naukowe najmniejszego nie dały mu pojęcia.

Co do wydziału prawniczego, to ukończeniu prawnicy powinni wprowadzić znać ustroj gminy, powiatu i kraju, ale natomiast przeszedłszy też jedynie gimnazjum, w którym przerwano historję na rewolucyi francuskiej, zaś na uniwersytecie przestudjowawszy co najwyżej system austriackiego prawa politycznego ze zupełnym pominięciem historii dyplomatycznej Europy, historii parlamentaryzmu, historii militaryzmu, dziejów rozwoju rolnictwa, przemysłu i handlu, historii rozwoju i stanu ustawodawstwa cywilnego i karnego w państwach ościennych itp., nie nabierają w regule ani należytej dozy zmysłu orjentacyjnego w sprawach politycznych, ani nie mają możności nauczania się mówić i myśleć jędrnie a logicznie.

Na poparcie prawdziwości tych twierdzeń wystarczy przez dłuższy czas brać udział lub choćby tylko przypatrywać się rozprawom w ciałach prawodawczych, lub choćby w gminie, czy też radzie powiatowej, a fakt, jak wielu tam albo nie mówi nie wcale, albo mówiąc, mówi wcale niedołąźnie, przekonana chyba każdego, że młodzi „mężowie polityczni“ u nas chodzą po omacku, nieuzbrojeni nie tylko w doświadczenie ale nawet w wiedzę.

Społeczeństwo nasze zdaje się też samo, choć może z niezupełną świadomością odczuwać ten brak mężów politycznie wykształconych i niewystarczające działanie uniwersytetów. Większość wytrawnych obywateli — chcąc też z synów swoich zrobić w przyszłości mężów krajowi pożytecznych, posyła ich na praktykę do urzędów politycznych, z góry zakreślając, iż praktyka ta ma na celu nie tyle karierę urzędniczą, ile raczej ma być szkołą do nabycia wiadomości w ży-

serze, opowiadał o ekspedycyi Garibaldi'go, mianowicie tak, jak gdyby on sam w Italii detronizował króla. W całym opowiadaniu nie było ani słowa prawdy, ale było tyle zamacchu, ognia i porywającej siły, żeśmy wszyscy na jego usta patrzali, te usta grube dobre, z których płynęła fantazyja głośno i dźwięcznie. Syn był całkiem innym; nie słyszano nigdy by mowcy przerwał — nigdy nie używał paradoksalnej fantazyi, która poecie sprawia przyjemność — jak to zwykł był czynić Edmund About, który był nieporównanym *causeur'em*.

Dumas młodszy pozwalał konwersacyi wolno płynąć, każdemu słowo zabierać — ale przecinał czasem mowę, ostrym dowcipem lub krótką anegdotką. — Wypowiedział dowcip, a na drugi dzień dowcip ten, obleciał cały Paryż. Podczas rozmowy w kole przyjaciół nikt od Dumasa nie był bogatszym i płodniejszym w oryginalne pomysły — wpływały u niego z nadzwyczajną łatwością i świetną czystością.

Niektóre z jego dowcipów, miały myśli głębokie i znajdowano je później w jego utworach, inne były tylko dowcipne.

Cały świat pamięta dialog w „Przyjacieliu kobiet“.

Młoda dziewczyna chce dla kaprysu zostać zakonnicą.

„To Bóg mnie woła“ mówi do ojca.

„Ach! nie można mu dać długo czekać“ odpowiada ojciec z pobłażliwą ironią. — Cały świat śmiał się.

Tego rodzaju słowa, pełne dobroduszości, w konwersacyi Dumasa płynęły przy lada sposobności.

Przed kilku tygodniami byliśmy w towarzystwie artystów dramatycznych i mówiliśmy o tych, którzy przyjmują pseudonimy, ażeby familli nie kompromitować.

Cytowaliśmy przykłady, między innymi Leloir'a, jednego z lepszych artystów komedii francuskiej, który ukrywał swe właściwe nazwisko.

„Jakżeś się w rzeczywistości nazywa?“ spytał Dumas — „Salaud“ (Dudek).

„O! Dudek? Stary ród!“ odpowiedział Dumas.

Nie uważam tego dowcipu za znakomity, ale powiedziany, został tak całkiem niespodziewanie, żeśmy się z śmiechu popłakali. Dumas był tak bogatym w dowcip, że drugim nigdy dowcipu nie zazdrościł, gdy ktoś inny dobry dowcip powiedział, powtarzał go często, choćby był przeciw jego własnej osobie skierowany.

Opowiadał nam raz, że aktorkę pannę Croizette, z którą swego czasu studyował główną rolę w „Księżniczce Bagdadu“ opinia publiczna podejrzewała o zawielkie względy dla dyrektora Perrina, — Dumas, który chętnie badał tajemnice kobiet, wziął pannę Croizette na bok i spytał ją pół w żarcie pół ciekawie, ile na tych gadaniach jest prawdy „Powiedz mi pani, czy to rzeczywiście prawda, że jesteś pani kochanką Perrina?“

(C. d. n.)

ciu politycznym potrzebnych. Droga ta co prawda nie zupełnie odpowiednia, boć przede wszystkim urzędy polityczne rządowe mają inne cele, niż wychowywanie młodych stanu, powtóre młodzi ludzie wstępujący do urzędu, aby tam tylko czas jakiś zabawić, nie pracują należycie a zagradzają drogę tym, którzy dla ciężkiego chleba tam wstąpili a wreszcie praktyka w urzędach politycznych nie daje i potrzebnych dla młodych stanu wiadomości. Dzieje się też zwykle, iż tego rodzaju młody człowiek przesiedziawszy kilka lat na praktyce w urzędzie politycznym, na przykład w biurze sanitarnym, wraca do ziemi rozumiejąc bardzo dobrze urządzenia stosunków sanitarnych, ale nie rozumiejąc znów urządzenia i warunków należytego prosperowania gminy, powiatu i kraju, tudzież nie rozumiejąc warunków korzystnego wzajemnego ich stosunku do siebie. Lecz tych można zaliczyć jeszcze do luminarzy, bo choćby przez samo zetknięcie się z innymi kolegami i sprawami a ostatecznie będąc prawnikami, mają choćby możność wiadomości swe ekonomiczne i polityczne uzupełniać i rozszerzać.

Lecz w jaki sposób i gdzie ma najkardynalniejszych wiadomości politycznych nabierać teolog, lekarz, technik czy też filozof lub agronom.

Ani w szkole normalnej, ani w szkole średniej, ani na odnośnym wydziale uniwersytetu nie słyszeli nawet, że stosunek gminy do kraju, a kraju do państwa, oparty na ustawie, do urzędów politycznych ich wcale nie przyjmują, żądać zaś od tych ludzi samostanowienia kształcenia się w kierunku politycznym, jest o tyle trudnym, że aby z ogromu wiedzy wydostać najpotrzebniejsze wiadomości, potrzeba przede wszystkim całej ogromnej wiedzy objąć a na to ani technik ani agronom nie ma ani czasu a może i środków.

Czyż więc ten materiał ludzi, tak bardzo zdolnych, ma być wykluczonym od należytego współdziałania w życiu politycznym, lub mają być skazani na to, aby wiadomości dorywczych nabierali dopiero w długim życiu praktycznym?

Czyż nie szkoda tych młodych sił, które mogą być w ten sposób pożyteczne dopiero w latach zgrzybiałych i czy nie jest to może wprost niekorzystnym dla normalnego rozwoju społeczeństwa, składającego się z techników, agronomów, przemysłowców itp., iż rozwojem jego kierują jedynie reprezentanci jednego stanu prawniczego?

Jako sam prawnik ze zawodu, tem śmiejlej twierdząc, iż odżywienie żywiołu prawniczego innymi żywiołami może być dla rozwoju i postępu społeczeństwa jedynie pożądanym i korzystnym; trzeba jednak, aby ten nowy żywioł odżywiony, był zdolny do odżywiania, czyli, aby był należycie politycznie wykształcony.

Myśli te nasunęły mi się, gdy po dłuższej podróży naukowej, właśnie w celu badania wyższych zakładów naukowych za gra-

nicą, napowrót do kraju wróciłem. Zabierając też głos obecnie, nie myślę wcale wdawać się w dyskusję: czy gimnazja, względnie studia uniwersyteckie u nas są należycie uorganizowane, lecz jedynie pragnąłbym, wskazując na fakt, iż nie ma u nas szkoły, któraby wychowywała, czy też przygotowywała młodych stanu, oraz wskazując na pewnik, że społeczeństwo nasze bardziej może niż każde inne młodych stanu potrzebuje, pragnąłbym zwrócić uwagę, iż uzupełnienie tych braków nie jest tak trudnym, aby przy dobrej woli nie dało się uskuteczyć.

A zdaje mi się, że właśnie nam wskazanem byłoby dołożyć wszystkich sił do takiej szkoły, która produkując prawdziwych młodych stanu, mogłaby nam zapewnić przeważające stanowisko w państwie i świecie, stanowisko po nad wszystkie prądy górzące bo stanowisko na wytrawności i nauce oparte. Jakiegokolwiek bowiem są poglądy o naszym położeniu politycznym i naszej przyszłości, każdy chyba przyzna, że jedyną szlachetną drogą do uzyskania naszych celów i dążeń jest na razie droga wiedzy i nauki, a naszym jedynym celem zmuszenie świata do uznawania naszej przewagi umysłowej.

Tyle co do myśli, które mię powodowały do wystąpienia publicznego w sprawie braku wyższego zakładu nauk politycznych u nas.

O ile chodzi o rozwiązanie tych myśli, niech mówią na doświadczeniu innych narodów oparte fakty i rezultaty.

Kronika.

Wspierajmy teatr polski im. Aleks. hr. Fredry.

— Z życia towarzyskiego. Dnia 10. b. m. odbył się ślub p. Joachima Urmiana z panną Herminą Vogel w Stanisławowie.

— Sokół otworzył z grudniem kurs nauki szermierki i jazdy na kole. — Uczyć będą zawodowi nauczyciele. Sokół urządza w niedziele podwieczorki z muzyką — bardzo przyjemna i nie droga rozrywka.

— Warto by zbadać z jakiej przyczyny pogrzebom więźniów z zakładu karnego obrządku grecko-katolickiego nigdy ksiądz nie towarzyszy, podczas gdy ksiądz grecko-orientalny zawsze to czyni. Sądźmy, że więźniowie dość już są ukarani, że są pozbawieni wolności w kryminalne umierają, nie należałoby im odmawiać asystencji przy pogrzebach bądź jak bądź, ludźmi są i chrześcijanami. To samo możnaby powiedzieć o pogrzebach ze szpitala powszechnego.

W nędznej budzie przypominającej rakerską, wloką nocą nieboszczyków nie wiadomo czy w trumnach czy bez, bez księdza na cmentarz i tam grzebią. Szpital przypuszczamy nie ma funduszu ale ci panowie co urzędnikom magistratu za niezużycie nikomu zasługi pensje podwyższają, remuneracji udzielają mogliby, pomyśleć że prócz trzymywania się zasady „ręka, rękę myje“ są jeszcze i inne potrzeby, o których wartoby pomyśleć.

— Wieczór Mickiewiczowski. Towarzystwo pedagogiczne urządza dnia 11. b. m. w sali Tow. muzycznego wieczór mickiewiczowski ze współudziałem Tow. muzycznego. Mamy nadzieję, że publiczność nasza

oeknie się z letargu i zmanifestuje swój patriotyzm wyraźniej niż na obchodzie listopadowym w Sokole.

— Ze Sambora. W setną rocznicę chaniebnej abdykacji króla Stanisława, urządziła Czytelnia ludowa w grodzie Spytki z Melsztyna (Sambor) zabawę, na której przy dźwiękach kapeli wesoło piasano do rana. Przypomina to uroczystości w Grodnie z zeszłego wieku, kiedy to możni „z pijanym hałasem“, zaprzędawali się Moskwie (patrz Ochocki „Pamiętniki“). Czynili to wówczas magnaci, a zatem stan, który uczucia patriotyczne w sobie osłabił, dekadenci dziś nie mający znaczenia — ale teraz, w sto lat później, kiedy naród dojrzewa, skoro czynią to przedstawiciele ludu oświeconego i to w rocznicę tak smutnego faktu... mimowoli nasuwa się tedy na myśl pytanie, czy lud, ta „nasza nadzieja“, lud mający wskresić Polskę, sprostą swemu zadaniu, skoro w tak „żałośnym“ dniu oddaje się skocznej zabawie? Niedosć bowiem, jeśli lud jest światły, ale trzeba by gorzał patriotyzmem, boć zadaniem Czytelni ludowej jest nie tylko lud oświecać, ale i tego dokazać, by lud ten czuł się bardziej... polskim.

— Jak się wystrzegać należy zbytniego pieszczenia się z psami, pokazuje następujący wypadek w Prusiech: pewna 14 letnia dziewczyna miała pieska, którego często całowała i pomimo operacji lekarskiej, jakiej się we Wrocławiu poddała, zmarła po kilku tygodniach. Pokazało się, że przyczyną śmierci były robaki, jakie się u psów często znajdują.

— I. Dumas. Dzienniki paryskie przepełnione są szczegółami o Dumasi; śmierć znakomitego pisarza usunęła na drugi plan politykę i jej całą nędzę, zapomniano na chwilę o kłopotach gabinetu, Madagaskarze, nawet o uwiezieniu Artona! Najznakomitsi dwaj krytycy teatralni. Sarcey i Lemaitre, poświęcają Dumasi świetne, pełne uznania i ceni artykuły. Zaraz po śmierci otworzono testament Dumasa; majątek zapisuje w równych częściach żonie i dwom córkom; jak wiadomo, był żonaty z ks. Naryszkin, z którą miał dwie córki. Owdowiawszy, ożenił się z córką znakomitego aktora Regnier, która rozwiodła się z mężem; Dumas rozporządził, aby pogrzeb odbył się bez mów, bez księży i bez wojska. Zajmującą jest druga część testamentu, obejmująca rozporządzenia co do spuścizny literackiej; autor formalnie, niestety, zakazuje, aby cokolwiek z rękopisów było drukiem ogłoszone; również nie pozwala, aby sztuki pozostałe były wystawione! Niepowetowana to strata dla sztuki. Dumas zostawił dwie komedye „La Route de Thébes“, którą nazywał także „La Troublante“ i drugą p. t. „Les nouvelles couches“.

Pogrzeb Dumasa odbył się z olbrzymim, udziałem publiczności; pogrzeb stosownie do woli autora był cywilny; brał w uim udział cały Paryż literacki i artystyczny. Za trumną postępowała rodzina, za nią przedstawiciel prezydenta Republiki, następnie wszyscy ministrowie, dalej Sardou, ks. d'Aumale, ks. Matylda Bonaparte, Rothschild, Jules Simon, Bourget, Massenet, Pailleron, ks. Broglie, Zola, Leon Say, itd., wreszcie tłumy nieprzejrzane publiczności.

Al. Dumas zapisał Luwrowi swój przepyszny portret, pędzla Meissoniera.

Teatr, literatura i sztuka.

Teatr p. Antoniewskiego zrobił na publiczności nader miłe wrażenie.

Widoczny postęp we wszystkim, olbrzymia różnica z rokiem poprzednim.

„Ciepła wdówka“ poszła bardzo dobrze. Operetka „Gorąca krew“ wprawiła publiczność w zdumienie. Zdawało się, że na tych samych deskach w tak krótkim czasie po Myszkowskim wystawiać operetkę jest wprost szaleństwem.

Tymczasem operetka p. Ant. nie ustępuje operetce p. Myszk. a miejscami nawet ją kryje. Takiej p. Wiśniewskiej niema p. Myszkowski, jest to artystka, która idąc w ślady słynnej Zimajerki już dziś jej dorównuje przewyższając ją temperamentem, młodością i krasą.

Znakomitym komikiem jest p. Herman. P. Kratochwil był pysznym fryzyerem — Schluss.

Pan Krytykiewicz. Ki dyabli! mam oczwistego pecha.

Pierwszy pech to ten, że musiałem nolens volens tu zostać, nigdy człowiek nie wie, gdzie go śmierć czeka; Bogiem a prawdą nie chciałbym tu iść pod kogutka, bo mi się tutejszy ementarz wcale nie podoba. Ale cóż miałem robić — moja mała od Myszkowskiego, zakochała się w Stanisławowie, czy w jakim tutejszym eleganckim lejtnanciku, bo u niej to możliwe dość, że tu osiadła i otwiera interes. Jaki to będzie interes to jeszcze sama nie wie, zdaje się, że założy dramatyczną szkołę, dla ukrytych talentów wśród dyletantów. Takim się już do tej małej przyzwyczaił, że ani rusz opuścić jej nie mogę.

Drugi pech to ten, że nie mogę słowa dotrzymać a u Krytykiewicza to się prawie nigdy nie zdarza.

Obiecałem Antoniewskiego zjeść na śniadanie — O! du alter Krytykiewicz du hast deine Rechnung, ohne den Wirth gemacht. Miałem apetyt wilczy, ale cóż nowy dyrektor a właściwie stary tutejszy, ale dla mnie nowy; walny chłop i przy tem taka bestyjka ładny, żeby mi nawet było żal, uważacie państwo jak ja się bawię w lisa i kwaśne winogrona, nie mogąc mu nic zrobić, chciałbym się sianem wykreścić.

Pomyśli ktoś, Krytykiewicz stary lis, dał mu pewnie dyrektor wolny bilet więc mu kadzi, oho! bilet dać dać, bo Krytykiewicz ma takie zasługi około sceny, że mu dyrektorowi bilety dają, choć ich krytykuje i nieraz dobrze skrobnie, ich rzecz grać i o scenę się starać, moją krytykować.

Co tu dużo gadać, trupa p. Antoniewskiego, jest z prowincjonalnych najlepszą, tak jak powiedziałem, że Myszkowski ma najlepszą operetkę w Galicyi, kto mi jedno jak drugie zaprzeczy, da dowód, że się nie zna na rzeczy, oho! ja już i wiersze robię, no no, Krytykiewicz! Krytykiewicz! bój się Boga! szkoda Ciebie dla prowincyi.

„Ciepła wdówka“ wypadła wyśmienicie, ale krytykę właściwą rezerwuję sobie do 20., niechno trochę pograją, niech ich lepiej poznam, bo nie lubię pisać na wiatr.

Dwa ostatnie przedstawienia p. Myszkowskiego były świetnym zakończeniem szeregu przedstawień.

Dawano dwukrotnie „Halke“ z panią Kasprowiczową w roli tytułowej.

Któż nie zna p. Kasprowiczowej, któż nie podziwiał jej talentu, wszak własną pracą z chórzystki stała się dziś primadonną opery lwowskiej. Nie lada gwiazda zagraniczna musi w sezonie operowym zabłysnąć na horyzoncie lwowskiego teatru — by zaćmić naszą gwiazdę. Halka pani Kasprowicz była znakomitą, świetnie wystudytowaną, śpiewaną i graną. Drugim gościem był pan Zegarkowski, którego świetny bas i umiejętności śpiewania, powszechnie są znane. Z naszych artystów

wybornie śpiewał Jontka p. Orzelski, pani Bronikowska i inni śpiewali bez zarzutu.

Wystawa była jak zwykle staranna, a stroje polskie wprost zachwycały. Mazur błękitny został odtąńczony z werwą i zacięciem. Teatr był wysprzedany.

N A D E S Ł A N E.

Artykuły w rubryce „Nadesłane“ nie pochodzą od redakcyi, która też za nie odpowiedzialności nie przyjmuje.

Odpowiedź p. Zbigniewowi. Mądry głupiemu ustępuje.

Czesław.

„N A R Ó D“

organ

Chrześcijańskiej Partii Narodowej

wychodzi rok III.

w e L w o w i e

w dniu 1. i 15.

każdego miesiąca.

Numer ostatni (23) zawiera następujące artykuły:

- 1) Wiedeńska potrzeba a. D. 1895. 2) Czem są żydzi. 3) Z żydofrancuskiej Rzeczypospolitej 4) O trzech zamordowanych milionerach. 5) Żydzi w wojsku. 6) Kwiaty uszczeknięte w Izraelskim ogródku. XXXVII. Chłop i żyd. 7) Kronika. 8) Ogłoszenia.

Prenumerata wynosi:

rocznie 4 zlr. półrocznie 2 zlr. kwartalnie 1 zlr.

Numer okazowe wysyłają się każdemu kto tego zażąda, gratis i franko.

Adres Redakcyi: Lwów ulica Akademicka 1. 11.

Karol Zajączkowski

jubiler i złotnik w Stanisławowie

Główny skład

towarów jubilerskich i złotniczych

ZEGAR KÓW DAMSKICH I MĘSKICH.

Wincenty Michalski

restauracya i piwiarnia

jedyny w Stanisławowie wyszynk piwa pilzneńskiego, 8 ct. 1/4 litra.

Wyborne potrawy i przekąski. Przyjmuje abonament na obiady.

Wszystko po cenach najumiarkowańszych.

Najtańsze codzienne pismo polskie

„Dziennik poranny“

prenumerata na prowincyi: miesięcznie 95 ct. kwartalnie 2 zlr. 80 ct., półrocznie 5 zlr. 60 ct., rocznie 11 zlr.

Numer pojedynczy 4 ct.

Kto zaprenumeruje „Dziennik poranny“ przynajmniej na grudzień i styczeń, otrzyma całkiem bezpłatnie „Ścienny Kalendarz Kartkowy“ na rok 1896, wartości 80 ct.

Abonenci zamiejscowi dopłacają za ten Kalendarz tylko 15. ct. na koszt przesyłki, którą to kwotę należy przysyłać razem z prenumeratą. Prenumeratorzy półroczni i roczni mają prawo korzystać bezpłatnie z ograniczonego miejsca w dziale inseratowym na swoje prywatne ogłoszenia; mianowicie półrocznym przyszuja prawo do 20, rocznym zaś do 40 wierszy miejsca.

WANDA ZALESKA

pracownia strojów damskich

Trynatarska 15. I. piętro.

Przewodnik po Stanisławowie.

Fabryka worków papierowych.

J. Dankiewicz ul. Kazimierzowska.

Restauracye.

Michalski ul. Sobieskiego.

Cukiernie.

Zbigniew ul. Sobieskiego.

Handle korzenne.

Kajetan Kopacz ulica Karpińskiego.

Adolf Gurawski ulica Karpińskiego.

Magazyn bławatny.

Karol Piskorz ul. Sapiieżńska.

Nożownik i ślusarz

Józef Mazewski.

Fabryka powozów

Władysław Siwiński

Kazimierzowska 54.

Handel żelaza

Karol Hauswald

W rubryce tej płaci się 10 ct. od wiersza, rocznie 5 zlr.

Magazyn galanterii.

Leon Wagner ul.

Sapiieżńska.

Handel papieru.

Leon Weiss

ul. Karpińskiego

Drukarnie.

J. Dankiewicz ul. Kazimierzowska.

St. Chowaniec ulica

Belwederska.

Zegarmistrz i jubiler

K. Zajączkowski ulica

Karpińskiego.

Fryzyer.

Zygmunt Kostynowicz

obok cerkwi katedr.

Skład i wypożyczalnia

fortepianów i pianin.

Sidorowicz i Siwiński

Kazimierzowska 54.

Magazyn aparatów

kościelnych.

Teodor Stachiewicz

CUKIERNIA

CUKIERNIA

JOZEF ZBIGNIEWIEGO

poleca

NA ZBLIŻAJĄCE SIĘ ŚWIĘTA

ciasta i cukry w najlepszym gatunku i u największym wyborze

PO CENACH NAJUMIARKOWAŃSZYCH.

DODATEK LITERACKI

do Nr. 5. „Nowin Stanisławowskich”

z dnia 10. grudnia 18 95.

ALINA.

Obraz dramatyczny w 3. aktach.

OSOBY:

Warek, naczelnik osady.
Kryń, jego syn.
Hr. Wacław Krasnopolski, (lirnik).
Alina, jego żona.
Lew Pazuryn, oficer, moskiewski.
Wańka, kapral.
1. i 2. dziewczyna.
Lud, chłopcy, dziewczęta, wojsko moskiewskie.

Rzecz dzieje się w wiosce sybirskiej.

Akt I. w wiosce sybirskiej.
Akt II. przy studni.
Akt III. w namiocie Pazuryna.

AKT I.

(Scena przedstawia duże ognisko, w głębi szalasy.
W około ogniska siedzą na ziemi osadnicy, warząc
jadło).

SCENA I.

Warek, Osadnicy.

Warek.

Patrzcieo ludzie, hen! tam za lasami
Na niebie słońce zachodzi tak krwawo,
Lub niedaj Boże, czy łuna pożarna
Wieczorne niebo blaskiem nie oświeca?
Tam za lasami bogate sadyby,
Może nieszczęście spotkało wioszczynę.

I. osadnik.

Trudno rozpoznać, łuna czy nie łuna,
Bardzo daleko, a może to słońce
Jakoście ojeze przed chwilą mówili
Krwawo zachodzi

Warek.

Czy słońce, czy łuna,
To zawsze nie dobrze, pożar rzecz straszna,
A krwawy zachód to nieszczęsna wróżba,
Pożogi, mordów, wojny lub choroby,
Psy w nocy wyją jakoś tak cudacznie,
Miotła po niebie po północy lata.
O! coś się święci, lecz coś niedobrego.
Dałby to pan Bóg, by się odwróciła,
Od nas i wszystkich ta czarna godzina,
Oj! dzieci, dzieci, źle się u nas dzieje,
Nie tak bywało za dawniejszych czasów,
Była swoboda większa niżli dzisiaj
Mniej było grzechów u nas i rozpusty.
Pamiętam, dziad mój stary opowiadał,
O dawnych dziejach — lepsze były czasy,
Jedno złe było, lud nasz żył w ciemnocie,
Kamiennym słupom boską część oddawał,
Oceił podłe gady, drapieżne zwierzęta
I nieznał jeszcze naszej świętej wiary.

Lecz przyszli popy, pokropili wodą,
Opowiadali o prawdziwym Bogu,
Lud nasz pił cheiwie jak z czystej krynicy
I chętnem uchem chwycił święte słowa
Przyjął chrzest święty i było nam dobrze.
Cóż kiedy wkrótce za popami przyszli,
Z zachodu do nas Moskale — sałaty,
Ci nam przynieśli na nasze nieszczęście
Dyabelską wodę, tę wodę paloną,
Lud cheiwie chwycił ognistą truciznę,
Myślał, że znalazł ratunek zbawienny
Na nasze mrozy. — Tymczasem moskale
Wzięli nam chłopców w najdorodniejszych
W sałaty wzięli — pogolili głowy,
Wdziali szynele i het popędzili.
Kupcy za wódkę zdzierali straszliwie
Brali sobole futerka i lisy,
Kazali łuki nam nasze odrzucić,
Dali nam strzelby, ową broń ognistą,
Co lepiej strzela i lepiej zabija.
Za moskalami wnet przyszły choroby,
I po raz pierwszy właśnie w owym czasie,
Ta straszna dżuma do nas zagościła.
O! moje dzieci, źle nam dziś w sadybach,
Moskale przyjdą, zabiorą nam mienie,
Chłopców w rekruty. kryjemy się w lasach
I uciekamy przed wrogiem wolności,
Lecz on nas znajdzie, jak już nie raz znalazł.

SCENA II.

Ciż (z lasu wychodzi ślepy lirnik prowadzony przez
wiejską dziewczynę).

Warek.

Co to za ludzie? lirnik i dziewczyna,
Skąd Pan Bóg prowadzi?

Lirnik.

Z dalekiej drogi,
Idziem z północy o głodzie i chłodzie,
Do świętej Ławry peczerskiej, wszak znacie
Te święte miejsca?

Warek.

O! znamy ze słuchu,
Siadajcie dziadku, posilcie się z nami
I opowiedzcie co słyhać tam w świecie.

Lirnik.

Pięknie dziękuję za gościnność waszą,
Nie długo wam tu zawadzać będziemy,
Za chleb wasz, niech was Pan Bóg wynagrodzi,
O! dobrzy ludzie niech jeno odpoczną,
A zaraz zacznę wam tu rozpowiadać.

Warek.

Żleście wy słowa moje zrozumieli,
Możecie u nas jak długo zechcecie

Gościć w pokoju, nie braknie nam stawy,
Jeśli gość przyjdzie, wszak to łaska Boża,
Myśmy wam radzi, wiercie bardzo radzi,
Coś się nowego pewnie nasłuchamy,
Co w świecie słyhać — ależ dziadku miły,
I ty dziewczeczko nie gardźcie posiłkiem,
serca dajemy, co mamy my biedni,
Lecz wyście także widzę nie bogaci,
Nie pogardzicie naszą prostą strawą.
(przysuwa im misę).

Lirnik.

Stokrotne dzięki
(żegna się wraz z dziewczyną i szemrząc, odmawiając
modlitwę).

Od kilku tygodni
Ciepłej stawy nie mieli, chleb tylko
Czarny chleb suchy i leśne jagody,
Później i chleba czarnego nie stało,
Jedliśmy tylko korzonki, jagody...

Warek.

Nie już nie mówcie, tylko jedzcie zdrowo,
Czasu nam nie brak, gdy się posilicie
To opowiecie nam swoje przygody,
Gdzie Kryń się podział?

Kryń.

(który ukryty za krzakiem, bez przerwy wpatrywał
się w Alinę, zbliża się zwolna)
Czego chcecie ojeze?

Warek.

Nie, nie mój synu chciałem tylko wiedzieć
Gdzieś się zapodział.

Kryń.

Skryłem się za krzakiem,
Blask który bije od gwiazdy co zesła
Tak niespodzianie na wieczornem niebie
Wzrok mi oslepia więc skryć się musiałem.

Warek.

Jaka znów gwiazda, jaka nowa wróżba?

Kryń.

Spokojnym bądź ojeze, ta nowa gwiazda,
Raczej nam szczęście niż zgubę przyniesie.

Warek.

Wskaż mi tę gwiazdkę.

Kryń.

Nie ojeze nie mogę
Twe oczy gwiazdki tej pewnie nie ujrzą
A jeśli ujrzą nie uczują siły
Ni blasku jaki z jej żrenie wystrzela.

Warek.

Ej! chłopcze czy cię tylko nie złe oczy
Jakiej dziewczyny nie nauroczyły?
Mówisz niejasno, nikt cię nie rozumie
Pleciesz o gwieździe która ma żenice
Która blask rzuca dla mnie niewidzialny
Pewnie cię jaka urzekła dziewczyna.

Kryń.

I to być może a jednak wszak wiecie
Dotąd uroki mnie się nieczepiały.

Warek.

Długoś wojował bezkarnie mój chłopcze
Zawszem ci mówił przyjdzie i na ciebie
Ta wielka chwila że i serce stracisz
I sam już siebie nie poznasz mój Kryniu.

Lirnik.

Darujecie proszę staremu dziadowi
Który się wprosił do was na gościnę
Że wam trzy grosze swoje też dorzuci.
Ot stary lirnik, zwyczajnie gaduła
Wieczny mu pypeć na języku siedzi
Więc plecie swoje, lecz wiercie mi ludzie
Kto całe życie o żebranym chlebie
Z sakwą u boku o sękatym kiju
Włóczy się z mniejsza na mniejsze latami
Tu coś usłyszysz, tam mu coś nabają
Ze swego doda, ot i bajkę skleci
Jam nie uczony, ale doświadczony
Jeśliście chętni i jeśli dziadowi
Chętnego ucha użyć zechcecie
Powiem wam gadkę.

Warek.

Prosimy, prosimy.

Lirnik.

Miedzy lasami, między górami
Był staw zarosły szuwarem
Staw się ten roił wiecznie żabami
I dźwięczał zawsze ich gwarem.

Spokojnie żyły żaby w tym stawie
Żyły jak ptaszki wesoło
Niczyle oko nigdy ciekawie
Nie zaglądało w ich koło.

Wśród wiecznej wrzawy i wiecznej zwady
którą król żabi łagodził
Nikt nie przypuszczał rychłej zagłady
Dzień po dniu bezpiecznie schodził.

Raz kiedy żaby te stulejczyce
Płasały znówu gwarliwie
Gdy przygłuszały pienia słowice
Nagle zamilkły skwapliwie

Zaszumiał wicher z zachodniej strony
Kładą się trawy stepowe
Sunie trawami tłum niezliczony
Sunie się wojsko węzowe.

Zjadliwe węże wyszły za łupem
I w strasznym swoim pochodzie
Niszcza w około i kładą trupem
Wszystko na ziemi i wodzie.

Padł strach na żaby dotąd spokojne
Pewna je czeka zagłada
Przyjdzie im zginąć, lub przyjąć wojnę

Więc walna wśród nich narada

Stare okupem zbyć węzów pragną
Młode do walki gotowe
Pod jarzmo wrogów karku nie nagną
I wznoszą krzyki bojowe.

Przyszły więc węże i pełne zdrady
Nuż obiecywać nie mało
Nim się skończyły z wrogiem układy
Żab w całym stawie nie stało...

Warek.

Piękna to bajka, wyście człek uczony
Mnie nie omami ni wasz strój wieśniaczy
Ni stara lira, jam też nie dzisiejszy
Pod tą płótnianką, pod wiejskim okryciem
Kryje się ciało i dusza nie chłopska,
A wasza mowa, to nie nasza mowa,
I nie moskiewska, wyście z Polski panie.

Lirnik (do siebie).

Jestem zdrafczyną.

Warek.

Lecz nie miejcie strachu,
Myśmy lud prosty, prawda nieuczony,
Lecz u nas serce bez fałszu i zdrady,
Tuście bezpieczni jak u siebie w domu,
W naszych szalasach, w naszych kurnych
[chatach,

I włos nam z głowy nawet spaść nie może,
U nas gościnność nie jest na języku,
Lecz w głębi serca, gość jest dla nas świętym,
Wszystko nam jedno czy ten gość ubogi,
Czyli pan możny, gościem jest to dosyć,
Jeżeli chcecie chować tajemnicę,
Swojego rodu, to ją zatrzymajcie,
My nie ciekawi, czym chata bogata,
Tem rada, jak mówi nasze przysłowie,
Piękne przysłowie wszak i my je znamy,
Kryniu do mego skocz jeno szalasu,
Starego miodu przynieś tu mój chłopcze,
Trzeba nam uczcić gościa należycie.

Kryń.

Zaraz przyniosę (wybiega)

Lirnik.

Ależ gospodarzu,
Nie zawstydzajcie mnie swoją dobrocią,
Szlachetny trunek godniejszym zostawcie,
Nasz zwykły miodek, też mi pierś rozgrzeje.
Kiedyście dobrzy i na mnie łaskawi,
Kiedyście moją tajemnicę zgadli,
Nie będę kryć jej — tak, jam z Polski rodem,
Ale od dawna jestem już wygnańcem,
Patrzcie na ręce, na te ciemne pasy,

(pokazuje ręce)

Wiecie wy z czego te pasy na ciele?
To straszne ślady moskiewskich łańcuchów,
Którymi podli do tacek przykuli,
Tego co waczył, za wolność Ojczyzny.
O! dobrzy ludzie, pozwólcie mi proszę,
Bym moją walkę bliżej wam objaśnił,
Smutne to rzeczy — lecz ja wam opowiem.

Kryń.

(przyuosi dzban miodu).

Przynoszą miodu starego w tym dzbanie,

Kubki są tutaj.

(nalewa i podaje lirnikowi)

Warek.

A więc pijcie zdrowo,
My miód zbieramy dzikich pszczoł po lesie,
Chowamy także w ulach swojskie pszczoły.
Co się zostanie słodkiego napitku,
Chowamy skrzętnie by mieć miód wystały,
Mamy i wódkę tę wodę trującą,
Którą Moskale przynieśli nam w darze,
Lecz nie pozwalam pić swoim gorzałki,
Odbiera siłę i rozum odbiera.
Miód co innego, to napój szacowny
My go szanujem — wódkę na choroby,
Trzymamy tylko, ale nie do picia.

Lirnik.

Miód łaska Boża, dziękuję za miodek,
Ten stary lipiec klarowny jak złoto,
Lecz chciałbym bajkę wam moją objaśnić.

Warek.

Mówcie, prosimy.

Lirnik.

Bajka to nie bajka,
Wiele w niej prawdy, wiele porównania,
Dobrzy wy ludzie a czy wy zgaoniecie,
Co znaczy staw ten zakryty lasami?
To wasze sioło, to wasze sadyby.
Wy tu bezpiecznie tak jak owe żaby,
Bez troski w szczęściu z dnia na dzień żyjecie.
Czasem się pewnie trafią u nas swary,
Ot jak u ludzi i wójt was pogodzi,
Tutaj swobodnie jak ptaszkowie leśni,
Wielbicie Boga nieuczoną mową.
Macie do syta i chleba i soli,
Zwierzyny w lesie i miodu leśnego,
Bydełko wasze zdrowo się wypasa,
Piękne koniki jak widzę trzymacie,
Cóż wam do szczęścia jeszcze nie dostaje?
Darujecie proszę że wam złe nowiny,
Z świata przynoszę, słyszyście bór szumi,
I cóż słyszyście w tym wichru powiewie?
Ja was objaśnię — niebawem z Zachodu,
Przyjdą zastępy zdracliwie, węzowe,
Słodką ich mową ale chytne serca,
Przyjdą w gościnę, niby po przyjaźni,
Lecz w rękę każdy ogniętą broń trzyma.
Jeśli im chętnie swe mienie oddacie,
Jeśli krew waszą im na upodlenie,
Jeśli swych chłopców dacie im w sałaty,
To znów odejdą — kiedy wam zabiorą,
Wszystko co macie — lecz biada wam, biada,
Jeśli moskałom nie dacie się łupić,
Spróbujecie jeno wzbronić im grabieży,
A zobaczycie jak węże łagodne,
Wnet się przerzucą w jadowite gady,
Z sykiem wysuną widlaste języki,
Zatrute zęby wbiją w nasze ciało,
Przemocą wezmą gdy sami nie dacie.
Ogniem i mieczem wytępią was rychło,
Strzechy popalą i z ziemią zrównają,
Chłopców zabiorą a starych zabiją,
Los dziewcząt gorszy...

(C. d. n.)

Madry Icek

(poemat jakich wiele.)

(Ciąg dalszy).

II.

S a r a.

Piękną w ogródku jest biała lilija.
Której śnieżyste i kielich i szyja
Ale liliję już dawno poeci
Zbyt rozchwalili po szerokim świecie.
W mieście w ogródku — wśród łupin i błota
Rośnie cebulka, której słynie cnota
Młoda cebulka, która łyż wyciska
Dla niej szaleją tu wszystkie żydziska
Lecz tylko Icek syn rudej matulki
Został pokochan od wonnej cebulki.
Raz gdy kolega Ieka od Chajderu
Robił hasyny nie myślcie z Wenerą
Ale z kaprawą Feigą zezowatą,
Która wypycha nawet łydki watą
Tamto nasz Icek poznał swoją Sarę
Odtąd jej przysiągł i miłość i wiarę
Od tego czasu kochają się młodzi
Niech się kochają, co to komu szkodzi?
Kiedy na szabas stara matka Jita
Ubrała bindę — całe miasto pyta
Co to za dama z takimi perłami?
Aksamit ubrany złotymi sznurkami
Aż w oczy kole — idąc do bóżnicy
Tak się wystroi, że tej żydowicy
Niktby nie poznał gdy w starych patynkach
Biega z towarem po domach i szynkach
Piskliwym głosem swój towar zachwala:
„To cygarniczka pianka sze zapala,
„A to grzebyczek tak włosy układa
„Aj waj! wgląda — to cała parada“,
„Patrzcie! to midło, jak ono wymiwa
„Każda pachnientka jest bardzo szczęśliwa
„Jak sobie z midłem odemnie wymije
„Ladne na gębie i ladne na szyje
„Kup pan te szelki mocne a nie drogie
„A te trzewiczki ubierają nogie
„Od małe żeczki — ten pularsesiku
„Chowa piniondzów bez gwałtu i krzyku
„A ten wykłuwacz tak wykłufa gębie
„Że nie połamisz ani jeden zębem“.
Tak mama Jita od rana do nocy
Lata z gescheftem jakby kamyk z procy.
Szabas się skończył, młody księżę świeci
Już się pokładły bachury — liść leci
Zeschnięty z drzewa, bo już jesień była
Już obumiera natura co żyła
W dziewiczej krasie przez wiosnę i lato
Wtem coś szustnęło za znajomą chatą
To Icek chyłkiem do okna się zbliża
Gdzie jego Sara na środku alkierza
Gasi uważnie świece szabasowe
Mrucząc pod nosem, snąc wielbi Jehowę.
Trzykrotnie Icek do okna zapukał
Wiedział, że serce tu swoje odszukał
Zadrzało serce kochającej Sary
Gasi świeczniki a jest ich bez miary,
Wychodzi cicho — idą po pod płotem
Idą na palcach aby się łoskotem
Nie zdradzić przed mamą — wyszli na pole
Icek w objęcia wziął Sarę — lecz wolę

Rzucić zasłone na młodych pieszczoty
Co się całują niby w marcu koty.
„Daj Buzi Sare chodź do Ieio swoje
„Ty całe szczęście i nadzieje moje
„Ja czebi kocham jako krowa czele“.
„Sztیلże lubuniu szra nyszt mój Ieyni
„Ja czebi kocham ty moje lubyni“
„Daj buzi Sare, tobi pachnie z gemby
„My sze kochamy jak te dwa golemby
„Ty jesteś takie białe golembyce
„Ja twoje samiec, ty moje samice“.
Sara zdziwiona poetyckim zwrotem
Zaczyna marzyć pod tym starym płotem
Gembę otwarła palec w nos wsadziła
Mądrości Ieka tak się zadziwiła.
A w tem z za płotu o losie złowrogi
Stary patynek z suchej Jity nogi
Wali po karku Iecunia niebogę
Który natychmiast swą zajęczką nogę
Wyciąga, wiedząc że z Jitą nie żarty
Ale z daleka wciąż stoi uparty
Patrzy co będzie, Jita Sarę pierze
Niedba gdzie bije, że aż litość bierze
Żal Iecuniowi Sary nieboraczki,
Która zawodzi jak żałobne płaczki
Patrzy jak Jita się z córką rozprawia
Pasya go bierze — cycele poprawia
Zakręca pejse i krzyczy: Nu mame
„Czyś zobaczyła na twej Sarze plamę
„Za co ją bijesz — die Alte paskudne
„Tutaj na takie miejscowoszcz odludne
„Halt pisk die łajdak die paskidne szwyni
„Bist dy myszugi łapserdak Ieyni
„Do mojej córki ja szukam rabina
„A taki kapcan sobie z nią zaczyna
„Ty sobie sprzedaj zajęcowe skórki
„Ale z daleka — weg od mojej córki“,
„Ona dostanie tysiąc na hasyny
„Ty drancihuznyk do taki dziwczyny
„Po noey lizasz — czekaj szware-jur tobie
„Cholera na kiszki — gaj weg parch sobie“.
„Ej! mame — mame po co to gniewanie
„Nie nie pomoże na nasze kochanie“.
„Hast die gewidziele, co ten parch gada
„Kochanie wus yst to jakaś szkarada
„Sziksy do domu — ty Ieyk weg z nogiem
„Bo ci nabiję — ruszaj z panem Bogiem“.
(C. d. n.)

Kącik humorystyczny.

Nowy szef do kancelisty (bez zarostu i łysiego jak kolano). Już to samo, że pan jesteś tak uderzająco podobnym do Ekscelencyi, gniewa mnie, ale żebyś pan miał fryzurę i brodę tak samo nosić jak Ekscelencya, tego po prostu nie zniosę.

No, ile lat mieć mogę panie poruczniku, proszę zgadnąć. Tak na oko 30, ale kiedy się pani o to pytasz powiedzmy 20.

Profesor fizyki (objasniając dlaczego się eksperyment nie udał): Jak widzicie moi panowie, nie widzicie jeszcze nic, a dlaczego nie nie widzicie zaraz zobaczycie.

Sędzia: Wybiłeś skarżącemu ząb, czy masz co na swoje usprawiedliwienie.

Oskarżony: Ząb był dziurawy.

Profesor: Nie uwierzcie panowie jaką odwagę mieli gladiatorowie, jeśli któremu wybito wszystkie zęby, połykał je zagryzał ból i walczył dalej odważnie.

Gdy dawano nazwy nowoasenterowanym koniom, pyta się rotmistrz wachmistrza, jakby nazwać jedną nader nerwową klacz.

Możeby w cześć pani rotmistrzowej nazwać ją „Helena“?

Kapelmistrz: E co wy tu macie za muzykę, dyrygowałem w Ameryce muzyką w której było 1000 muzykantów t. j. 200 skrzypków 50 kontrabasów 120.

Aktor: E co to, ja grałem raz w sztuce w której podpowiadało 40 suflerów.

* Dobra wymówka.

No dzieci, możecie resztę piwa wypić.

— Ależ ojeze, tu nie ma.

— A to z waszego powodu, muszę sobie kazać dać nową halbę.

Panie, pan nastąpiłeś memu psu na nogę musisz mi pan dać zadosyćczynienie.

I owszem, chodźmy do handlu wędlin kupię psu leberkę.

Chłopka sprzedaje dwie tłuste krowy, ponieważ jednak kupiec nie ma pieniędzy przy sobie, więc żąda zastawu.

Kupujący daje jej jedną krowę w zastaw a drugą bierze.

Panie majster jak pan myślisz czy porządny człowiek może jeszcze w tym ubrańni chodzić.

Porządny człowiek może — no ale pan baron przecież nie.

Janie, buty cisną, powiedz szewcowi że jest osłem.

On to już sam mówił gdy przychodził daremnie z rachunkiem.

Do trzech lat cała Europa będzie republiką.

Każ pan dać halbę piwa to się zgodzę na pańskie zdanie a jeśli nie to powiem że to głupie zdanie.

Jak mama może zażywać krople żelazne przy takiej burzy, żelazo ściąga pioruny.

Pewien stojąc na brzegu, widzi dwie tonące panie, woła do nich:

Jeśli mi panie dacie słowo, że nie będę się musiał z żadną z was żenić to was ocale.

Freiter: Ha! cóż to moja Rózia przysłała mi pół kiełbasy, czy ona mi się przypadkiem nie chce sprzeniewierzyć.

Gość! Kelner, podałeś mi zajaca lunatyka.
Kelner: Jaki?

Gość: Ten zajac z pewnością biegał po dachach.

Powiedz mi pan, panie Jejteles dlaczego żyd zawsze na pytanie odpowiada pytaniem?

Nu, dlaczegożby żyd nie miał na pytanie odpowiadać z pytaniem?

Proszę mi powiedzieć, co to jest emanepacya kobiet?

Kiedy kobieta szpicrutę uważa za chochlę.

* Na wieczorku.

A. Powiedz mi, czy to nie jest Chopina, co gra panna Z.?

B. Tak, jeśli ten utwor gra kto inny.

Szef: Robię pana uważnym, że moja cierpliwość już się wyczerpuje, coż pan tu znowu za nonsensa popisał?

Urzędnik: Ależ ja tego wcale nie pisałem.

Szef: To nie jest żadna wymówka.

No to możnaby sobie ze złości nos odgryźć gubiąc prawą rękawiczkę a kiedym to zauważył rzucam ze złością lewą, później znajduję prawą, no ale lewej już nie ma.

Student: To można oszaleć, mogę jeść i pić ile się wlezie, a do nauki ani rusz nie mogę nabrać chęci.

* Nie warto być porządnym.

Czeladnik: Ile mam zapisać za garnitur radey H, 80 zł.

Krawiec: O! to bardzo porządny człowiek, płaci regularnie, zapisz pan 90 zł.

Cheiałabym ci coś ładnego na imieniny kupić, by ci sprawić przyjemność, ale wprzód muszę się zapytać pana profesora jak ty się uczysz.

Jeśli mi ciocia chce prawdziwą sprawić przyjemność to proszę się lepiej nie pytać.

A. Słuchaj, którego mamy dziś?

B. (zagląda do portmonetki), około 20.

A. Czegoż zaglądasz do portmonetki?

B. Bo u mnie tak od 1. do 10., mam w prawej przedziału złoto w lewej srebro, od 10. do 20., jest w prawej srebro w lewej nic, od 20. aż do końca w prawej nic a w lewej to już całkiem nic — to mój kalendarz.

Feldfebel: Słuchaj Iwan, nie patrz się na mnie takim okiem, jak szczęśliwy małżonek, któremu boeian właśnie przyniósł bliźnięta.

* Varietas delectat.

Nauczyciel: Panno Manio, widzę, że pani przy nauce o starych Rzymianach

wciąż ziewasz, to przejdźmy do starych Greków.

Dlaczego twoja panna nie chce już romansów, w których się przy końcu pobierają.

Moja panna już tego nie potrzebuje, bo przed tygodniem sama za mąż wyszła.

Telegram: Najdroższa! pędzę do ciebie na skrzydłach miłości, przyjadę wieczornym bumelugiem.

Grubszy kawałek.

(Szkic humorystyczny).

Państwo niebieskie dzieli się jak wiadomo na wiele prowincyj. Do jednej z takich należy najwięcej na północy wschód wysunięta prowincja: Gol-li-cja, główne miasto siedzi w dole jak w garnku, środkiem miasta płynie słynna z swych woni i pięknego koloru rzeczka Pełtew, mieszkańcy stolicy dnmni i ządrosni na piękność swej rodzinnej rzeki nakryli ją zupełnie, by obcy nie mogli ani okiem ani nosem tych cudów podziwiać. Jak w każdym chińskim mieście tak i tu największą osobliwością jest t. zw. z chińska Rada miejska. Nie każda jednak Rada miejska może posiadać w swem łonie taką ciekawą figurę jak radny czyli mandaryn Basz-basz. znany pod nazwą „Grubszego kawałka“. Kto pierwszy dał mu tak stosowną nazwę, niewiadomo zdaje się że on sam.

Opis postaci „grubszego kawałka“ nie zawadzi, jest on niski gruby, pękaty, głowę ma dużą o okazałej radzieckiej łysinie, wasy grube, broda w stylu ormiańskim. „Grubszy kawałek“ w towarzystwie mówi wiele, głośno aby drugich przekrzyknąć, nigdy o niczem innym nie mówi tylko o sobie jako o „grubszym kawałku“ i o Radzie bez względu czy to kogo obchodzi lub nie...

Była n. p. wczoraj sesja i wielka narada nad usunięciem śmiecia z placu Li-lo „grubszy kawałek“ jest w stanie przez 2 godziny mówić o wiekopomnej uchwale świetnej Rady nie zapomina nigdy dodać to uchwalono na mój wniosek, tamto przeszło dzięki memu poparciu i t. d. Przyszła pod obrady ważna dla miasta kwestya budowy nowego teatru, radni podzielili się na trzy obozy jedni gardłowali za ogrodem jezuickich misionarzy, drudzy za placem Goli-Gulskich, trzeci jako dzieci nie mieli oznaczonego miejsca. Gdy „przyjaciele polityczni“ mieszkający obok ogrodu missjonarzy byli za ogrodem, „grubszy kawałek“ mieszkający w śródmieściu stanął na czele partii za placem Goli-gulskich głosującej naturalnie „w imię zasady“. Mówił do jednego z najlepszych swych przyjaciół politycznych „wiesz z ciebie dobry chłop ale dla twej miłości nie będę płacił fiakra gdy zechcę pójść do teatru zresztą ja to robię z przekonania teatr powinien stać w centrum miasta“. Nie nie pomogły perswazyje przyjaciela że teatr potrzebuje powietrza — „aby dobrze grali“

odpowiadał „grubszy kawałek“ a „luft“ się znajdzie. Gdy w mieście Kra-kra, odbywał się pogrzeb aż z Pekingu sprowadzonego wiesz-cza chińskiego narodu pojechał naturalnie i „grubszy kawałek“ z deputacją, w stroju narodowo-chińskim czyli w żupanie i żółtych butach.

Mieszkańcy miasta Kra-kra, z uśmiechem podziwiali żółte buty, gdy więc „grubszy kawałek“ do domu powrócił opowiadał wszystkim robiąc skromną minę że z całego pogrzebu najlepiej się jego buty podobały. Gdy w. Mandaryn dostał order „wielkiego hipopotama“ pojechał znowu z deputacją „grubszy kawałek“ a gdy powrócił przez dwa tygodnie chodził jak nadęty pęcherz, wszystkich zgóry traktował a pytany o powód tej dumy odpowiadał: „Jadłem przy jednym stole z w. mandarynem, piłem zdrowie w. mandaryna, w. mandaryn zaszczycił mnie zapytaniem czy to ja w mieście Kra-kra imponowałem żółtymi butami.

Codziennie po trudach i kłopotach magistracko-radzieckich szedł „grubszy kawałek“ wieczorem do swego przyjaciela (prawdziwego bo do Rady nie należał) tam już wszystko było przygotowane, nie tracąc czasu zasiadali do narodowej chińskiej gry w karty, grali w dardla. Gdyby kto „kibicował“ obu zawziętym partnerom nie słyszałby nic prócz głoszenia terca od króla, kwarta od damy, fus, beli bela 200 chłopców i t. d. Jak „grubszemu kawałkowi“ karta szła, zaczynał być wymownym, dogadywał partnerowi irytował go, partner gryzie tylko paznokcie i czeka szczęśliwej chwili. Wreszcie karta się zmienia „grubszy kawałek“ mileży, teraz partner zaczyna dogadywać „no Basz — bańciu, czego tak cicho siedzisz jakby ci coś pysio замуrowało, no powiedz jakie doweip“.

„Daj mi spokój“ oburza się Basz-basz, masz ein schweinernes Glück karta ci się pcha i jeszcze sekujesz porządnego człowieka.

Wtem wchodzi uprzejma gospoia i prosi panów do kolacyi. „Proszę panie Basz-basz“ mówi przy stole czemu tak skromnie o weź pan ten to ładniejszy kawałek“ „O! pani dobrodziejko ja ceremonii robić nie myślę, funduję przecież kolację“ a zwracając się do innych: „proszę jedzcie państwo, to już wszystko zapłacone — pan gospodarz zabrał mi w dardlu wszystkie pieniądze. Mimo że się ten koncept codziennie powtarza wszyscy uważają za obowiązek śmiać się z doweipu „grubszego kawałka“. Po kolacyi dardel idzie dalej „grubszy kawałek“ regularnie z nasypką swoje pieniądze odbija a tłumaczy to tem że do głośnego karta nie chce iść.

Mimo swych słabostek i śmiesznośtek jest pan Basz-basz tak pocziwym że nie zna granic gdzie chodzi o poświęcenie się dla dobra publicznego i mocno jestem o tem przekonany że na ołtarzu Ojczyzny gotówby złożyć nawet swe historyczne żółte buty.

NOWINY STANISŁAWOWSKIE

Czasopismo ekonomiczno-społeczne.

Wychodzi 3 razy na miesiąc, każdego 1., 10. i 20.

Adres Redakcji i Administracji: ulica Zosina Wola 1. 69.

Prenumerata
miejscowa i za-
miejscowa wy-
nosi rocznie 3 zł.
60 ct., półrocznie
1 zł. 80 ct., kwar-
talnie 90 ct.
Numer pojedyn-
czy 10 centów.

Inseraty:
Słowo petittem 1/2
ent., garmoniem
1 ent., za duże
litery oblicza się
osobno. — Abo-
nament taniej. —
Kwadraty humo-
rystyczne 50 ct.
W rubryce „Na-
desłane” 10 ent.
od wiersza.

Kalendarz: (20) Teofila męcz. (21) Tomasza
apost. (22) F. 4. Adw. Zenona. (23) Wiktorii panny
(24) Adama i E. Wigil. (25) Boże narodzenie (26)
Szecepana męcz. (27) Jana ewang. (28) Młodzianków
męcz. (29) F. po B. N. Tomasza. (30) Dawida króla.
(31) Sylwestra pap.

Jeszcze raz.

Zastanawialiśmy się czy warto po
raz drugi w tej samej sprawie się od-
zywać.

Przyszliśmy do przekonania, że
nigdy nie można za wiele napisać,
gdy chodzi o rzecz taką, jak zanik
patriotyzmu u mieszkańców danego
miasta.

Gdy po obchodzie listopadowym
z żalem w sercu, musieliśmy prawdę
powiedzieć tym, którzy zapominają, że
są polakami i co winni sprawie pol-

skiej, mieliśmy nadzieję, że głos nasz
nie będzie głosem wołającego na puszc-
czy, że to chwilowe zapomnienie się
większości naszych polaków i pseudo-
polaków, ustąpi miejsca ocknieniu się.
Niestety, niektórzy mają tak grubą
błonę bębenną w uszach, że nie por-
uszy jej nawet prawda gorzka i gry-
ząca.

Nie będziemy powtarzać, że ha-
niebna jest rzeczą nie czczyć swych
geniuszów i nie dbać o sprawę ojczy-
stą, wymienimy tylko fakta.

Obchód mickiewiczowski urządzo-
ny staraniem Tow. pedagogicznego mi-
mo pięknego programu i jak się póź-
niej okazało wykonania bez zarzutu,
nie zgromadził ani w połowie tyle
publiczności ile się należało spodzie-

wać. Dopisały jedynie fotele, miejsca
pierwszorzędne były prawie puste a
na drugorzędnych litalalnie nikogo
nie było. Dowodzi to że prócz garstki
inteligencji nie było nikogo, miesz-
czaństwo polskie miast innych słynie
z patriotyzmu, czyżby tylko naszemu
mieszczaństwu sprawa ojczysta była
obojętną?

Młodzieży szkolnej było też bardzo
mało, ale czyż można się dziwić „wie
die Alten sungen, so zwitschern die
Jungen“. Jeśli rodzice nie dadzą dzie-
ciom przykładu, nie można od dzieci
nawet wymagać by byli lepszymi po-
lakami niż ich ojcowie i matki. Co
będzie z synów, których ojcowie po-
za bezmyślnem traceniem czasu w ka-
synach, kawiarniach i tingl-tanglach
żadnej innej rozrywki nie mają.

Aleksander Dumas

przez Franciszka Sarcey'a.

(Dokończenie).

Pytanie było bardzo niedyskretne. Panna
Croizette rzuciła głową w tył jak rumak
rasowy i oko w oko odpowiedziała: „Gdybym
była kochanką dyrektora Perrina, to byłabym
kochanką człowieka honoru, od niego niktby
się niczego nie dowiedział“. „Dostałem na-
uczkę“, rzekł nam Dumas „i zapamiętałem
ją sobie“. Nie znałem wówczas Dumasa, gdy
początkując, pisał romanse bez żadnej innej
myśli jakby zarobić dziesięć ludwików, któ-
rych potrzebował a które rzadko od ojca
otrzymywał, od ojca, którego w komedyi
„Le père prodigue“ tak zachwycająco przed-
stawił.

Prowadziłem wtedy życie w czterech ścia-
nach zamkniętego a później żyłem na pro-
wincyi. Dumas młodszy był już wówczas
sławnym, gdy ja do Paryża wróciłem, napi-

sał już bowiem „Dame kameliową“, „Diane
de Lys“, „Demi-Monde“ i t. p. Możecie sobie
wyobrazić, jak pałałem chęcią poznania się
z tym, którego uważałem za najsławniejszego
autora, ja biedny debiutant, z autorem, któ-
remu codziennie fanfary głosiły reklamę i
uznanie.

Nie mówię tu o tych sztukach. Bo i po-
cóż? Znać je pewnie i wyrobiliście sobie
o nich zdanie. Nie piszę krytyki dzieł Du-
masa, które już tysiąckrotnie przez najroz-
maitszych możliwych krytyków były pisane,
opowiadałem tylko osobiste przygody z mego
życia. Edmundowi About, który był zaprzy-
jaźnionym z Dumasem, zawdzięczać sposo-
bność, widzenia autora w przededniu wysta-
wienia jego „Père prodigue“ w teatrze Gym-
nase. Stawiałem wtedy pierwsze kroki w
dziedzinie feletonów teatralnych.

Napisałem ełogę, któraby mi się i dzisiaj
złą nie wydała, prócz kilku epitetów, które
mój zapal młodzieńczy stworzył. Dumas dzie-
kował mi gorąco i od tej chwili zostaliśmy
przyjaciółmi. Przyjaźń ta stała się ściślej-
szą

przez pewien wypadek, dziś już prawie za-
pomniany, który jednak w owym czasie
piekielnej narobił wrzawy w Paryżu.

Mianowicie Dumas do spółki z Girardin'em
napisał „Wina kobiety“ albo lepiej mówiąc,
z przyjaźni dla Girardin'a, przyznał, że ma-
nuskrrypt Girardin'a zebrał i komedye wy-
kończył, ponieważ nie mogłaby być w swym
pierwotnym stanie wystawioną. Po ukończeniu
tej pracy dopilnowywał Dumas w nieobecno-
ści Girardin'a, próby tej sztuki w teatrze.

Podczas próby generalnej przyszedł Gi-
rardin, by zobaczyć wspólne dzieło. Girardin
nie mogąc więcej swego dzieła poznać, czer-
wieni się ze złości i oświadcza, że sztuka
jest obrzydliwą i on swego nazwiska pod nią
nie podpisze. „A ja też nie“, odpowiedział
Dumas rozgniewany.

Tymczasem powrodoenie było nadzwyczajne
i mogło pogodzić obu ojców sztuki.

Tak się jednakowoż nie stało.

Girardin, który był polemikiem zajadłym,
napadł gwałtownie w swym piśmie na Du-
masa. Dumas odpowiedział broszurą, w mięsza-

Jedynie tu istniejący skład
modnych towarów męskich i
bielizny, pod firmą:

„A la ville de Londres“

w gmachu c. k. Dyrekcyi kolei
państw., poleca najlepsze towa-
ry galanteryjne po nader przy-
stępnych cenach.

Synowie takich ojców też będą knajpiarzami. — Ideały narodowe to dla nich będzie „terra ignota“, nikt nie powiada, żeby było rzeczą niegodziwą chodzić do kasyna lub kawiarni ależ na miły Bóg, gdy potrzeba to należy i o czemś szlachetniejszym pomyśleć. A fakt ten, że teatr nasz, ta skarbnica z której powinniśmy czerpać jak z czystego źródła, zapal i wiedzę i miłość tej ziemi, która nam matką, że teatr ten, mimo świetnej gry artystów, mimo staranności reżyszerii świeci pustkami, czy to nie objaw zaniku wszelkich potrzeb szlachetniejszych naszej publiczności.

To dlatego, że dyrektor teatru z podziwu godnym zaparciem się wystawia sztuki oryginalne polskie, bo stawia wyżej powołanie artysty polskiego i znaczenie sztuki narodowej nad własny interes, mamy gardzić teatrem?

Potrzebuje przecież wystawiać tylko tłuste operetki i farsy t. zw. bomby kasę robiące a publiczności będzie miał pełną salę, gdy tego nie czyni, publiczność prawdziwie polska, powinna to uznać i salę zapełniać.

Czy ci panowie, którzy stronią od teatru zastanowili się nad tem że stawiają w ferblu jako viso 50 ct. potem odbijają 1 fl. przegrawszy uśmiechają się tylko, czy zastanowili się nad tem, że za taką jedną stawkę można mieć fotel dla siebie i dla syna parter,

zaś przyjemność dla obojga większą, niż nawet zagarnięcie „sznura“. Zamiast tinglówkom rzucać po szóście na tacę za obrzydłe kuplety, lepiej rzucić je do kasy teatralnej za sztukę szlachetną.

Wykształcenie polityczne u nas.

(Dokończenie.)

II.

Na wzór wypróbowanych już rezultatów szkół politycznych w Anglii, której najwytrawniejszych mężów stanu chyba nikt nie odmówi, oraz na wzór na przykładzie angielskim ugruntowanej wolnej szkoły nauk politycznych w Paryżu należałoby stworzyć i u nas wyższą szkołę nauk politycznych, której cele i kierunki w następujący sposób zakreślić się dadzą.

Przedewszystkiem wznieść w narodzie cześć dla rzeczy wzniosłych, rozbudzić zamiłowania do studyów mozolnych i to drogą wykształcenia ludzi doborowych, swojego rodzaju arystokracji ducha, któraby pomału kierunek i ton narodowi nadała. Oto pierwsze zadanie nowej szkoły.

Dostarczyć krajowi ludzi światłych, obserwatorów bacznych i czułych na wszelkie prądy umysłowe swojego wieku, obywateli rozsądnych i kompetentnych we wszystkich bieżących kwestjach politycznych — oto drugie główne zadanie szkoły.

Co do programu wykładów w ogólności, to przedewszystkiem wszystkie strony współczesnego życia politycznego winny być nim uwzględnione z równą starannością, obejmując niejako encyklopedję umiejętności polity-

cznych, ułatwiająca poznanie warunków, wśród których wypada nam żyć i działać i czynników, z jakimi czy w polityce zewnętrznej czy wewnętrznej liczyć się z konieczności musimy.

Drugą cechą programu byłoby udzielenie jak najszerszego miejsca sprawom dotyczącym się całego świata cywilizowanego, a to w celu szukania u innych ludów dobrego przykładu do naśladowania a zarazem wytłómaczenia za pomocą badań porównawczych przyczyn rozwoju lub upadku pewnych teorii lub instytucyj.

Cechą trzecią programu winna być jego praktyczność, to jest uwzględnienie potrzeb współczesnych. Młodzi ludzie wynoszą ze szkół średnich znajomość świata starożytnego a zrozumieć nie mogą świata dzisiejszego i rozglądają się po nim ze zdziwieniem, tracąc lata na dopytywanie się i zasiąganie dorywczych wskazówek u ludzi często niekompetentnych, co pociąga zarówno dla nich jak i dla kraju nieraz bardzo opłakane skutki. Nie podobna znać wszystko i wszystkiego się nauczyć; niech mąż stanu i obywatel zna dokładnie przynajmniej swoją epokę. Stąd wynika, że tło historyczne w programie stanowić powinien wiek XIX., a tylko dla spraw dyplomatycznych i administracyjnych sięgać ono może do połowy XVII. w., co wystarczy, aby odszukać w przeszłości ślady tych wielkich łuków, po których idziemy i zmierzamy w przyszłość.

Cechą czwartą nauk byłoby wprowadzenie empiryzmu do polityki a metody historyczno-krytycznej do wykładów. Za wykluczeniem metody dogmatycznej, przeciwko stosowaniu teorii bezwzględnych i operowaniu abstrakcjami, przemawiają względy pedagogiczne i polityczne. Od młodzieńca lub człowieka dojrzałego nie może wyższa szkoła wymagać jedynie uwagi, pilności i przyję-

łem się między nich, biorąc stronę Dumasa, ponieważ Girardin nie miał słuszności. Burza zwróciła się przeciwko mnie. Girardin wydał mi wojnę w swem czasopiśmie, wszystko to skończyło się pojedynkiem, w którym zostałem raniony i niemal nie straciłem oka. Wypadek ten miał tę dobrą stronę, że zbliżyłem się jeszcze więcej do Dumasa.

Musiałem mówić o wszystkich sztukach. Niektóre z nich nie podobały mi się, zwłaszcza „Przyjaciel kobiet“, która to sztuka wystawiona po raz pierwszy upadła, dopiero po dwudziestu latach, znacznie przerobiona została przyjęta. Tem mniej podobała mi się „Żona Klaudiusza“ sztuka, która nigdy nie miała powodzenia.

Dumas nie gniewał się za swoją prawdomówność, chociaż był na tym punkcie, bardzo drażliwym. Jednakże gdy widział otwartość i „bona fides“ nie gniewał się nigdy. Przez parę dni chodził wprawdzie nachmurzony ale potem przychodził i wyciągał do mnie rękę przyjaźnie. Było to w czasie wystawiania „Femme de Claude“. Dumas przechodził wtedy kryzys, która bardzo niepokoiła jego przyjaciół, o której jednak publiczność, słabe

tylko miała pojęcie. Mózg Dumasa był zmęczony ciągłymi predukcjami a do tego zrobił wtedy znajomość z pewnym lekarzem, który był cały przejęty okultyzmem, co dziwny wpływ na Dumasa wywarło.

Dlatego to przyszły tyrady o tylu paradoksalnych i mglistych teoriach, co musi zadziwić u umysłu tak jasniejącego i czystego. Opowiadano w mieście, że Dumas zdradza zboczenie umysłowe. Dumas dowiedziawszy się o tem był podrażnionym, „hé bien“, rzekł mi pewnego dnia, gdy go spotkał na Polach elizejskich, „zdaje mi się, że zostałem waryatem, — wszak pan wiesz o tem, prawda?“ Zaprzeczyłem gestem. Zobaczą, czy jestem waryatem, o zobaczą“. Przygotował sztukę „Mr. Alphouse“, która była tryumfu pełną odpowiedzią na krążące pogłoski.

W ostatnich latach swego życia, doszedł Dumas do najwyższych zaszczytów, których w spokoju zażywał i których nikt mu nie zaprzeczał. Była w Paryżu legenda, że w tym stopniu jak ojciec był rozrzutnym, syn był skąpym, przyznawano mu wiele dowcipu, ale obwiniano go, że używa go, by z przyjemnością swe ofiary przynębiać.

Był jednak dobroczynnym, ale dyskretnie, wstydił się czyniąc dobrodziejstwa. Nie było nikogo, aby zwróciwszy się do niego, nie otrzymał pieniędzy lub rady. Był niewyczerpanym, ale nie otrzymywał podzięk. Był dobrotliwym, w całym znaczeniu tego słowa. Trzeba mieć wiele ducha, by być dobrym, rzekł pewien moralista. Dumas miał za wiele dowcipu, by miał być złym człowiekiem. Najokropniejsze dowcipy (były rzeczywiście straszne między niemi) nie trafiały nikogo, prócz łotrów, którzy na nie zasłużyli. Prawdą jest, że gdy się sądził być w prawie, łotra literackiego umiał strasznie karać. Ale i wtedy zawsze łotr dawał inicjatywę.

Prasa francuska jednogłośnie przyznała czystą sławę Dumasowi a wierzę, że i obca prasa podzieli naszą żalobę i do pochwał naszych się przyłączy.

Paryż 28. listopada 1895.

Najstarszy Handel towarów kolonialnych, cieszący się zaufaniem publiczności

KAJETANA KOPACZA

poleca po cenach najumiarkowańszych swe towary — posiada oraz skład broni myśliwskiej i przyborów do polowania.

wania na wiarę tego, co za katedry usłyszysz; przeciwnie chodzić jej głównie winno o wyrobienie w nim zdrowego sądu drogą jawnego odbywającego się prawie przed oczyma, grupowania, tłumaczenia i wyjaśniania faktów i zjawisk życia politycznego.

Wspomniawszy wreszcie wyżej o konieczności praktycznego kształcenia mężów politycznych, jako jedno z najwybitniejszych zadań szkoły nauk politycznych — wytknąć należy po pierwsze odbywanie tych studiów praktycznych pod kierunkiem profesora, który zejść winien niejako z katedry, aby zasiąść z uczniami za jednym stołem: komentować statystyczne materiały i przedstawić już nie wyniki badań, ale sam sposób użytkowania umiejętnego źródeł bezpośrednich, a po wtóre odbywania posiedzeń, fikcyjnych kongresów, parlamentów czy też sejmów.

Pierwsze zadanie polegać winno na tem, aby profesor wybrał jakąś chwilę z historii, np. rok 1795, rozdzielił role pomiędzy swych słuchaczy, powierzając każdemu z nich obronę interesów politycznych jednego kraju, następnie zbierał ich wszystkich pod swoim przewodnictwem na posiedzenia ogólne, i każdy z „delegatów“ winien domagać się tego, czego by dany kraj czy też państwo w danym momencie historycznym, ze względu na siłę wewnętrzną lub pomoc zewnętrzną, domagać się mogło.

Zadanie drugie polegać winno na sformowaniu z pomiędzy słuchaczy — całego sejmku względnie parlamentu, z dwoma lub więcej strońnictwami, prezydium, komisjami i t. d., poczem każda kwestya, wniesiona na obrady, opracowana być winna przez referentów i i przejść wszystkie stadia projektów w rzeczywistych Izbach roztrząsanych.

Zadania te i tym podobne nie mają bynajmniej na celu wzbudzenia w słuchaczach przekonania, że dorośli już do roli prawodawców lub mężów stanu, zaprawić one mają ich jedynie do głębokiego zastanawiania się nad sytuacją polityczną wewnętrzną, czy też zewnętrzną danego kraju i dać im możność nauczania się mówić publicznie zwięźle, logicznie i zrozumiale.

W myśl tych ogólnych zasad ułożony program szczegółowy obejmować winien następujące przedmioty:

I. Zarys geograficzny i etnograficzny świata cywilizowanego.

II. Historia dyplomatyczna Europy od pokoju westfalskiego (1648).

III. Historia militarystyki od Fryderyka II.

IV. Dzieje rozwoju doktryn ekonomicznych w dziełach ekonomistów i w ustawodawstwach.

IV. Dzieje rozwoju rolnictwa, przemysłu i handlu we wieku XIX. na podstawie dokumentów statystycznych, dotyczących się dóbr obrotu konsumpcji i rozdziału społecznego.

VI. Dzieje skarbowości w Europie, począwszy od rewolucji francuskiej.

VII. Historia parlamentaryzmu w Europie i Ameryce od r. 1776.

VIII. Historia i ustrój administracji cen-

tralnej i lokalnej w Europie od XVII. wieku z szczególniejszem uwzględnieniem Austrii i Polski.

IX. Historia społeczeństwa europejskiego od r. 1789, to jest rozwój teorii dotyczących społecznej organizacji i ocena ich wpływu na społeczeństwo.

X. Historyczne i faktyczne stanowisko poszczególnych wyznań w państwie i kraju.

XI. Historyczne i faktyczne stanowisko poszczególnych narodowości w państwie z szczególniejszym uwzględnieniem stosunków polsko-ruskich w Galicyi.

Na takich zasadach i celach oparta szkoła, mając za nauczycieli najwybitniejszych profesorów, jeżeli uzyska poparcie światłej części społeczeństwa, dostarczy też niewątpliwie krajowi ludzi światłych, obywateli „rozsądnych i kompetentnych we wszystkich bieżących kwestiach politycznych“ co wyżej jako cel szkoły założono.

Ułożenie programów i zyskanie dla szkoły tych najwytrawniejszych mężów stanu jest zadaniem organizatorów szkoły, o ile jednak chodzi o poparcie społeczeństwa, do niego samego wprost zaapelować należy.

Oddając też myśli i programy te pod sąd ogółu, niech mi wolno będzie zaznaczyć, że o ile każdy sąd wytrawny dla myśli tych korzystny lub niekorzystny jedynie z najgłębszą wdzięcznością przyjętym będzie, o tyle też gorącą jest prośbą, aby ci, którzy po sumiennej rozprawie pożyteczność tego, przedsięwzięcie to poprzeć raczyli, bo że stworzenie tego rodzaju szkoły, jeżeli ma słuchać, czom zapewnić i wszelkie środki naukowe i najwytrawniejszych profesorów, jest połączone z bardzo znacznymi trudnościami, o tem chyba wspominać nie ma potrzeby.

Właściwe kroki celem stworzenia szkoły politycznej wedle omawianych tu zasad i tendencji już przedsięwzięto, nie przesądzając jednak kwestyi czy przedsięwzięcie to natrafi na chcących się uczyć, zwolenników tych myśli, tem bardziej o porozumienie się z podpisaniem uprasza mi wypada, a może przeciw *Viribus unitis* do celu dojść nam się uda.

Dr. Witold Bartoszewski.

Kronika.

Wspierajmy teatr polski im. Aleks. hr. Fredry.

Mianowania. P. dr. Edward Hein, mianowany został starszym lekarzem wojskowym w 58. p. p. w Serajewie.

Adjunkt sądowy p. Floryan Malinowski mianowany został zastępcą prokuratora Państwa w Stanisławowie.

Przeniesienia. Oficyał pocztowy p. Stanisław Błotnicki, przeniesiony został z Krakowa do Stanisławowa.

† Zmarli. Piotr Zajęzkowski, emerytowany adjunkt fabryki tytoniu, zmarł w 61. roku życia.

Wanda z Spaczyńskich Twardyżewiczowa, żona urzędnika kolejowego ze Złoczowa, zmarła dnia 11. b. m. w 48. roku życia.

Konstanty Łada Ładomirski, właściciel dóbr ziemskich, prezes oddziału towarzystwa gospodarskiego tłumackiego, przeżywszy lat 65, umarł w Markowcach.

Emil Deryng, znany artysta dramatyczny, zmarł we Lwowie w 77. roku życia.

Aleksander Sańkowski, towarzysz kowalski, przeżywszy lat 28. w Stanisławowie.

Z wiosną przyszłego roku ma się rozpocząć na gruntach zakupionych od p. Weiss-hausa, budowa koszar kawaleryjskich, na trzy szwadrony jazdy. Budowę prowadzić będą wiedeńscy przedsiębiorcy Chuwes et Eisler.

Wenta gospodarcza. Koło pań Tow. Szkoły ludowej urządziło w niedzielę dnia 15. grudnia b. r. w sali gimnastycznej „Sokoła“ wentę gospodarczą oraz koncert spacerowy Harmonii kolejowej, Komitet urządzający zaopatrzył wentę w wielki zapas produktów gospodarczych.

Pięknym jest zwyczaj urządzania went świątecznych. — Łączy się „utile cum dulci“. Bo i publiczność się bawi, mając sposobność zabawienia się przy dźwięku muzyki z bliższymi i dalszymi znajomymi, ci zaś, którzy wentę urządzają, a urządzają ją zawsze na cel dobroczynny, mają zwykle nie mały dochód, i ta wenta dobrze wypadła. Około 30 zajęcy rozkupiono w lot, bo cena była niska, zabawki i t. p. też chętnie kupowano. — Co zostało, sprzedano za pomocą licytacji. Dochód ma być 600 zlr. brutto dochód to znaczny — bo wydatki nie mogą być wielkie.

Mamy nadzieję, że tak samo urządzoną zostanie, wenta wielkanocna.

Teatr, literatura i sztuka.

Dyrekcja teatru wystawiając „Towarzysza pancernego“ sztukę nagrodzoną na konkursie Wydziału kraj. pierwszą nagrodą, postąpiła pięknie — szkoda tylko, że mniej pięknie znalazła się publiczność niechętnie gromadząc się w sali. — By rozumieć „Towarzysza pancernego“ trzeba znać dobrze historię, znać język czasów Jana Chryzostoma Paska i zwyczaje owych czasów, przeciętna publiczność zwłaszcza na prowincyi studiów takich nie posiada. — Rzecz taką należałoby wprzód przeczytać z odpowiednimi komentarzami, a później na scenie zobaczyć. — Bądź co bądź, jest zasługą Dyrekcyi, że sztuki takie wystawia, ale sukcesu materyjalnego po nich obiecywać sobie nie może. Grano bardzo dobrze, kostymy były ściśle do owych czasów zastosowane.

„Walka motyli“ Sudermana podobała się powszechnie jak na to zasługuje — grano ją wybornie i nie wiedzieć kogoby wyróżnić, tak dobrą była całość.

W „Panu Senatorze“ dialog między p. Antoniewskim i p. Jaworskim, był koncertowo odegrany, tak, że już lepiej pomyśleć sobie nie można.

„Frou-Frou“ wypadło też bardzo dobrze, ale prawie przed pustymi ławkami, p. Szymańska grała świetnie, to samo i p. Antoniewski, inni dostrajali się do nich.

Trafiając w gust publiczności i pragnąc widzieć pełną salę, polecamy Dyrekcyi przynajmniej raz w tygodniu wystawienie operetek — mieliśmy przecież w „Gorącej krwi“ dowód, że operetka teatru p. Ant. jest doskonałą.

N A D E S Ł A N E.

WANDA ZALESKA

pracownia strojów damskich

Trynatarska 15. I. piętro.

CUKIERNIA

CUKIERNIA

JÓZEFA ZBIGIENIEGO

poleca

NA ZBLIŻAJĄCE SIĘ ŚWIĘTA

ciasta i cukry w najlepszym gatunku i największym wyborze

PO CENACH NAJUMIARKOWAŃSZYCH.
Wincenty Michalski
restauracya i piwiarnia

 jedyny w Stanisławowie wyszynk piwa
 pilzneńskiego, 8 ct. 1/4 litra.

 Wyborne potrawy i przekąski. Przyjmuje
 abonament na obiady.

Wszystko po cenach najumiarkowańszych.

„N A R Ó D”

organ

Chrześcijańskiej Partii Narodowej

wychodzi rok III.

w e L w o w i e

w dniu 1. i 15.

każdego miesiąca.

 Numer ostatni (23) zawiera następujące
 artykuły:

- 1) Wiedeńska potrzeba a. D. 1895.
- 2) Czemu żydzi.
- 3) Z żydofrancuskiej rzeczypospolitej
- 4) O trzech zamordowanych milionerach.
- 5) Żydzi w wojsku.
- 6) Kwiaty uszczeknięte w Izraelskim ogródku, XXXVII. Chłop i żyd.
- 7) Kronika.
- 8) Ogłoszenia.

Prenumerata wynosi:

rocznie 4 złr. półrocznie 2 złr. kwartalnie 1 złr.

 Numera okazowe wysyłają się każdemu
 kto tego zażąda, gratis i franko.

Adres Redakcyi: Lwów ulica Akademicka 1. 11.

Najtańsze codzienne pismo polskie

„Dziennik poranny”

 prenumerata na prowincyi: miesięcznie 95 ct.
 kwartalnie 2 złr. 80 ct., półrocznie 5 złr.
 60 ct., rocznie 11 złr.

Numer pojedynczy 4 ct.

 Kto zaprenumeruje „Dziennik poranny” przy-
 najmniej na grudzień i styczeń, otrzyma cał-
 kiem bezpłatnie „Ścienny Kalendarz Kartko-
 wy” na rok 1896, wartości 80 ct.

 Abonenci zamiejscowi dopłacają za ten Ka-
 lendarz tylko 15. ct. na koszt przesyłki,
 którą to kwotę należy przysyłać razem z pre-
 numeratą. Prenumeratorzy półroczni i roczni
 mają prawo korzystać bezpłatnie z ograniczo-
 nego miejsca w dziale inseratowym na swo-
 je prywatne ogłoszenia; mianowicie półro-
 cznym przysługują prawo do 20, rocznym zaś
 do 40 wierszy miejsca.

 Coraz więcej podziękowań
 otrzymuje apteka Dra Beilla
 w Stanisławowie w rynku
 za niezrównane Dra Beilla
 ziółka na kaszel. Pakiet
 20 ct.

Handel żelaza
Karola Hauswalda

poleca

bogato zaopatrzony
S K Ł A D
wyrobów metalowych i nożowniczych

ul. Sapieżyńska L. 3.

Karol Zajączkowski,

jubiler i złotnik w Stanisławowie

Główny skład

towarów jubilerskich i złotniczych

ZEGARKÓW DAMSKICH I MĘSKICH.
Dobra okazya.

 Wyłącznie podczas Świąt, później ceny na-
 powrót zwykłe

Restauracya Winc. Michalskiego

przy ul. Sobieskiego

 mając bogato zaopatrzoną piwnicę jest w sta-
 nie wyjątkowo podczas Świąt zniżyć cenę
 win a to:

Austriackie.

1 lit. słodowe Rezer zawsze	80	podczas Świąt	70
Klosterneburgskie	1.20	"	1.—
Grünzinger	1.20	"	1.—
Feslawskie Goldek	1.50	"	1.20
" czerwone	1.50	"	1.20

Węgierskie.

Erlauer Stierbluth	1.20	"	1.—
Zieleniak	"	"	"
" starszy	1.50	"	1.20
Tokajski Maślacz	3.80	"	3.20
" starszy	4.—	"	3.—

Francuskie.

Haut Saunernes	3.50	"	3.—
St. Julien	3.50	"	3.—
Chatto Margo	4.50	"	4.—

Hiszpańskie.

Malaga Sect	3.50	"	3.—
Madeira	3.41	"	3.—
Marsala	3.50	"	3.—
Szery Xeres	3.50	"	3.—
Lacrima Christi	4.50	"	3.—

Szampańskie.

Carte Blanche	6.—	"	5.—
Monopol Sect	6.—	"	5.—
Carte d'or	6.—	"	5.—

Reńskie.

Moseblümchen	3.50	"	3.—
Liebfrauenmilch	3.50	"	3.—
Hochheimer	5.—	"	4.—

Przewodnik po Stanisławowie.

**Fabryka worków pa-
 pierowych.**

 J. Dankiewicz ul. Ka-
 zimierzowska.

Restauracye.

 Michalski ul. Sobie-
 skiego.

Cukiernie.

Zbigieni ul. Sobieskiego.

Handle korzenne.

 Kajetan Kopacz ulica
 Karpińskiego.

Magazyn bławatny.

 Karol Piskorz ul. Sa-
 pieżyńska.

Nożownik i ślusarz

 Józef Mażewski.
 Fabryka powozów

 Władysław Siwiński
 Kazimierzowska 54.

Handel żelaza

Karol Hauswald

Zakład artystyczno-
introligatorski

W. Lepianka, ulica

Kazimierzowska.

Drukarnie.

J. Dankiewicz ul. Ka-

zimierzowska.

St. Chowaniec ulica

Belwederska.

Zegarmistrz i jubiler

K. Zajączkowski ulica

Karpińskiego.

Fryzyer.

Zygmunt Kostynowicz

obok cerkwi katedr.

Skład i wypożyczalnia

fortepianów i pianin.

Sidorowicz i Siwiński

Kazimierzowska 54.

Magazyn aparatów

kościelnych.

Teodor Stachiewicz

 W rubryce tej płaci się 10 ct.
 od wiersza, rocznie 5 złr.

ZAKŁAD
artystyczno-introligatorski
Wojciecha Lepianki
ul. Kazimierzowska L. 6

 przyjmuje wszelkie zamówienia w zakres
 introligatorstwa wchodzące, rękąc za sumien-
 ne i tanie wykonanie.

DODATEK LITERACKI

do Nr. 6. „Nowin Stanisławowskich”

z dnia 20. grudnia 1895.

Wigilja.

Wiatr mroźny huczy, drobny śnieg pada, gwiazdki iskrzą się na niebie — na ziemi radość i wesele.

To św. wigilja, to narodzenie Pana „radość ludziom wszędzie słynie” na sianku św. dziecina, przy Niej św. Rodzina, wół, osioł, pasterze.

Anioł z lilją w ręce w śnieżystej szacie, leci nad miasta i sioła, wszędzie niesie radość i dary.

Dziatki najwięcej tego anioła wychekują, dzień cały były grzeczne — ciekawe co im Jezusek przyniesie, usiłują przez szparę zaglądnąć do pokoju bawialnego, od którego przez cały dzień drzwi zamknięte.

Ale nie wszystkie dzieci mają rodziców, mających bawialne pokoje — są i takie biedne dziatki, które z całą rodziną w jednym lichym pokoiku mieszkają.

Chodźmy śladem anioła.

Zniżył anioł swój lot i przez lufcik, bo to przecież duch czysty, wszedł do bawialnego pokoju.

Zdzisiowi i Marylce pod drzwiami stojącym, bezwiednie serduszka zabiły. Anioł zapalił świeczki na choince, położył dla Zdzisia konika i szabelkę, dla Marylki śliczną lalkę, co oczy przymyka i mówi „mama” zawiesił trochę cukierków na choince, bo mu się zdawało, że dla tak grzecznych dzieci jest tam trochę za mało, zadzwonił i pofrunął dalej.

Z okrzykiem radości w padły dzieci do bawialnego pokoju i z zachwytem patrzyły to na płonącą od świeczek choinkę, to na prezenta.

Anioł leciał dalej — znów zniżył się, ale tym razem nad nędzną lepianką — izba uboga mdławym światłem łojówki oświecona, kryła nędzę straszliwą. — Tu na barłogu leżała nieżywa, rzec można, głodem dobita niewiasta — przy niej pięcioletnia Józia, o bladej zbiedzonej twarzyczce.

Cały dzień opowiadała matka Józii, o Jezusku jaki on dobry, jak on dzieci kocha, jak nie da zaginać biednym sierotom. Opowiadała, że dzisiaj św. Wigilja, że dzieci bogaczy dostają podarunki, a ona biedna swej Józii nie dać nie może, nawet mleka — to mówiąc płakała matka, potem zasnęła — i Józia nie wie dlaczego dotychczas się nie budzi, a ręka jej zimna jak lód.

Wreszcie i Józia przymknęła oczki i zasnęła. To anioł zesłał na nią ten sen. — Śniło jej się, że jest w dużym pokoju, tak pięknie przystrojonym, że nawet w kościele nie może być ładniej, tam stała choinka, u stóp choinki leżała lalka i zabawki a jakaś dobra pani rzekła do niej: Teraz ja jestem twoją mamą, a jak będziesz grzeczna, co rok mieć tak będziesz.

W tem zaturkotało na dworze, do izby weszli państwo w futra odziani. To pan bankier z żoną i doktor.

Mają ci państwo majątek wielki, ale Pan Bóg dzieci im nie dał — postanowili więc jaką biedną sierotkę przegarnąć i wziąć za swoje.

Pan chciał chłopczyka, pani dziewczynkę — pani postawiła na swoim.

Uproszony doktor, który z litości leczył starą Teodorowę — poradził wziąć Józję — bo wiedział, że taka śliczna dziecina musi się państwu H. podobać.

Nie omylił się. Zaledwie Józję ujrzeni, wnet się nią zachwycić poczęli.

Zbudzona Józia przestraszona, wyszeptwała — taki miałam sen ładny — czemuście mnie obudzili?

Gdy im sen swój opowiedziała, rzekła pani H. Odtąd ja będę twą mamą, a co we śnie widziałaś. wnet zobaczysz na jawie.

Wzięli Józję ze sobą, a gdy weszła do salonu, zobaczyła to samo co we śnie — choinkę lalkę i zabawki.

Gwiazda wschodzi.

Chwałę na niebie nucą dziś anieli,
Każde stworzenie boskie się weseli,
Kolęda płynie, od domu do domu,
Błogo każdemu gdy dziś echem gromu,
Wieść się rozniosła, że Bóg się nam rodzi,
Nad betlejemską strzechą gwiazda wschodzi,
Która ogłasza wszechświatu zbawienie,
A na ten widok budzi się natchnienie,
W piersiach śmiertelnych. Spieszą pastuszkowie,

Z dalekich krajów dążą monarchowie,
Niosąc swe dary stwórcy, co się rodzi,
Gdy moc truchleje, kiedy gwiazda wschodzi,
Jedynej wiary. Kiedy wszystko bieży,
Powitać Stwórcę, On na sianku leży,
W stajennym żłóbku, pomiędzy zwierzęty,
Leży dziecina, nad główką krąg święty,
Wokoło stoi Najświętsza Rodzina,
Marya i Józef z miłością na syna,
Patrzą, a przy nich niebiescy anieli,
Którzy tu z nieba, na ziemię zlecieli.

KOLEDA.

Dziś gwiazda wschodzi,
Bóg się nam rodzi,
Mała dziecina.
Przeczysta dziewa,
Nad żłóbkiem spiewa,
I tuli syna.
Więc pastuszkowie,
I monarchowie,
Dążą w te strony.
Brzmi głos fujary,
Ci niosą dary,
I krajów plony.
Tamto zlecieli,
Z niebios anieli,
Nucąc „Hosanna”.
Tamto jaśniej,
I promienieje,
Przeczysta panna.
Wół z osłem ryczy,
A każdy życzy,
Matce pociechy.
Beczą baranki,
Grają multanki.
Gwar, wrzawa, śmiechy,
Jakby jagniątko.
Boże dzieciątko.
W żłobeczku leży,
A gwiazda świeci.
Wieść w sioła leci,
Radość się szerzy.

Pan nam się rodzi,
Który nagrodzi,
Trudy i znoje.
Świat zabrzmi chwałą,
On pójdzie śmiało,
Z czartem na boje.
On zwali stare,
Bogi a wiare,
Nową nam da.
Dziś gwiazda wschodzi,
Bóg się nam rodzi,
Co zbawiać ma.

Życzenie.

W dzień Bożego Narodzenia,
Serdeczne szlę wam życzenia,
Betleemska gwiazda wschodzi,
Bóg na sianku się nam rodzi,
A w koło święta Rodzina,
Z miłością patrzy na syna.
Schylona przezczysta dziewa,
Cudne piosenki spiewa,
Pastuszkowie jemu grają,
Na multankach hołd oddają.
Wszystko się cieszy, że stara,
Do grobu wstępuje wiara.
A nowa budzi nadzieje,
Stara jak dym się rozwieje,
Wszyscy dziecią się cieszą,
Królowie ze Wschodu spieszą,
I bogate niosą dary,
Bóstwu dziś wschodzącej wiary.
Gdzie w żłóbku dziecina święta,
Leży — tam w okół zwierzęta,
Hołd mu należny oddają,
I technieniem twem ogrzewają,
Radość ludziom wszędzie słynie
Zewsząd łaska boża płynie.
Kiedyż wreszcie w Polskiej ziemi,
Z piosenkami wesołemi,
Będziem wielbić przyjsie Pana,
Gdy Ojczyzna znów kochana,
Kiedy Pan Bóg karę skróci,
Polska swoje pęta zrzuci.
Kiedyż w wolnej już Macierzy,
Zanucimy „W żłobie leży“,
Daj nam Boże doczekania,
Onej chwili — myśl się skłania
Zawsze wszędzie aby cała,
Polska znowu nam powstała.
Polsce życzę odrodzenia,
A Wam — trosków ani cienia,
Ani ziarenka goryczy,
Lesz zdrowia, szczęścia słodczy,

Święty Mikołaj.

Cieszcie się, cieszcie się dzieci,
Dzisiaj aniołek przyleci,
Zadzwoń jasny aniołek,
Rogami wstrząśnie diabełek,
Więc wzniescie do góry oczy,
Święty Mikołaj już kroczy,

Do pasa siwą ma brodę,
Niesie dziecinom nagrodę.
Te co grzecznie przez rok cały,
Rodziców swoich słuchały,
Te co mówiły pacierze,
Ojczenasz, zdrowaś i wierzę,
Dostaną dzisiaj z koszyka,
Lalkę, szabelkę, konika,
Książeczkę Jaś z obrazkami,
Dostanie, Grzesz z żołnierzami,
Pudełko, Kazio pajaca,
I Jadwisi pilna praca,
Nagrodę dziś dostanie,
Lalka i całe ubranie,
Nawet dla lalki wyprawa.
A toż to będzie zabawa.
Ten znów rano z pod poduszki,
Wyjmie pierniczki, placuszki,
Lecz biada, kto przez rok cały,
Był uparty, opieszały,
Nie słuchał mamy i tata,
Inna go czega zapłata,
Brzozy rosną w każdym lesie,
Różgę Mikołaj przyniesie.

Paniecz co w karty wciąż grywa,
Ponęt światowych używa,
Traci pieniądze i zdrowie,
Niechaj się choć raz w rok dowie,
Że nic nie wart — więc dostanie,
Trzcinę święconą — tak panie.

Panna, co mruży oczęta,
Minka jej skromna i święta,
A w domu buzię smaruje,
Bawstydnie się różuje,
Dla takiej to panienczki,
Mikołaj nosi — różeczki.

Mąż co grosz marnie trwoni,
Żałuje dzieciom i żonie,
W tinglach co wieczór przebywa
A w biurze śpiący i ziewa,
Taki mąż kiepski, nieenota,
Dostanie kołkiem — lecz z płota.

A żona co męża zdradza,
I po spacerach wciąż chadza,
A przy niej gagatków roje,
Także dostanie za swoje,
Więc do balji z nią na pranie,
Pralnikiem dzisiaj dostanie.

Szlacheć co stracił sumienie,
W Monaco puścił swe mienie,
Czeka, rychło dla szlachciury,
Będą w banku synekury,
Cóż dostanie — a czy wiecie?
Miotłą -- trzeba wymieść śmiecie.

A mąż stanu, co kraj sprzedał,
Bo mu biedny kraj nie nie dał,
Dmie się w sejmie i rajchsracie,
Żydom mówi panie bracie,
Otrzyma dziś swą zapłatę,
Na swe plecy — hej! łopatę.

Święta Wigilia.

Fantazyja dramatyczna
w 1. akcie a w 5 odsłonach.

OSOBY:

Zosia, młoda dziewczyna.
Grabarz.

Pestacie fantastyczne.

Aniol.
Jan III. Sobieski.
Stefan Batory.
Królowa Jadwiga.
Stanisław August Poniatowski.
Książę Józef Poniatowski.
Tadeusz Kościuszko.
Rejtan.
Bartosz Głowacki.
Killński.
Zofia Chrzanowska.
Kossakowski.
Massalski.

Aniołowie — mgliste postacie.

ODSŁONA I.

SCENA I.

(Scena przedstawia cmentarz, na widoku grób świeży z prostym czarnym krzyżykiem, zima, śnieg przysy — na grobie kłęczy Zosia w rękę ma choinkę).

Zosia.

(ustawiając choinkę obok krzyża).

Matko o! matko, cożes uczyniła,
Czemuś swą Zosię samą zostawiła?
Cóż teraz pocznę na świecie bez ciebie,
Jam tu na ziemi — a tyś matko w niebie.
Powiedz mi matko czyliś tam szczęśliwa,
O! powiedz, powiedz bo gdy byłaś żywa.
Tyleś goryczy zaznała i bolu....
Patrz jak te kwiatki zwarzone na polu.
Gdy je śnieg pierwszy płatkami przyprószy,
Tak i mnie tęskno na sercu i duszy.
Żyłam dla ciebie gdy ciebie nie stało,
Cóż pocznę sama, na co żyć się zdało.
To życie ciężkie i pełne zawodu,
Czyżby nie lepiej bym teraz za młodu.
Tam uleciała, gdzie koniec pogoni,
Za chlebem, pracą, z męką na skroni.
Z goryczą w piersiach i żalem do ludzi,
Bo każdego obcy me serce ostudzi.
Nikt nie zrozumie, jak tyś rozumiała,
Porywy serca — ach! tyś się nie śmiała.
Z młodej dziewczyny, że pragnie miłości,
Lecz nie tej ziemskiej tej pełnej zazdrości.
Tej samolubnej ja kocham świat cały,
Kocham Ojczyznę, święte ideały.
Chciałabym wszystkich przygarnąć do łona,
Miłość ma wielką ale w sercu kona.
Poryw szlachetny świat mnie nie zrozumie,
Zginę jak robak w różnobarwnym tłumie.
Bo tu na ziemi interes pieniądze,
Tu namiętności fałszywe brudne żądze.
Władają sercem pustelników ziemi,
Ja nie chcę razem pielgrzymować z niemi.
Człowiek jak pielgrzym od dnia urodzenia,
Do bram wieczności swe siły przecenia
Będąc pielgrzymem nie baczny nie czuje,
Że droga krótka że śmierć oczekuje.
Jedynie znaku by go znieść ze świata,
A wtedy koniec i wtedy zapłata.
Nieraz się dziwię, patrząc na tłum szary,
Czemu się spieszy — bez serca — bez wiary.
Pędzi na oślep jeden drugich spycha,
Ten walczy jawnie — tamten walczy z cicha.
Lecz wszyscy dążą do jednego celu,
By dostać złotą, choć upadnie wielu.
Reszta wyteża rozumy i siły,
Ażeby zyskać.... nie widzi mogiły.
Nie widzi śmierci co go ściga, goni,
Wreszcie zabiera gdy zegar wydzwoni.

(C. d. n.)

Madry Icek

(poemat jakich wiele.)

(Ciąg dalszy).

III.

Wyprawa Icka na kury.

W dni parę Icek poczuł, że w nim płynie,
Krew bohatera, nasz Icek nie zginie,
Nie darmo mądry, gdy północna pora,
Na miasto przyszła, głowa Icka skora,
Pomysłów pełna geschäft mu doradza.
Sunie pod płotki, czai się i kryje.
Uważa pilnie, wszystko spies co żyje
Icek pod pachą, niesie wór niemały,
Właśnie koguty chórem się ozwały.
Icek przycupnął z cicha się podkrada,
Pod kurnik pełny, wnet kłódkę odrywa,
Włazi do środka, darmo kogut śpiewa.
Pieje na alarm, na bantach siedzieli,
Kury czubate i kury bez czuba,
Nie myślą we śnie że je czeka zguba.
Icek porywa z bantów biedne kury,
Lecz je nie bierze wcale na tortury,
Zręcznie im skręca szyję bez hałasu
Spiesz się bardzo, nie wiele ma czasu,
Zdławione kury do wora napycha.
Ma już coś dziesięć, tylko się uśmiecha,
W duszy monolog ze sobą prowadzi.
Jutro jest jarmark, że go nikt nie zdradzi,
Tego zbyt pewny, wszak oskubie kury,
Tak piękny kogut, teraz srebrnopióry
Z długim ogonem, odarty z ozdoby,
Nie zdradzi Icka, takie to sposoby.
Miewają żydzi gdy idą za łupem,
Obarczon Icek obfitym kur trupem.
Z cicha wychodzi — w tem brys łańcuchowy,
Zwierzwszy Icka, jego nocne łowy,
Wpada zajadle do łydek się bierze,
Icek ucieka aż się sypie pierze.
Umknął ze strachem — bo z brysem nie żarty,
Mógł wyjść z przygody tej szpetnie podarty.
Wraca do domu przez Żosińską Wolę,
Część to żydowska, nigdy tu patrole,
Lub pojedynczy nie stoją strażnicy,
Ni policaje — naszej Zarwanicy,
Strzedz nie potrzeba bo nawet złodzieje,
Nie pomni wcale na łupu nadzieje.
Ją omijają tu błoto do szyi,
Dotrą wszak cebry pomyi,
Tu się wylewa a nigdy tu miotła,
Ani łopata jakby z głębin kotła,
Nie wybierały błota sławetnego,
Tu nawet szutru nie sypią rzeczno.
Inne ulice są w szuter bogate,
Stoi on w kupach — ale na łopatę,
Nikt go nie weźmie, by sypnąć w ulicę,
Żosińską Wolę nasze półksiężyce,
Jak gdyby dżumę jaką omijają,
Trzeba im przyznać jako racją mają.
Tuby odarto nawet policaja,
Co noc się włóczy tu pijanie zgraja.
Krzyki, hałasy, bójkę nieraz krwawą,
Mieszkańcy domków słysząc tę zabawę,
Ze strachem silniej swoje drzwi ryglują,
A spać nie mogąc tylko nadśledzują,
Czy rzeżymieszki nie chcą drzwi wyważyć,

O śnie wśród wrzasków ani można marzyć.
Tutaj się kryją nędzne Magdaleny,
Nienasycone te ludzkie hyeny,
Te gdy opadną nocą samotnego,
Wnet go zaciagną do domu brudnego.
Tu go oskubią, spoją i wyrzucą,
Rano na śmiecie. — Wiecznie się kłóć,
Biją dzień cały te wstrętne megery,
Strzedz się ich trzeba więcej niż cholery.
Bo ta śmierć niesie lecz one moralnie,
Zdofają zabić — czyż to nie fatalnie.
Że nasz Magistrat cierpi takie brudy,
Mówią, że zamknąć miał te wstrętne budy.
Gdy raz wojskowy dał szarżę w ofierze,
Za te zabawy lecz przyznam się szczerze,
Że wątpię bardzo czy tak jest w istocie,
Są instytucje co się babrać w błocie.
Nadzwyczaj lubią — świadkiem tego miasto,
Błotem kąpiecie tu błoto jak ciasto,
Gęste, koloru brudnej czekolady,
Z wierzchu spokojne dołem pełne zdrady,
Postawisz nogę, myślisz pewnie płytko,
Wpadniesz po szyję, obabrzysz się brzydko.
Icek bezpiecznie po ulicy idzie,
Nikt nie przeszkodzi bo tutaj o wstydzie,
Bezpiecznie chodzą rabusie, złodzieje,
Tu policyanta wiatery nie przywieje.
Icek do domu z swym łupem powraca,
Teraz największa tu go czego praca.
Więc skubie kury co tak smacznie spały,
Skubie koguty, co jeszcze dziś piałły,
Pierze w około sypie się odarte.
Z kur i kogutów, wszak zachodu warte
Tłuszcinki kury przenicą karmione,
Teraz sromotnie leżą poduszki.
Z pierza odarte, Icek tryumfuje,
Zrobił interes, w duszy się raduje
Dziś na jarmarku Ruchla kury sprzedaje.
Żadna ją pewnia nie czeka tam bieda,
Kur nikt nie pozna, Icek geschäft zrobił.
Nowym tryumfem dzisiaj się ozdobił,
Nie po raz pierwszy chodził na wyprawę,
Ma doświadczenia i w kradzieży wprawę,
Wreszcie znużony legnął na posłanie
Śpiewa „majufes“ wnet słycać chrapanie.

IV.

Icek w kąpieli.

Szabas za pasem Ickowi się chciało
Oczyścić skórę, kąpać by się zdało.
Idzie do parni, pod powalę włazi,
Jego gorąco piekielne nie razi.
Tam się wyciąga pierze i wymywa,
Cebrzykiem wody łąb sobie podliwa.
Grzbietem do góry na schodkach się kładzie,
Plecy szczotkami wytrzeć nie zawadzi.
„Kim a hejr Jaszko, kim hejr goj przykłyty,
„Wypucuj dobrze ze szczotką mi pięty,
„Potem na plecy suwaj z cale szłyty,
„Ten szurowanie to jest bardzo miły“
Jasiek go drapie szczotką i szurkuje,
Icek aż sapie z lekka postękuje.
„Weź teraz miotłę te z liszeze dąbowe,
„Wal mi po plecach ale nie bij w głowę.“
Znów Jasiek miotłą wali go po grzbiecie.
Aż liść dębowy pod powalę leci.
Kiedy już Icek dobrze wytrzepany,
Szczotką wytarty i z brudu obrany,

Każę na głowę łąć ceber ukropu
Możeby war ten mógł zaszkodzić chłopu.
Ale nasz Icek nie od dziś się chłapie,
W żydowskiej parni, a choć pot mu kapie.
Z czoła i nosa on się tylko śmieje,
Dalej się parzy i przy piecu grzeje.
Wreście do tuszu idzie i pompuje,
Strumienie wody, lecz zimna nie czuje.
Bo rozgrzany, strumień wali z góry,
Icek tak skacze jakby ścigał kury.
Z wysokich bantów, puszcza strumień z boku,
Więc z dołu, z wszech stron i z radością w
[oku,
Jak kaczka w wodzie chłapie się wesoły.
Jak sztubak który już się wyrwał z szkoły.
Znów deszcz odkręcił i na deszczu stoi,
Bez parasola i nie się nie boi.
Wraca do parni i znów się wygrzewa,
Wyciąga członki i majufes śpiewa.
Znów do basenu idzie trochę pływać,
Jasiek mu mówi „tu nie wolno śpiewać.“
„Wie heisst nie wolno? ja za wszystko płacę
„Ja szpiwać muszę, bo inaczej stracę.
„Hast die gewidziele co ten goj gada,
„To jest gwałt, rozbój, to paskudna zdrada.
„Nu ja nie szpiwam, ja sy tylko mruczę,
„Czekaj ty Jaszko ja ciebie nauczę“
„Ja chciałem dać tobie zwi grejcer na piwo,
„Nie nie dostaniesz!“ „Ouwa wielkie dziwo“,
Jasiek powiada „Co tam żyd daruje,
„Jak da katolik to człek nie żałuje,
„Że koło niego robił, ale żyd niechrzczony,
„Da dwa grejcery, a człek aż zmęczony,
„Tak go trzeć trzeba“ „Ty łajdak paskudny,
„Ty miszlał, że ja jestem takie brudny.
„Byłbym ci dawał nawet trzy grajcery,
„Nie nie dostaniesz paskudniaka za kary“.
Wylazi Icek z basenu ciepłego.
Wraca do parni, cebra drewnianego,
Podawać każe, „sitzbad“ sobie robi.
Siada i moczy, te nagniotki sobie,
Które mu stare wykrzywione buty,
Ponaciskały, but prawy podkuty,
Najwięcej ciśnię, palce wyskrobuje.
Drapie się wszędzie, a gdzie pryszcz poczuje,
Zaraz go dusi, po miłym „sitzbadzie“.
Znowu się trochę wyciąga i kładzie,
Chciałby kąpieli używać do woli,
Wtem poczuł, że go w prawym uchu boli,
„Jaszko! daj na piec, bo para ucieka,
„Wyby tu chcieli zabijać człowieka.
„Z takie żywnoszczy“. „A czyś pan oszalał?
Inni wołają“, właśnie ceber nalał.
„Wody na piec, gorąco jak w piekle,
„Trudno wytrzymać, para parzy wściekle.
„A panu mało“. — „Wie heisst to gorąco,
„Jakie gorąco, wcale nie piekaco.
„Jabym sze tutaj przyziębł, już idy“,
„A idźcie sobie wszystkie z parni żydy,
„Będzie przynajmniej powietrze czystsze“.
„Jak panu szkodzi szwizbad goręcejse,
„To nie potrzeba z takie grube słowo,
„Zaraz napadacz nu jak mnie to zdrowo,
„Co mnie obchodzi że panu nie pachą,
„Za me pijondzy niech pan ni ma stracha.
„Wolno mi szmierdzić bo ja za to płacę,
„Za krótkom siedział i tak na tem stracę“.
„Za krótko siedział pan siedzi od rana,
„Ze cztery godzin“ — „Czy ja pitam pana?“

„Ja umiem w parni szedzieć przez dzień cały,
„Ale sze spieszę już do moi kały“.
Więc idzie Icek znowu się tuszuje,
Że krótko siedział ciągle się turbuje.
W swojej komórecie mocno się wyciera,
Siada na sofce — do snu się zabiera.
Leży na sofce jak zraz zamknięta zawiniąta,
Zaczyna chrapać głośno jak najęty.
Wtem stuka Jasiek „Niech pan tak nie chrapi,
Zrywa się Icek za głowę się łapie.
„Die szwarcejur, ganew, spacz mi nie dajesz,
„Co to za spanie co mi tu pan bajesz.
„Goście się skarżą że tu świnia krząka,
„Lecz ja wiedziałem gdzie szukać pajaka.
„Co chrześcianom tylko krew wysysa,
„A tutaj chrapie jak prababka biesa“.
„Gaj weg die ganew ja kupiec porządne,
„Nie żadne pajak czy ja tak wglądne.
Zbiera się Icek wychodzi, żałuje,
Że krótko siedział jeszcze odchoryje.

(C. d. n.)

Dzienniczek ja zdradził. (Humoreska).

1.

W pewnym prowincjonalnem mieście galicyjskiem mniejsza o to w którym, bo mogło się to stać w którymkolwiek, rozegrała się następująca tragicomedia.

Do spokojnie drzemiącego miasta przyjechała pewnego pięknego poranka z innej okolicy panna Pelagia Z. nie sama jednak, bo w towarzystwie swej mamy, staruszki średniowiecznej, a raczej już starożytnej. Panna Pelagia czyli Pelcia, jak kronika miejscowa podaje, zajęła fiakrem parokonnym do pierwszorzędnego hotelu pana Morgenzweiga, „pod zielonem koniem“ zjadła wraz z mamą, którą tytułowała „babcią“ śniadanie, poczem na czele faktorów mojżeszowego wyznania wyszła oglądać miasto i szukać za pomieszkaniem.

Zręcznie dała do poznania, że jeśli się jej miasto spodoba, to kupi tu realność i osiedzi na zawsze, a czyni to dla swej babci, która nie może znieść hałasu w stołecznym mieście. Żydzi dziwili się wielkiej mądrości, „pani dobrożyki“ która im imponowała niemieckim językiem, a gdy usłyszeli, że trafia się interes faktorski przy ewentualnem kupowaniu realności, zaczęli się naprzód klócić, potem bić, aż wreszcie Pelcia widząc, że ludzie z okien zaglądają nie chcąc dalej robić efektu oświadczyła „panom kupcom“, że z tym tylko będzie robić interes, który się najciszej zachowuje. W tej chwili umilkły chóry charkoczących faktorów, teraz prześcigali się mileżeniem,

Wreszcie udało się Pelci znaleźć mieszkanie z oknami do frontu przy pryneypalnej ulicy, składające się z saloniku, i dużego po-

koju połączonego z nyżą. Żydom nie podobał się wybór Pelci, Mordko chciał aby mieszkała blisko sklepu jego brata, Icek w domku jego szwagra i tak każdy miał jakieś wyrachowanie, ale ostatecznie chwalili w oczy, że to fein i nobel pomieszkanie. Pelcia płacąc z góry za kwartał czynsz, wyjęła całą setkę, nową, wprost z pod stempla i dała ją grubemu Josłowi do zmiany, Żydzi zobaczywszy setkę zgłupieli do reszty, zwłaszcza że Pelcia weale się nie targowała o cenę najmu zostawiając to swym hałatowym adwokatowi, którzy też na wyścigi targowali, aż ich Pelcia mitygować musiała, bojąc się, że mieszkanie całkiem bezpłatne wytargują. Tak samo poszło z najmem rzeczy, bo Pelcia nie wiedząc czy tu dłużej jak kwartał zostanie nie chciała mebli kupować.

Do wieczora mieszkanie było najęte, umeblowane, lokatorki się wprowadziły i zaczęły mieszkać. Żydzi hojnie wynagrodzeni, mlaskali językami i zaczęli Pelci rozmaite partye proponować.

„Ja dla pani dobrożyki powiada rudy Mordko, mam taki rarytny kawaler, że pani jak jemu zobaczy, to mnie pożękuje, wun jest kapitan wod landwery, wun tak jizdza na kobyły, jak sam furman Lejzor, wun ma wasy taki z węgierskim wywiksowaniem, w sam raz dla pani dobrożyki“.

„Mordko, die Jatterhind, a jak pani dobrożyka nima kawęji? mówi Josel ja mam jeszcze rarytniejsze kawalek, pan Piórkowski profesor wod gimnazji, taki mądry głów, jak sam rabin, a jaki wun fein, zawsze sze goli u mój szwager Abrumko, taki honet zawsze płaci 4 grejcarey za golenie, a 2 na piwo ajaj! a grojsse purec, pani dobrożyka będzie z nim miała pociechy“. „Sza kinder“ krzyczy Mendel, „ja mam kandybata wod pan hadwokata dus ys a doktier“. „Ależ moi kochani“ mityguje ich Pelcia jesteśmy zmęczone, chciałybyśmy odpocząć, za mąż wyjść nie myślę. więc nie trudźcie się daremnie“.

Żydzi pospuszczali nosy na kwintę, ale sprytny Mordko nie dał za wygraną i powiada: „Na co się spieszyć, sedu Zeit genig“, nu wszystkie panientki nie chcą za mąż wychodziwać, ale ja wim co one chcą, woni jeszcze w bożnicy tfil w kościele płaczą, ale jak już po wiselu ajaj! — nu co tu dużo gadać“.

Nareszcie usłudźni żydkowie opuścili swe kundsmanki. Pelcia przewietrzyła pomieszkanie po żydach poczem wraz z babcią poszła spać do nyży. Powiadają, że co się śni pierwszej nocy w nowem mieszkaniu to się zawsze ziści.

Pelci śnił się kapitan jadący na koniu, jednak ot jak to we śnie kapitan zamiast ludzkiej miał oślą głowę, z węgierskimi wąsami, a ona sama miała główkę pięknej, białej gęsi. Już nad ranem śnił jej się znowu pan profesor z wielkiem gęsiem piórem za uchem starannie wygolony, trzymał w ręce poezye Mickiewicza i deklamował coś o kobietach,

przytem patrzył na nią tak strasznie, że się cała spocona obudziła.

Szybko się zebrała, pobiegła do kościoła dała piątkę księdzu by na intencję (niewiem jaką) mszę św. odprawił, potem wysłała żydów w pogoń za sługami, wreszcie po wielkich naradach i żydowskich zachwalaniach przyjęła jakąś Maryskę jako sługę „do wszystkiego“ i Feškę nibyto do pokoju, a właściwie do nieczego. Z Feški zrobiła Fruzię zatytułowała ją „panną pokojową“ dała jej 3 fl. na trzewiki, bo Feška była bosa, kazała jej mówić po polsku bo Feška mówiła tylko po rusku i — odpoczęła po trudach,

Jeszcze tego samego dnia całe miasto zostało zaniepokojone przybyciem „panny ze stolicy“, każdy ze swego punktu widzenia patrzył się na ten wiekopomny wypadek.

Pan Steieramtseinnehmer mający trzy przekwitłe pociechy na wydaniu w świętem oburzeniu nazwał Pelcię „lafiryndą ze stolicy“ i nakazał wszystkim Steueramts praktykantom zupełnie Pelcię ignorować, zobaczmy jaki to miało skutek. Panny miejscowe srodze zaniepokojone niepotrzebną „rywalką“ niecierpiał jej jeszcze nie widząc, wszystkie jak w dym pobiegły do „cioci“ Gębarzewskiej, myślały by kto, że tam panny pod wodzą „kochanej cioci gromadzkiej“ radzą nad czemś pożytecznem, nad jakim szpitalikiem, ochronką, lub czemś podobnem, one tymczasem męczyły „poczeiwą ciocię“ o plotki i wiadomości, o tej „lalce z Paryża“ jak mówiły.

Biedna ciocia omł ze wstydu pod ziemię się nie skryła, że nie o Pelci nie wie, nie chcąc jednak stracić na powadze pletła jak na mękach, stwarzała jedną bajkę za drugą, stenograf mógłby był spisać annały, język jej latał jak czarownica na ożogu. kłamała ile się wlaźło, dodając zawsze „zresztą ja tego nie mówię, świat mówi może to i nieprawda świat taki zły“. — Biedny ten świat!

Po odejściu panien, które wreszcie zmierzowały że ciocia te świeże druki właśnie przy nich kładzie na maszynę zebrała się „ciocia“ i z obawy aby jej pypec na języku nie wyrósł, popędziła truchtem do „paryskiej lalki“.

Wpadła jak bomba, przedstawiła się: Gębarzewska primo voto Pyskalska z domu Języczkowska siadła nieproszona na kanapie, przeprosiła za napad wymówiła się obawą by szanowne panie nie zapisały się do „towarzystwa postępowej pracy kobiet“, bo to by była wieczna szkoda, zwłaszcza, że ona jest prezosową „towarzystwa pracy kobiet“ ale bez postępu jak dodała z naciskiem bo ojciec Jnocenty wszelkie nowatorstwa ostro zakazuje.

Przepraszając za natarczywość „ciocia“ jak wpadła tak wypadła Maryśce nie o-mieszkała szepnąć w sieniach, „a przyjdźno duszo wieczorem do mnie mam ci coś powiedzieć“. —

(C. d. n.)

Nowiny Stanisławowskie

Czasopismo ekonomiczno-społeczne.

Wychodzi 3 razy na miesiąc, każdego 1, 10. i 20.

Adres Redakcji i Administracji: ulica Zosina Wola I. 69.

Prenumerata

miejsceowa i zamiejscowa wynosi rocznie 3 zł. 50 ct., półrocznie 1 zł. 75 ct., kwartalnie 90 ct.

Numer pojedynczy 10 centów.

Od centimetra wysokości w kolumnie 10 ct. Rocznie taniej.

Kwadraty humorystyczne 50 ct. W rubryce „Nadesłane” 10 ct. od wiersza.

1895 — 1896.

Stary rok żegna się z nami, nowy nas wita.

Co nam stary przyniósł wiemy, co nowy przyniesie. to zakryte przed naszymi oczami.

Ubiegły rok nie należał do najgorszych, nie było wojen, epidemii, ani klęsk elementarnych.

Zmian zaszło wiele, jak zwykle, jak co roku.

Do najważniejszych faktów — nas polaków obchodzących należało powołanie namiestnika hr. Badeniego na ministra prezydenta. —

Faktem tem dał Monarcha jeden dowód więcej że ufa i sprzyja polakom. — Ważnem dla nas jest też powołanie dra Bilińskiego na ministra finansów a wy-

branie go posłem do Sejmu przez nasze miasto jednogłośnie, nas tu najwięcej obchodzi — daliśmy dowód, że prawdziwe zasługi cenić umiemy.

Horyzont polityczny nieco się obecnie chmurzy, oby rok nowy nie rozpoczął swego panowania, pod znakiem Marsa. — Mordy Ormian wikłają sprawę wschodnią, wyrznięcie ekspedycji włoskiej, żąda krwawego odwetu.

W roku ubiegłym spotkał rusinów zaszczyt nie mały, ich władcy, czcigodny metropolita lwowski Sembratowicz, został kardynałem. — Przy końcu ubiegłego roku przyszła do skutku — owa nieszczęśliwa niefortunnie zakończona, gromadna deputacja rusinów do Wiednia — być może że po takiej nauczce, przyjdzie opamiętanie na tę część rusinów, którzy obalamuceni przez swych prowodyrów, w szczuciu na polaków

a grawiłowaniu ku Rosyi widzą deskę ocalenia i polityczną działalność — tego opamiętania się — z serca im życzymy, w imię bratniej zgody.

Niezatwierdzenie wyboru na burmistrza miasta Wiednia Luegera, przywódcy antysemitów, jest jednym więcej dowodem że antisemityzm nie jest w programie rządu i przez tron niemile jest widzianym. — Nas Stanisławowianów specjalnie obchodzi, że w roku ubiegłym została ukończoną budowa Sokoła, przyszło do skutku poświęcenie gmachu tegoż, dalej że wspierała świątynia izraelska jest na ukończeniu że przez kładzenie nowych trotoarów miasto nabiera więcej europejskiego wyglądu — wreszcie znikną nasze słynne błota z powierzchni ulic. — Daj Boże by rok nowy był lepszym aniżeli stary — bo choć nie mamy czego na ubiegły narzekać —

Przechadzki po mieście.

Interview. — Grzyby po deszczu. — Pomnik Mickiewicza. — Złot krakowski.

Gdy redaktor „Nowin stan.” był tak grzecznym i pozwolił mi moje „Przechadzki” w swem piśmie umieszczać, mam nadzieję że się nie pogniewa — gdy me „Przechadzki” od niego samego zacznę — i przytoczę interview z redaktorem.

Pytałem go — ot jak to się zwykle pyta jak mu się powodzi, jak pismo idzie i prosiłem by mi słów parę o tem powiedział.

Oto jego odpowiedź: Ludzie dobrej woli — chcący sprawie publicznej szczerze służyć — założyli „Nowiny stanisl.” Nie śniło się założycielom że im się powodzić będzie — bo o powodzenie nie chodziło, tylko o sprawę — tymczasem któż opisze nasze zdziwienie — gdyśmy z końcem roku sumując plus i minus

znaleźli że jest plus — no przyznam się panu, rzecz redaktor pykając swą węgierską fajeczkę, jakim szlachcie, czegoś podobnego nie spodziewaliśmy się. — Ano widać — że u nas jeszcze się ludzie na uczeiwej pracy poznać umieją — tem lepiej — tem gorliwiej nadal pracować będziemy i uzupełnimy braki, jakie jeszcze są. — Co do redagowania — to chwalić się nie będziemy — najlepszym probierzem jest łaskawa na nas publiczność. — Jeden jedyny grzech mamy na sumieniu a to ten, że napadnięci przez drugie pismo lokalne, zamiast od razu walczyć milczeniem — spróbowaliśmy pójść na ostre — no! ale ponieważ redakcyja jeśli chce być dobrą — długo błędzić nie może, poznaliśmy że swary gazetarskie nie publiczności nie obchodzą, odwołaliśmy się do przysłowia niemieckiego i jak ostatni ustąpiliśmy.

No ale stało się — już się nie potwórzy a zatem nie ma o czem mówić. —

To tylko dodać możemy — że jeśli w ciągu roku 1896 tak się będzie „Nowinom” crescendo powodzić, jak dotychczas — zaczęną od następnego roku wychodzić dwa razy w tygodniu — a my słowa dotrzymujemy. — Tyle z interview. — Chodząc tam i sam zaszedłem do kawiarni przypuścimy Imperial — patrzęstos gazet całkiem mi obcych — ponieważ mnie każda gazetarska bibuła interesuje — biorę je po kolei do ręki. — I tak: „Dziennik poranny” krakowski przeglądam — pismo niezłe, tanie, no zobaczymy za rok — o młodzieńcach nie można od razu ostatecznego sądu wydawać. Biorę dalej „Słowo polskie” dziennik lwowski, czytam, też dobrze redagowane i tanie pismo — następnie znajduję „Ster” pismo dla kobiet, też jakieś nie złe. — Patrę „Chochlik krakowski” pismo humorystyczne i o dziwo bardzo dobre, świetne rysunki — myślałem że tylko Śmigus ma patent na humor. Prawda jest i „Humorysta”

człowiek zawsze chce mieć nadzieję że będzie lepiej — ot gdyby tak niezwykła drożyzna u nas, się zmniejszyła — jużbyśmy przy schyłku obecnego Nowego Roku — mogli mu wdzięczny napisać nekrolog. — Kończymy tych słów parę pamięci nieboszczyka 1895 r. poświęconych, życząc naszym czytelnikom by się ich nadzieje w Nowym Roku spełniły.

Redakcja.

Według dat. zebranych przez Wydział krajowy, emigracja do Brazylii po koniec roku 1895 wynosi 10 000 osób, co stanowi 0.16% ogółu ludności. Jest to, zdaniem Wydziału krajowego, cyfra, która zastraszać nie powinna, ale mimo to należy ze względu na niekorzystne warunki emigracji do Brazylii, ruch ten, o ile się da, za pomocą perswazyi, dostarczania zarobku w miejscu itp. środków łagodnych hamować, o ile zaś emigranci powstrzymać się nie dadzą, że względów czysto humanitarnych roztoczyć nad nimi opiekę, by nie dopuścić do obrabowania tych biednych ludzi i tu w kraju i za granicami. Do akcyi tej powołaniem jest jednak — zdaniem Wydziału krajowego — samo społeczeństwo, nie zaś władze, czy rządowe, czy to autonomiczne. Władze mogą tak w prewencyjnej, jak i represyjnej drodze ścigać wszelkie nadużycia, wchodzące w kolizję z istniejącymi ustawami, z całą ich surowością, co nie wątpliwie Namiestnictwo, żywo się sprawą emigracji zajmujące zarządzi. Sejm —

zdaniem Wydziału krajowego — mógłby chyba przyjść w pomoc tym czynnikom, któreby podjęły taką opiekuńczą akcyę. Mogłoby to uczynić bądź grono ludzi dobrej woli, jak do niedawna komitet Towarzystwa św. Rafała, bądź też mogłoby może potrzebie tej zadość uczynić zupełnie prywatne przedsiębiorstwo przewozowe, uczciwie prowadzone i pod kontrolą publiczną pozostające.

Po wieczorku

napisał

Emil Schayer.

Mam pisać po wieczorku, muszę jednak zacząć od tego, co było przed wieczorkiem. Od tygodnia o niczem innem nie myślę, nie marzę, nie mówię, tylko o wieczorku tańczącym, poprzedzonym koncertem Towarzystwa muzycznego. Trzeba państwu wiedzieć, że tomój pierwszy występ w świat, dotychczas uprawiałem kult Terpsychory, tylko w tak zwanej „budzie“ pana Skoczka, tam byłem lwem a nawet aranżerem, przed wieczorkiem miałem jednak tremę, najwięcej jednak zastanawiałem się czy tam tańczyć będą tak zwanego walca gładkiego czy „sechsschritta“. W każdym razie najważniejszą rzeczą był frak, skąd go wytrzasnąć nareszcie po długich namysłach, wyprosiłem od mego „starego“ jego przedpotowy frak, mój nadworny artysta od igły pan Mordko Maizengeist vulgo Mordzie obiecał, że wszystko da się zrobić i „paniezu tak bęże wglądacz jak hrabia, zeby ja tak zdrów“. Wreszcie wybiła dawno upragniona godzina w której miałem przystąpić do wylegantowania się na wieczorek. W dużej miednicy wychlapałem się jak rekin, wdziałem czystą bieliznę, lakierki, wreszcie ubranie frakowe, frak wprawdzie dzięki

gorliwości Mordzia coś w pachach trzeszczy, ale „schwamm d'rüber“, wprzód jeszcze szczołką przyprowadzam mą chyry do względnego porządku i niksuję miniaturowe, zaledwie przez lupe widzialne wasy. W końcu kładę klak, rękawiczki i kalosze, schodzę na dół i skaczę do sanek. Janek trzasnął z bata jak woźnica Achillea i jazda. Pech chciał, że przejeżdżaliśmy koło karczmy, przy której Janek zawsze robił pauzy, dla wypicia kieliszka siwuchy. Koń znający swą powinność staje przed karczmą. Janek okłada habeta drugim końcem biczyśka, ale szlachetny potomek bucefala stulił uszy i stoi. Co było robić, dla dogodzenia koniskiej fantazyi, zeskakuję, wchodzę do szynku i każę dać Jankowi kieliszek siwego nektaru. Ba! nowy pech! w karczmie o której mowa była piękna Rachel do której ja od dawna ciąłem koperczaki. Ależ bo i warta była tego, smukła i gibka jak gazela, liczko krew z mlekiem, włosy jak heban szlachetny a oczęta niebieskie jak bławatki, a takie słodkie, takie urocze, że nie trzeba było być tak jak ja maturzystą, aby się trochę w tych oczach odurzyć. Piękna Rachel lubiła mnie bardzo, ale to nie przeszkadzało by nie miała wyjść za husyta-cybucha. Właśnie trafiłem na typowy obrzęd ślubu żydowskiego; dziewczęta czekały na oblubieńca, który z innymi pejsaczami wyginał hopki na śmieciu lub zawodził majufes. Nie wiele myśląc chwytam mą Rachel jak bożek gniewu, każę muzyce grać mazura i puszcza się z nią w tany. Inne żydówki otworzyły swe wonne (cebulą) buzie szepeąc „kik, kik, wie der ganef hopkies drypkiel“. Tańczyłem jak szalony, wreszcie szepnąłem mej nimfie „chcesz tak całe życie pójść ze mną ręką w rękę?“ chwyciłem ją silniej i mazurkowym krokiem wypadłem na dwór. Skoczyłem do sanek, Janek zaciął, ruszamy z kopyta, w tem słyszę za sobą chlapiący błotem pościg żydowski, to pan młody z żydami „mit cymbalkies und reszotes“ już, już nas dogania. Zimny pot mnie oblał, obejmuję silniej mą dulcinę, wtem bierze mnie ktoś za ramię, otwieram oczy a to pokojówka jedzie mi z taczą pod nos i mówi: „możeby się już paniezu napił kawy“. Taki to straszny sen miałem po pierwszym wieczorku.

Krakowskie Stowarzyszenie ochrony zwierząt

założone 16. stycznia 1887 w Krakowie,

podaje dziesięcioro przykazań w celu ochrony zwierząt.

1. Będziesz czcił Boga w wszystkich dziełach jego, a zatem też w zwierzętach i uznawać w nich będziesz moc i mądrość jego.
2. Nie będziesz męczył żadnego zwierzęcia, nawet szkodliwego. Nie będziesz wbijał na szpilki żywych owadów, motyli itd.
3. Będziesz używał najprędszego i najmniej bolesnego sposobu przy zabijaniu zwierząt, gdyby ci to koniecznie uczynić wypadało.
4. Będziesz szanował i oszczędzał zwierzęta podczas przewozu.
5. Nie będziesz nadużywał sił zwierząt pociagowych, które tobie służą. Będziesz unikał wszystkiego, co szkodzi ich zdrowiu, jako

krakowski biorę od razu dwa ostatnie numera — ale musiałem się z odrazą odwrócić. To ma być pismo humorystyczne, takimi rzeczami chcą karmić polskie społeczeństwo? Gdzież ten humor w „Humoryście?“ Moim zdaniem tytuł chybiony, pismo to powinno się nazywać „Paszkwil na Rogosza“ bo od początku do końca, stara się bawić czytelników (jeśli jacy są) takimi dowiepami jak: Skąd pochodzi redaktor Głosu Narodu? odpowiedź zŁodzi — w Humoryście co drugi wiersz czytamy Rogosz zŁodziej — Rogosz łajdak i t. d. Że p. Rogosz jest antysemitą, to jeszcze nie kwestya nazywać go zŁodziejem. — To dlatego że redaktor „Nowin Stanisław.“ nie jest antysemitą, ma go, p. Rogosz nazywać zŁodziejem? Hola! p. Humorysto — kim jest p. Rogosz wszyscy wiedzą dobrze — że nie zŁodziej to pewna, ale jeden z najlepszych naszych powieściopisarzy — to że się puścił na antysemityzm to jego rzecz — mamy filosemitów. —

możemy mieć i antysemitów. — Kim jest p. Rogosz wiemy, ale skąd jest p. Humorysta czy nie z Łodzi o tem nie wiemy. — Może i mnie za tę „Przechadzkę“ odeszle Humorysta do Łodzi — no ale ja do jego rodzinnego miasta jechać nie myślę,

Rozpisałem się tyle o tych grzybach po deszczu i sprawie Łódzkiej że mi mało miejsca zostaje na nasze sprawy.

Powiem więc tylko krótko, że już teraz wszyscy się cieszymy, że pomnik Mickiewicza stanie się prawdziwą ozdobą miasta, przypominamy również że trzeci zŁot Sokołów, odbędzie się w Krakowie w tym roku — niechże więc i nasza dzielna drużyna, zawczasu do tej kompanii się gotuje, by gniazdo nasze godnie zaprezentować. — Do ostatnich dwóch spraw jeszcze na innych przechadzkach powrócę.

Stanisławowianin.

to zostawiania ich na mrozie i na wielkiem upale. Będziesz używał bicia tylko w ostatniej potrzebie po ludzku, a nie jako kat.

6. Nie będziesz chwycił żadnych ptaków ani wybierał ich gniazd, bo tym uchybiasz moralności i rozporządzeniom zwierzchności.

7. Będziesz trzymał w domu tylko takie zwierzęta, które dobrze wyżywić i pielęgnować zdołasz, i dasz im wszelką możliwą swobodę, bo i ty niewolnikiem być nie chcesz.

8. Będziesz pielęgnował chore zwierzęta, radził się znawców i postępował podług ich rad. Boleść czuje zwierzę zarówno jak człowiek.

9. Będziesz wstrzymywał drugich od złego obchodzenia się z zwierzętami i będziesz rozszerzał myśl i obowiązek ochrony zwierząt. Głosząc zasady moralności, które uznajesz, czcisz one i siebie samego.

10. Będziesz postępował według zasady: „Byt zwierzęcia jest uprawniony i służy tobie ku pożytkowi, a każdy występki na nim dokonany hańbi ciebie samego i imię twoje.

Ciekawość ukarana.

(Humoreska.)

I.

Piotr Miotłka był doktorem filozofii, docentem na uniwersytecie i majetnym.

Był jednak niezadowolonym ze siebie, pomyśli kto, że Piotr był brzydkim, więc nie ma szczęścia w miłości, — przeciwnie był on w całym tego słowa znaczeniu przystojnym, smukłym, dobrze zbudowanym, oczy miał piękne, niebieskie, myślące, był po trochu poetą — co filozofowi, docentowi literatur słowiańskich wybaczyć można, jakież jednak był powód jego niezadowolenia z siebie? Całkiem błahy — mimo swej mądrości książkowej i praktycznej czuł się upośledzonym z powodu niskiego pochodzenia. Był synem kominiarza, oto cały powód jego desperacji, inni na jego miejscu synowie szewców i t. p. „bawiliby się“ w demokratów i nie mieliby żadnych pretensyj do Pana Boga o swe pochodzenie. Piotr był innym, już w szkołach do passyi go przyprowadzało gdy go koledzy, wiedząc, że go to irytuje, kominiarzykiem nazywali. Będąc synem zamożnego majstra miał zwykle „taschengeld“, więc na 10 minutach kupował biedaczysko nieraz tuzinami bułek i zatykał niemi usta koleżkom. Lecz jak to malcy, okup wzięli — lecz za to Piotrusia przez cały dzień nazywali „hrabczukiem“, by jutro znowu zacząć „ab ovo“. Zaiste biednym był Piotruś, uczył się dobrze, miał wszelkie rozrywki, cóż kiedy ten kominiarczyk spać mu nie dawał. Stary ojciec mawiał mu nieraz, gdy się z płaczem skarżył: „Ucz się Pietrek, aby z ciebie byli ludzie a nie jeden z tych „przemądrych osłów“ nie kominy ale buty ci będzie „pucować“. Refleksye ojca nie pocieszały Piotrusia — tem więcej się uczył, zdał wreszcie chlubnie maturę — przeszedł znakomicie filozofią a choć koledzy dawno już zapomnieli, że kiedyś Piotrusia nazywali „kominiarczyk“ był jeden, który tego nigdy zapomnieć nie mógł, a był nim Piotruś sam.

Nieraz kolega jaki zaczepił go w celu „napompowania“ go, Piotruś a wtedy już Piotr ostatniego by centa oddał, byle tylko nie narazić sobie „kochanego“ kolegi i od niego ewentualnie „brudny kominiarczyk“ usłyszeć.

Gryzł się i martwił pan doktor, ale wreszcie przyzwyczaił się, widział że błąd zaszyty przy jego urodzeniu nie da się naprawić — roił teraz, aby nauką dojść jak najwyżej i zyskać tytuł n. p. hrabiego. Widział że wszyscy zbliżają się do niego z wyszukaną grzecznością — widział że jest mile widzianym gościem w najlepszych towarzystwach, cóż jednak gdy tej „plamy“ nie mógł zatrzeć.

Zdarzyło się raz, że na pewnym balu publicznym poznał pannę Wiktoryę, córkę radcy Krzysztofskiego byłego właściciela dóbr, herbowego szlachcica.

Panienka była śliczna, młodziutka, zwinna jak sarenka, filuterna, chichotka — słowem cacko.

Nasz Piotruś ledwie ją ujrzał, zakochał się powyżej uszu, to się trafia nawet i u arystokracji.

Zakochał się z pierwszego wejrzenia — to dobrze, ale czasy Platonów i miłości platońskiej dawno już spoczęły w ławnicach pogańskich, więc wypada się przedstawić, poznać i... tu przestraszył ogarnął Piotrusia i... i co? A nie, jak mnie zechce to się ożenie, ale może to jaka hrabianka? e! nie, tu hrabianki nie bywają — muszę się Stacha zapytać co to za jedna — aranżer — musi ją znać.

Biega Piotruś po sali, szuka za aranżerem, ale gdzie tam! Kto go znajdzie, aha! pewnie w bufecie — idzie do bufetu — jest, zakrapia się właśnie koniackiem, Piotruś do niego:

„Kochany Stasiu, mam do ciebie wielką prośbę“.

„Co prośbę? ależ dobrze, tylko bo uważasz jak masz prosić, to już poprosz panny Tynce niech nam da koniacku — panno Tynce, kochana panno Tyneio, proszę dwa koniacki — no niech cię to nie żenuje ale bo to widzisz, jak to bez podłania żadnej sprawy nie zaczynam, no kałatnijmy się — zdrow! — na zdrowie, no nie myśl że to rzecz wielkiej wagi, podobają mi się pewna panienka, ty wszystkich znasz, przedstaw mnie“.

„Więc to mała rzecz, panno Tyneio — jeszcze dwa koniacki tak — zdrow! — więc to u ciebie mała rzecz, a wiesz ty co z tego wyniknąć może? wiesz? zastanowiłeś się?“.

„Ja? nie“ — kłamie Piotruś.

„To ja ci powiem, małżeństwo“.

„Oszalałeś!“

„Jeszcze nie, ale może powiesz że nie, powtórz jeszcze raz“.

„Ależ człowieku, chcę poznać pannę w celu...“

„A! w celach matrymonialnych, sam się zdradziłeś, panno Tynce jeszcze dwa — tak zdrow, nie bój się ja nie w ciemę bity, gdyby to w celu tańczenia tylko, to tybys za mną nie biegał i szukał, ale czekałbyś spokojnie — ale pomyśl ino gdyby tak do ciebie przyszedł — no wstaw się w moje położenie“.

„Dalibóg nie mogę“.

„No wstaw się, panno Tyneio możeby jeszcze dwa, dobrze, dziękuję, zdrow!“

„Chcesz mnie spoić czy co? nie będę pić więcej“.

„Jako? chcesz się tak na sucho żenić — oho! bratku a ja tu od czego — kropnij sobie koniacka — ja cię przedstawię i panna twoja“.

„Ale coś także, tak od razu“ bełkocze Piotruś, który mając słabą głowę już się trochę upił.

„Jako od razu? jak tak zawsze anavan, balanse, turdinan, chaise coroise i wesele“.

„Ależ“.

Tu nie ma żadnego ależ — panno Tynce! tak, dziękuję zdrow! znowu nie chcesz pić?

„Ależ to mi zaszkodzi“.

„Co?!! koniackek zaszkodzi — nie obrażaj pana Boga i to komu, tobie herkulesowi, patrz jam mucha, komar nie daj zawstydzić.“

„Kiedy mam słabą głowę“.

„Dr. filozofii i słaba głowa, nie bądź dzieckiem — no dobrze czekaj — źle tykas — panno Tynce, tak, dziękuję, zdrow!“

„Nie, więcej absolutnie pić nie będę, wypilem już 6 koniacków.“

„Jako? to ty rachujesz koniaki?“

„No, przecież muszę wiedzieć ile mam płacić“.

„Bądź spokojnym, zapłacisz za butelkę, cóż to ty myślisz, że ja za pomyślność młodej pary, będę pić jednym naparstkiem?“

„Jakiej młodej pary?“

„Kapitałny sobie — no któż się żeni, ja czy ty, nie — wiesz Piotruś ty dzisiaj jesteś niemożliwy w porządnym towarzystwie“.

„Co pod tem rozumiesz?“

„Pod towarzystwem? naturalnie że siebie, „kończmy sprawę już stoją instrumenta“.

„Nie bój się, bezemnie nie zaczął lansiera — otóż wracając — ależ do czego my mamy wracać panno Ty... dziękuję zdrow!“

„A rób już ze mną co ci się podoba, upij mnie, otruj mnie, tylko mnie już raz przedstaw.“

„Oho! bratku pomału — no cieszy mnie, że ci się naprawiło w twej filozoficznej głowie, przyznajesz, że Cognac... to nie woda — otóż — aha! miałeś się wstawić — uważasz, gdyby do ciebie, no uważasz bądź na chwilę Froterkowskim — uważasz jaki zaszczyt — gdyby tak przyszedł jakiś filozoficzny nudny profesor i prosił by cię byś go przedstawił pannie, pannie, no jakżeś się nazywa“.

„Ależ ja nie wiem“.

„Prawda — to nie twoja rzecz i prosił byś go przedstawił pannie przypuśćmy H. notabene gdyby ten filozoficzny doktor wybałuszył na ciebie oczy jak nieprzymierzając wół, gdyby mówił szybko, głosem urywanym, jakby się co najmniej paliło, cobyś pomyślał, cobyś zrobił?“

„Przedstawiłbym go“.

„A ja nie, to jest nie zaraz, — czekaj, coś mi w gardle schnie — panno... dziękuję, zdrow! najprzód pomyślałbym: zakochał się.“

„Ale cóż znowu!”

„Ej! Piotruś skryty z ciebie człowiek, no, wy już tacy wszyscy wy zakochani — no tylko się nie broń — otóż ja uważasz zacząłbym naprzód od koniaczka, pan... dziękuję, zdrow! Wtem muzyka zagrała przygrywkę do lansiera.

„A to czeskie knedli — co za śmiałość! bezemnie zaczynać szkrabac swoją kocią muzykę — powiadam ci — ta muzyka to moja śmierć, wzięlibyśmy wojskową — grałaby nie źle, ale cóż, albo to im dodadzą ducha beczką piwa?”

Wtem wbiega jakiś wymokły gogo:

„Panie Froterkowski — już najwyższy czas, panny już w miejscu ustać nie mogą.”

„Posyp im pan soli na trzewiczki — teraz zima, może przymarzną do podłogi.”

„Machen Sie keine schlechte Witte Herr von Froterkowsky — reflektuje go lejtnant od ułanów, który wszedł tuż za gogiem, sondern gehen Sie arangiren.”

„Zaraz panie Fincio, gleich auf der Stelle Herr Lieutenant — no popatrz się bezemnie nie — powiadam ci człowiek się na śmierć zapracuje, pan...! a do kroćset nie śpij panna! idę aranżować, daj tu panna tę buteleczkę — co? tylko mniejsza połowa? no niech stracę, zdrow! i jednym haustem wysusza pan aranżer resztę koniaczku. — Możesz zapłacić i chodź na salę — przedstawię cię — panno Tyncio proszę nam zarezerwować jeszcze buteleczkę.

(C. d. n.)

Kobietom nie można ufać.

(HUMORESKA.)

Pani hrabina primo voto Nadymalska, secundo Pysznicka, wdowa od lat dziesięciu, rezydowała na swej wdowieńskiej dziedzinie w podgórskiej wiosce. — Mieszkała w pięknym pałacu i kochała się — w psach. Właśnie miała młodzieńską spezkę z szlachetnej rasy jedwabistych pinczów. Ulubienica pani hrabiny wabiła się słodką nazwą Pimpinelci — było to istne cacko, drobna, zgrabna, włos białe, miękki jak jedwab, oczka jak u sarenki, pysio chciałem powiedzieć mordka miłutka, zakończona ciekawym czarnym nosikiem. Pimpinelcia jako kobieta wiedziała, że jest ładną, chociaż prawdopodobnie lustra nie używała. Na niczem Pimpinelci nie brakło — chyba ptasiego mleka — a jednak nie miała towarzystwa (psiego) no i młode jej serduszek zapragnęło miłości. Pani hrabina dbała o decorum panięskie swej pupilki, pozwoliła jej się z kundysami wiejskimi pospolitować.

Na szczęście Hawryło stróż pani hrabiny dostał gdzieś młodego łańcuchowego brysia, przypiął go na łańcuch, a pani hrabinie wytłumaczył, że to od złodziei. Zaczęły się piękne dnie Araujezu dla Pimpinelci.

Mądra psina — uważała tylko jak pani hrabina poszła na długie modły do kaplicy, gdzie był psom wstęp wzbroniony — biegła zaraz do Brycha na podwórze. Brycho udawał

przyjemnego i zalecał się jak umiał naturalnie po chłopsku.

Nie myślcie państwo, że Brycho był psem przystojnym i dlatego się nim Pimpinelcia zajęła. Gdzietam, Brycho był to prosty wiejski kundys, łeb miał nieproporcjonalnie duży, uszy krótkie, ogon pokręcony, sierść miała burą, twardą, pełną bodaków i śmiecia — ale któż zbadał tajniki kobiecego serca — mówią dobrze „ne rody się krasnym ale szczastnym”. Pimpinelcia nie zważała na brzydotę Brycha — ale podziwiała jego jedyny okaz męski. Czy miłość dwojga psów tak różnych urodzeniem była tylko platoniczną na to rzucmy zasłonę — dość, że nie trwała długo. Brycho nieraz gdy mu się wieczne pokutowanie na łańcuchu znudziło — urywał się wieczorem i szedł na wieś. Brycho miał kiepskie narowy, można go więc podejrzewać, że się sprzeniewierzał swej Pimpinelci i na wsi prostym sukrom zwracał serca. Brycho wyrwawszy się z niewoli — bujał dwa czasem trzy dni, wreszcie wracał głodny, zmarznięty, zбитy, zwykle jak pies z wesela.

Hawryło ledwo go ujrzał, wołał go do siebie, brał za obroże, zdejmował pasek, puszczał w koło, a smarując bury grzbiet Brycha, miał do niego jeszcze następującą przemowę: „A bogdajś zdoch ty psi synu” (to go zbiesztal) bodaj ty skis, ty złodiu oden, ty zajwołoko odna, ty gemeiner Hund (Hawryło był w wojsku), bodajś zdoch pid płotom jak ostatny pes (tem się Brycho najwięcej martwił), piezkaj, piezkaj, rozbijnyku na wesile budesz chodyty... i t. d. wreszcie wzruszony pokorą psa, który się składał we czworo wzięwszy ogon pod siebie i lizał grubo dziegiem wysmarowane buty Hawryły, przynosił mu ceber mamaligi zebranej od 3 dni, którą Brycho nie omieszczał spałaszować, poczem po trudach szedł spać do budy i marzyć o pięknych ogoniastych wieśniaczkach. Nie wiedzieć jakim sposobem dowiedziała się o tym niestosownym stosunku Pimpinelci, ale że to była kobieta miękkiego serca, więc postanowiła zerwać stosunek bez gwałtu. Właśnie zbliżały się urodziny Pimpinelci, chcąc więc faworytce sprawić niespodziankę, zapisała z Wiednia takiego samego pincza jak ona. Ledwie Zips przyjechał oddała mu niewierna Pimpinelcia swe serce — no a Brycho e! co tam, ktoby się tam o kundysa troszczył — podobno się bestya z żalu wściekła.

Słowo o towarzystwie ochrony zwierząt.

Dzkie obchodzenie się z zwierzętami jest niezaprzeczoną dowodem dzikości człowieka dopuszczającego się takiej srogości. Zarazem świadczy takie postępowanie o grubej ciemności, a o ile ono dotyczy zwierząt domowych lub dziko żyjących, przytem jakibądź pożytek człowiekowi przynoszących, okazuje ono brak wszelkiego obliczenia własnej korzyści. Dowiedziona także jest rzeczą, że człowiek obchodzący się po barbarzyńsku z zwierzętami, nielepiej z ludźmi postępuje.

Katowanie koni, jakiego dzień w dzień na każdej z ulic krakowskich świadkami jesteśmy a które wogóle w całym kraju naszym spostrzegać się daje, obciążanie wozów przechodzące siły szkapiać wieśniaczych a potem dodawanie im tych sił zamiast należytem karmieniem i rozsądnym oszczędzaniem kijem i biczyskami, pędzenie z ciężarami, nieraz na wyścigi, z góry i pod górę, używanie do jakiejbądź roboty koni chorych, pokaleczonych i chromych, a co od niejakiego czasu w Krakowie coraz częściej spostrzegać się daje, zaprzeganie zrzebiat, słusznie oburzało i oburza lepszą, światlejszą i rozsądniejszą część publiczności, bo jest niestety u nas dosyć ludzi, których ograniczenie jest tak wielkie, iż mogą twierdzić, że tytułem własności wolno właścicielowi katować według upodobania biedne, bezbronne zwierzę, i że nikt nie ma prawa ująć się za nim.

Bicie **bydła rogatego** tegim kijem lub pałąk zdaje się być rzeczą tak prostą, jakby już inaczej być nie mogło i nie powinno.

Również nieludzkim i oburzającym jest sposób przywożenia **cieląt** do miast naszych. Z mocno skrepowanymi nogami kładą je na wozy, jedno prawie na drugiem, z głowami zwieszonymi przez literki poza wóz, i tak pędzi z niemi zazwyczaj żyd handlarz po gruzdzie i kamienicach, w trzaskającym mrozie w skwarze letnim i tumanach pyłu. A gdy wreszcie napół żywe, czasem może już i nieżywe, przybędą do miasta, to tu i tam przed mieszkaniem rzeźnika zrzucają je na bruk, do ścieku, na śnieg, lód, w pył lub na kupę uschłego błota. Przedewszystkiem wspomnieć należy, że mocne krępowanie nóg u cieląt sprawia zapalenie (gangrenę). Mięso takie służy potem na pożywienie.

Nielepiej dzieje się z **drobiem** i wszelkimi innymi zwierzętami przynoszonymi na targi miejskie. Przypominamy kurniki niziutkie, napechane rozmaitym drobiem, że się aż dusi, z którym znowu handlarz jaki, przekupień lub żyd pędzi do miasta; przypominamy związywanie kilku sztuk drobiu za nogi i noszenie go czasem po całych dniach przez przekupnie i przekupki po mieście, niemniej zanoszenie go takimżesamym sposobem przez sługi do domów, na co szanowne gospodynie i panie domów powinnyby mieć oko. O wielu innych barbarzyństwach, np. przy zabijaniu zwierząt skubaniu żywcem gęsi, darciu żywcem z łusek ryb, dręczeniu owadów przez uczniów szkół naszych, psuciu gniazd ptaszych i t. d. nie ma potrzeby rozpisywać się obszerniej; to zaś, co każdy z szanownych czytelników na własne widywał i bezustannie widuje lub widzieć może oczy, stanąć może za dostateczne uzasadnienie potrzeby i pożyteczności towarzystwa ochrony zwierząt u nas, jak takowe we wszystkich cywilizowanych krajach Europy i innych częściach ziemi już od dłuższego czasu istnieją.

Cel tych towarzystw wszędzie dwojaki, humanitarny i utylitarny.

Co do nas i naszych stosunków, jedna jeszcze okoliczność zasługuje tutaj na wspomnienie. Mamy wprawdzie ustawę z 19. lipca 1869, ochraniającą kozice i świstaki w naszej części Tatr; mamy ustawę z 21. grudnia 1874 ochraniającą jeże i niedoperze, a szczególnie ptaki pożyteczne dla uprawy ziemi, mamy także ustawę łowiecką z 30. stycznia 1875, wreszcie ustawę rybacką z 31. paźdź. 1887. Atoli mimo tych czterech ustaw złe, przeciwko któremu są wymierzone, nie zmniejsza się, gdyż mało kto dba o to, aby ich przestrzegano. A wykraczających przeciwko nim pociągano do odpowiedzialności i karano. Owszem moglibyś-

my udowodnić, że takich ludzi nawet osłaniano. To wszystko przypisać należy niedostatecznej bądź znajomości rzeczy czyli niedostatecznej oświacie, bądź nierozbudzonemu poczuciu prawa i obywatelskiego obowiązku stania na straży praw, rozporządzeń i przepisów przynoszących jakkolwiek pożytek krajowi, materialny czy moralny, czyli innymi słowy spychaniu tego obowiązku na władze, którym znowu czasem te same uczyniłyby można zarzuty. Więc mimo ustawy z 19. lipca 1869 pojawiały się tu i owdzie kozice w kuchniach i na stołach dla uraczenia gości jakby na urągawisko ustawie; przywożono je bezpłatnie do samego Krakowa mimo straży po rogatkach; mimo ustawy z 21. grudnia 1874 trwa chwytanie i wywóz ptactwa chronionego za granicę, tudzież obnoszenie go przez cały rok przez próżniaczę gawieź jawnie po rynkach i ulicach miast naszych, jak gdyby nie było straży po rogatkach ani dozorców targowych, lub jakoby ich rzecz ta nie nie powinna obchodzić; mimo ustawy z 30. stycznia 1875 każdego czasu wszelkie gatunki zakazanej zwierzyny w pewnych miejscach naszego miasta i indziej kupić można, a polowania odbywają się w niejednym miejscu bez przeszkody w czasie wzbronionym ustawą. Szkodliwych skutków takiego usposobienia ogółu, daleko więcej szkodliwych, aniżeli niejednemu się wydaje, tutaj rozbierać nie będziemy. Pojmujący rzecz przyznają, że towarzystwo ochrony zwierząt tym przynajmniej władzom w pomoc iść może, które chętnie czynią, co czynić powinny.

Ażeby atoli takie towarzystwa skutecznie wywiązywały się z zadania swego, muszą bardzo wielu liczyć członków; co do tych zaś, niezbędną jest sprężysta ich ruchliwość. Życzyć czyć wypada, aby i u nas tak było. Nie będzie to z pewnością z żadną szkodą ogółu, owszem, jak sobie tuszymy, z jego pożytkiem.

Krakowskie Stowarzyszenie ochrony zwierząt, przed trzema laty zawiązane, rozpoczęło swoje czynności wśród ogólnej apatii dla spraw humanitarnych i tylko niezmordowaną pracą dobiło się uznania i poważania. Stowarzyszenie to mające przez czas dość długi za ledwie kilkudziesięciu członków, liczy ich obecnie do trzystu.

Przeważnie zwróciło ono działalność swoją na młodzież szkolną, na szkoły ludowe, aby zaszczerpieniem zdrowych zasad w serca młode wytworzyć generacyą ludzi oddanych sprawie ludzkości.

W tym celu wydaje Stowarzyszenie pod warunkami nawet dla uboższych przystępnemi czasopismo miesięczne p. t. „*Opiekun zwierząt domowych i pożytecznych*“ i broszury treści przyrodniczej (*Opiekujcie się ptakami, Skowronek, Wściekliwość u psów* i t. d.), których członkom swoim za cenę druku a przeważnie bezpłatnie udziela.

Wkładka członka wynosi tylko **1 złr. 50 cnt.** rocznie; nauczyciele szkół ludowych i wydziałowych płacą tylko **1 złr.** Każdy członek otrzymuje czasopismo bezpłatnie.

Odzywamy się niniejszym do Szanownych Czytelników i Czytelniczek z prośbą o liczne przystępowanie i zyskiwanie członków do tego humanitarnego Stowarzyszenia.

Skutki, jakie już osiągnęliśmy, napawają nas głębokim przedświadczeniem że ziarno rzucione przez nas nie poszło marnie i z dniem każdym mnożą się zdobycze prac naszych.

Belferada kołomyjska.

W Kołomyi jest ich koło
Tych belferów gimnazjalnych
Pisać o nich nie wesoło
Jakby o tych dniach feralnych
Dyrektor, zwie się Aresem
Bo jest groźny jak Bóg wojny
Kiedy idzie z czarnym biesem
Cezarem, który spokojny
Jest to pies z góry Bernarda
Prawie tak duży jak ciełe
Sztuka spokojna nie harda
A figlów wyrabia wiele.
Dyrektor zwie nas trutniami
Malcom wydzicia kułaki
Trafia się jednak czasami
Że poskramia i ośmaki.
Nasz pop polski pasie brzuchem
Jest ogromnym, ma piwnice
Młynek puszcza z palców ruchem
Wino pije jak żetycę.
Zawsze pluje, ciężko sapie
Daje różne epiteta
Łysą pałę zwykle drapie
I z pewnością, nie asceta.
Raz nacharkał na podłogę
I gdy sobie spaceruje
Powalał śliną swą nogę
I zaraz nas zapytuje
„Co za szelma tu napluła
Czy kto widział bestya taka
A to jakiś psi dryszezuła
Zaraz wydać mi łajdaka“.
„Proszę księdza jeden rzeczce
Ślina co zwałała nogę
I po bucie jeszcze ciecze
Książd ją napluł na podłogę
Ten tak księdza skónfundował
Że raz wraz łysinę ostrze
I o Pawle nam tradował
Kiedy mówić miał o Piotrze,
Polskie w ósmej ma Terlecki
R, wymawia on z żydowska
W niższych ma też język grecki
Na czole mu, wieczna troska
A raz w domu rzekł w ogrodzie
Daj Marysko mi ryskała
Ten drab tutaj grządkom szkodzi
Potem głośno się przechwała
Że zgładził z świata podjadka.
Jego żonka tak nerwowa
Z czego słaba, to zagadka.
Nie odgadnie twoja głowa.
Profesorem jest Sznapega
Od łaciny i greczyzny
Wiecznie on po szynkach biega
W kieszeni zawsze goliznę
Ma, bo wódkę setnie pije
W szkole łukiem się zatacza
Słowem jak bezroga żyje
I nieraz w błocie się kacza.
Jego druchem jest Piweczyński
Ten u końcu, piwko goli
Wie że gdzieś istnieje reński

Lecz on piwo spijać woli.
Jest on od matematyki
Gęba jego papa ssąca
Uczy także i fizyki
W szkole wszystkich łokeiem trąca.
Trzecim listkiem koniczyny
Jest Bimbalski matematyk
Ten ubóstwia wszelkie płyny
Zwolennikiem jest pijatyk.
Czasem koniczyna miewa
Cztery listki, jest więc czwarty
Miodzicki też się zagrzewa
Pije bowiem całe kwarty,
Ma niemiecku w klasach wielu,
Uczy jak kałamarzewski
Co go pan Fiszer przedstawia
Więc tłumaczy na niemieckie
Co tylko po polsku wymawia.
Zoologię ma pan Żaba
Żaba to gimnastyk wielki
A choć istota tak słaba
I ona ma swe figielki
W piątę uczy o figurkach
A w innych o ptakach, żabach
O pływakach i o nurkach
O rakach, rybach i krabach.
Chociaż wie to każda baba
Choćby jaka była głupia
Prochu nie wynajdzie żaba
Ale on cierpliwość skupia,
Za mało mu Zoologii
Chciało mu się mędrkiem zostać
Wziął się więc do psychologii,
Aby więcej grosza dostać.
Raz, gdzieś het na kosaczowie
Gdzie gospodar hołdy składał
Niskie Jagellończykowi
A ten mu Wołoszę nadał
Tamto stanął pomnik nowy
Ku wiecznej ludu pamięci,
Tam nasz Żaba miał przemowę
A choć mu nie brakło chęci
Rzekł: Mmm szanowni rodacy
Nie pomilknę ja milezieniem
Że przodkowie, że polacy
Mmm, tu uciał i ze drzeniem
Nie mógł dalej z mową ruszyć
Więc się mowa zakończyła
Już się potem nie mógł puszyć
Że w oracyi jego siła.
Mówią, kiedy konia kuja
To żaba nogę nadstawia
Widać dobrze rozumują
Bo co wszystkich zaciekawia
Tę naturę miał nasz Żaba.
Kiedy posła wybierano
Chciał on wybrać Byka dr. a
Podczas kiedy głosowano
To jest wszyscy profesorzy
Na Blocha, żydów rabina
Z jednym źle a z drugim gorzej
Wie to i pani Żabina. —
Rozpisałem się za wiele
O tej żabie patryotycznej.
Suplentem jest u nas Ciele
Przyznam się że tak komicznej
Nie łatwo ujrzeć persony:

Kozia bródka, nos jak haczek
 A włos krótko obstrzyżony
 Przytem krótkowidz biedaczek,
 Gdy anapesty skanduje
 Lub greckie jamby wylicza
 Albo przykłady cytuje
 Mina jego tajemnicza.
 Raz nam w szkole opowiadał
 O ciekawym przypadku
 Bardzo na zepsucie biadał:
 „Wczoraj z moją anioleczką
 „Z Loncią chodziłem po sadzie
 „Ręka w rękę, przy jej boku
 „Gdy mi ona bródkę gładzi
 „Szuka blasku w moim oku
 „A w tem nagle za parkanem
 „Co to jest hi, hi, hi, słyszę
 „Ktoś z obmyślanym planem
 „Śmiechem przerwał lubą ciszę
 „Patrzę bliżej, to studenci
 „Leci, pędzi, żywo, szparko
 „Ledwie karku nie ukręci
 „Leci na złamanie karku,
 „Nie wiem co to był za ciołek
 „Co się hihem tam odbywał
 „Moja Loncia jak aniołek
 „Słodko przy niej czas upływał.
 Jan Karchoł od greckiego
 Ale że to człowiek mądry
 Więc z polskiego, niemieckiego
 Też rozumiał wszystkie jądry
 „A cóż to „rzecze“ ty błaznie
 „Co się tam śmiejiesz pod ławką
 „Ty mi urągasz wyraźnie
 „Obyś się zadławił czkawką“
 „Grikę pod ławę, niemieckie
 „Na ławę wyjąć do czarta
 „Na drugą godzinę greckie,
 „Szukajcie, trzydziesta karta.“
 „Pamiętaj, dzban wodę nosi
 „Pokał się nie urwie ucho.
 „Nikt mnie nigdy nie uprosi
 „Więc eicho siedzieć ty jucho
 „Siadaj Majer, siadaj Węda
 „A więc obydwa siadajcie
 I znowu dalej nasz zrzęda
 Mówi „do domu ruszajcie
 „Zgrzeblem oczyście swe cielsko
 „Bo brud z was już prawie kapie“,
 Innego znów przyjacielsko
 Wali z uśmiechem po łapie.

Ciuciu babka.

W małym pokoiku
 Wesoła zabawa
 Pełno śmiechów, krzyku
 Kolosalna wrzawa.

Ciuciu babka stara
 Gra, lecz zajmująca;
 Więc wesoło wiara
 Krzyczy, biega, trąca.

Właśnie pewien młodzian
 Z zakrytymi oczyma
 W fartuszek przyodzian
 Pompatycznie kroczy.

Szeleszczą sukienki
 On czuje pokusy
 Więc chwyta panienki
 I kradnie całusy.

Więc całuje młode
 Dziewczeta i hoże
 Lecz dzban wodę nosi
 Tak długo jak może.

A w tem stara ciotka
 Weszła tam przypadkiem
 Szuka swego kotka
 Chee przebież ukradkiem.

Lecz ją młodzian chwyta
 I uszczęśliwiony
 Cmoka „emeryta“
 W nos zatabaczony.

Dział ekonomiczny.

Eksploatacja torfu. P. Stanisław Dzbański, p. inżynier kolei państwowej, wydał obecnie ciekawą broszurkę, streszczającą jego wydatną działalność na polu eksploatacji torfu na polu eksploatacji torfu na gruntach krajowych w Dublanach. Jak wiadomo, p. D. przedstawił w r. b. swój memoriał, który był rozpatrywany przez członków komisji gospodarstwa krajowego, poczem Sejm uchwalił odpowiednią rezolucję, a Wydział krajowy powierzył p. D. eksploatację torfów dublańskich.

Po dokonaniu prac w czasie lata, udał się p. Dzbański następnie za granicę, celem baczniejszego tam studiów nad eksploatacją torfu.

Otóż, według dokonanych przezeń obliczeń w północnych i południowych Niemczech, dochodzi tam wartość roczna torfu wyrobionego na opał, ściółki itd. do pół miliarda marek: jest to wartość równa $\frac{1}{10}$ części kontyngencji, którą Francya zapłaciła Niemcom po wojnie 1870/91. W Galicyi mamy 200.000 morgów pokładów torfowych, nadających się do eksploatacji i nie ulega wątpliwości, że przemysł ten i u nas się rozwinie, przy poparciu kraju.

System, zastosowany przez D., ma na celu zmniejszenie kosztów produkcji, przez zastąpienie pracy ręcznej maszynową.

Ciekawem jest doprawdy, jak zagranicą umięją ciągnąć zyski z eksploatacji torfu, która u nas leżała dotychczas prawie odłogiem. I tak z Hamburga wysyłają produkty takie, jak ściółka, proszek, do wysp Kanaryjskich, Brazylii, Jadonii i t. d. Bremeńskie Tow. ekcyjne dla wyrobu ściółki sprzedano w r. 1893, około 3000 wagonów. W Niemczech istnieje 80 fabryk ściółki. Cała ta produkcja torfu wyrobionego wraz z opałowym wynosi ćwierć miliarda marek.

W Galicyi, niestety, nie posiadamy dotychczas ani jednej fabryki ściółki. Sprawozdanie, jakie p. Dzbański przedłożył Wydziałowi krajowemu, z ostatniej swej podróży zagranicę, podjętej własnym kosztem, zasługuje na uznanie i skłonić powinno decydujące koła krajowe do poparcia tak ważnej i wiele dla kraju korzyści obiecującej gałęzi gospodarstwa krajowego.

KRONIKA.

Sezon łyżwiarski wre w całej pełni — spragnieni tego sportu — już narzekali na zgniałą zimę — tymczasem mróz się ustalił od Świąt. — W parku bar. Romaszka znajduje się tor ślizgawkowy urządzony przez p. Łuczyńskiego — tor nie zły ma jednak jedną wielką wadę, a tą jest znaczne oddalenie od miasta. Prawdziwa to szkoda że nie przyszła do skutku ślizgawka w zarządzie „Sokoła“ w Stanisławowie w Śródmieściu. — Teraz zapewne posypią się festyny i inne zabawy na lodzie. A zatem ślizgajmy się.

Na ulicy Sobieskiego zamienił Magistrat stare okrycie studni a właściwie wydrażony zbudowały drogę na elegancką budkę — która nie tylko oka nie razi — ale przeciwnie ozdabia ulicę. — Gdyby tak św. magistrat zechciał być konsekwentnym i innych ulic nie traktował pomacoszemu, toby wszystko było dobrze. — Może nareszcie doczekamy się że dwie ohydne studnie na ulicy Zosina Wola, prawie na trotoarze stojące i wieczne błoto na nim tworzące zastąpione zostaną studniami takimi jak ta nowa na ul. Sobieskiego.

Opłatek: 22 Grudnia, odbył się wspólny opłatek w Tow. muzycznym im. Moniuszki. Członkowie z paniami zgromadzili się dość licznie po 11 godz. w południe. Przy opłatku życzone sobie i towarzystwu serdecznie, wznoszono wiele i pięknych toastów a posilwszy się wyborną zastawą odszedł każdy zadowolony z mile spędzonych chwil.

Dnia 23. Grudnia o g. 7 wieczorem zgromadzili się członkowie Sokoła nader licznie w górnej sali na wspólny opłatek. — Wybitne osobistości naszego miasta z czcigodnym ks. Infułatem na czele, zasiadły miejsca honorowe — reszta grupowała się dalej przy olbrzymim stole w podkowie ustawionym. — Toasty były liczne i bardzo piękne a już najpiękniejszy druha Świątkiewicz, bo z serca i przekonania płynący i z przejęciem wypowiedziany. Po opłatku zeszła drużyna sokoła na dół do sali ćwiczyć.

Na dniu 10. stycznia 1896, w dniu śmierci p. Mendla Weingartena, odbędzie się w sali tutejszego magistratu wylosowanie 500 zlr. jako posag ubogiej dziewczyny z rodziny testatora.

Bal. Pierwszy w tym karnawale daje pożyteczne i ruchliwe Towarzystwo Dam dobroczynności pod protektorem najprzewielebniejszego ks. biskupa Kułowskiego i Jej Ekscelencji z ks. Schwarzenbergów hr. Lamberg im. Moniuszki.

Nie wątpimy że bal ten pod każdym względem będzie pierwszym w tym sezonie i co do świetności i co do zabawy.

Na czasie. Obecnie gdy się mamy bawić — pomyślemy i o tych którzy się bawić nie mogą i o Towarzystwach które wspierać jest naszym obowiązkiem. — Proponujemy zatem urządzającym wieczorki i zabawy by zamiast orderów kocyliowych sprzedawano u wstępu do sali — okrągłe kartoniki ze szpilką z napisem: Tow. szkoły ludowej, Fundacya Kościuszki, Budowa pomnika Mickiewicza w Stanisławowie i t. p.

lub dla biednych. — Takie same mogą być karnety — a nawet bukiety można w ten sposób zastąpić. — Będzie to ułile eum dulci a zabawy nie umniejszą.

Wydział krajowy udzielił między innymi w całym kraju następujące stypendya uczniom szkół średnich stanisławowskich Gimnazjum: Bolesław Maryan Stanisław Zieliński 157 złr. 50 ct., Władysław Kozicki 157 złr. 50 ct., Gustaw Schweiner 50 złr. Szkoła realna; Wiesław Edmund Bączalski 157 złr. 50 ct.

Konsekracya ks. Webera na biskupa sufragana odbyła się 29 Grudnia p. r. w katedrze lwowskiej.

Nekrologia. Jan Kromp, dyrektor urzędu pocztowego, zmarł we Lwowie w 55 roku życia. — Sp. Jan Kromp, znanym był z jak najlepszych stron Stanisławowianom — będąc bowiem przez parę lat starszym zarządcą tutejszego urzędu pocztowego — jako dobry przełożony i obywatel jak najlepszą po sobie zostawił pamięć — gdy został powołany na wyższą posadę — to też powszechny żal najlepszym jest wyrazem jak był lubianym.

Cześć jego pamięci.

Gremium drukarzy lwowskich zwołało na 5 Stycznia do sali ratuszowej pierwszy zjazd właścicieli i zarządców drukarni, który miał położyć tamę wzrastającym wciąż żądaniom cecerów w kierunku podwyższenia zarobku. — Celem sięgnięcia na zjazd jak największej liczby uczestników, wydało gremium charakterystyczną odezwę w której cytuje zdanie berlińskiego „Vorwärts“ wedle którego ośmiogodzinny dzień pracy jest najbliższem, ale nie ostatniem żądaniem robotników i dochodzi do wniosku, że ostatecznem dążeniem cecerów lwowskich jest „nie nie robić, tylko brać pieniądze“ Zjazd miał także na celu zaprowadzić t. zw. „klasy płatności“ i do każdej z nich przydzielić pewne miasta prowincjonalne — oraz utworzyć związek drukarzy galicyjskich.

O rzeziach w Armenii. „Köln. Ztg.“ zamieszcza opis naocznego świadka, z niego wynika, iż twierdzenia tureckiego rządu, jakoby rozruchy wywołane były przez Armeńczyków, są nieprawdziwe. Naoczny ich świadek, prawdopodobnie kupiec z zawodu, tak je opisuje:

Interesy moje powołały mnie na początku listopada do Siwas. Już nadchodzący zewsząd wiadomości o rzeziach w głębi kraju, więc przyspieszyłem mój wyjazd z tej okolicy, pełnej niemiłych wrażeń. W Diarbekirze, dość znacznem mieście, położonem nad Tygrysem zamordowano większą część chrześcijan, spaliwszy potem miasto. W Malacji, oddalonej 40 godzin drogi od Siwas wymordowano większą część chrześcijan płci męskiej, liczących wyżej lat 15, a bandy Kurdów, burzyły tymczasem wsie armeńskie, położone na granicy prowincyi; liczby ofiar padłych pod mieczem tych barbarzyńców nigdy zapewne nie będzie można dociec, lecz wynosi ona prawdopodobnie wiele tysięcy.

Dnia 13. listopada zamierzałem pójść się w podróż z powrotem do Sam sun u i czyniłem właśnie przygotowania do tej podróży, gdy naraz usłyszałem w pobliżu strzały, równocześnie nadbiegł mój gospodarz, krzycząc głośno, że Turcy zaczęli mordować chrześcijan. Spojrzałem przez okno i zauważyłem wielki popłoch wśród ludności; wszystko uciekało z największym pośpiechem do domów. Za temi tłumami biegli sołci, uzbrojeni w kije, noże i rewolwery, dalej uzbrojeni żołnierze, zabijając każdego Armeńczyka, który nie zdążył schronić się do domu. Widok tej rzezi był okropny. Na ulicy przed moim oknem, leżało już kilka trupów, po większej części z rozplataną czaszką. Ale miało być jeszcze gorzej. W tym pierwszym dniu wynosiła liczba ofiar zapewne 150 do 200; liczba ofiar zapewne byłaby

prawdopodobnie większą, gdyby Turcy nie zabrali się byli do rabowania bazarów armeńskich.

Na drugi dzień rano panowała w mieście cisza i duszność; jak przed burzą. — Ulice były puste, raz po raz padały strzały, to znów zapadła cisza. Po południu napłynęło się miasto włościanami z okolicy: Turcy, Kurdowie, Szirwani przebiegali ulicę, zaopatrzeni w broń różnego rodzaju, z groźbą w oczach, żądni łatwej zdobyczy i pragnący krwi chrześcijan. Łatwem byłoby wzbronić tym bandom wstępu do miasta, gdyż cały pułk piechoty stoi załogą w Siwas, ale nikt się nie ruszył. We czwartek rano obudziła mnie żywa strzelanina, lecz rozpoczęła się znowy, tylko w ohydniejszy jeszcze sposób i w większych rozmiarach. Wkraczano przemocą do domów, wyciągano Armeńczyków i mordowano ich przed drzwiami z zimną krwią. Na innych, którzy usiłowali ratować się ucieczką, urządzano prawdziwe oblawy. „Na pohybel psu chrześcijańskiemu“, zabił tego „giaura“, krzycząc zewsząd, dopóki biedna ofiara nie padła pod kijami sfanatyzowanego tłumu. Wielu zabitych zeszpocono potem jeszcze całkowicie. — Wszystko, co znaleziono po domach uważano za zdobycz.

W sobotę, po poprzednim upomnieniu się konsula francuskiego i amerykańskiego w Konstantynopolu, wdało się wojsko w sprawę i oczyściło miasto od tych żądnych krwi band rozbójniczych. Podczas tej rzezi zabito 1500 Armeńczyków, zrabowano i zburzono ich sklepy i towary, nawet większą część domów tak, że wielu w ciągu zimy padnie ofiarą nędzy. Ze strony Turków poniosło śmierć tylko 7 ludzi, a pomimo to będzie rząd turecki także w tym przypadku twierdził, że rzeź wywołali Armeńczycy.

Miałem wielką ochotę wynieść się coprędzej z tego przekłętą miasta, ale bandy rozbójnicze, wyparte z Siwas, udały się do wsi, położonych w okolicy, a drogi były niebezpieczne; z tego powodu rząd turecki nie zezwolił na mój wyjazd. Musiałem czekać aż do 25. listopada; wreszcie przydano mi 4 żołnierzy do obrony. Natychmiast udałem się w podróż przez Tokat i Amazję do Samsun. Wzdłuż drogi z Siwas do Tokat leżało może jakich 200 zabitych Armeńczyków, którzy najwidoczniej usiłowali ratować się ucieczką; niektóre ciała pożyrały psy dziko żyjące. Wsie armeńskie, położone w dość znacznej liczbie wzdłuż drogi, tworzyły pogorzelska; ludność poniosła częścią śmierć, częścią schroniła się w góry, gdzie zapewne uciepiała bardzo od srożej zimy, która daje się już we znaki.

Miasto Tokat zawdzięcza tylko stacjonowanemu tam generałowi Mustafie paszy, że nie spotkał go ten sam los — generał obronił miasto przed rzezią, nakazawszy wojsku rozprysnąć bandy rozbójników.

W pobliżu Amazji ujrzałem znów ciała zabitych, leżące tuż przy drodze; jedno było bez głowy, a psy i szakale poobgryzały już prawie wszystkie mięśnie. Także tutaj padło przed tygodniem 140 ludzi ofiarą sfanatyzowanego pospólstwa; gdyby nie bohaterska działalność gubernatora Bekira baszy, byłoby tutaj lepiej nie poszło, niż w Siwas. W największym natłoku bronił on chrześcijan, a niewiele brakowało, że byłby sam także śmierć poniósł, 20 karabinów skierowało się na komendę oficera w jego pierś, z okrzykiem: „On broni giaurów, on sam jest giaurem! na pohybel mu!“ Tylko szybkości swego konia zawdzięczał basza ocalenie życia.

Oddalone o 8 godzin od Amazji, leży kwitnące miasto Mersiwan, liczące około 20.000 mieszkańców. W tym samym czasie, co w Amazji, odbyła się także rzeź, tylko z tą różnicą, że tam 300 Armeńczyków pozbawiono życia. Ani w Amazji, ani też w Mersiwanie nie zabito ani jednego Turka. Oba miasta zrabowano.

Przybywszy do Samusu, zastałem wszystkie sklepy Armeńczyków zamknięte. Także tutaj spodziewano się co chwile jak najgorszych zająć, ale stojący w porcie rosyjski okręt wojenny, zdaje się imponował pospólstwu tureckiemu: dlatego też panuje tam tymczasowo spokój.

Wszystko, co przeżyłem, wydaje mi się snem przykrym. Opuściłem kraj, po którym podróżowałem od lat wielu, a który znałem kwitnącym; kraj ten, który robił na mnie zawsze wrażenie, jakoby oczekiwała go wielka przyszłość, pożera teraz okropna anarchia, a wszędzie widać walące się mury, krew i nędzę.

Dyskretya lekarska ze stanowiska prawnego i estetycznego. Skreślił dr. E. Sonnenberg. (Warszawa 1895, str. 16.) — W tej małej broszurce, stanowiącej odbitek z *Medycyny* warszawskiej poruszył autor jedną z najdrażliwszych kwestyj praktyki lekarskiej. Prawodawstwo wszystkich krajów zapatruje się na tę kwestyę jednomyślnie: lekarz nie ma prawa zdradzać tajemnic choroby swego pacjenta, w przeciwnym bowiem razie ulega odpowiedniej karze. Lekarze istotnie przestrzegają bardzo pilnie tego przepisu. Tymczasem życie nasuwa pod tym względem tysiące najgorszych wątpliwości. Dr. Sonnenberg przytacza następujące sytuacje: W szpitalach nad łóżkiem chorego zawieszono są tablice, na których wypisuje się rodzaj choroby — każdy zatem odwiedzający może dowiedzieć się tajemnicy choroby. Na fabrykach prowadzi się kontrola zdrowia robotników, do której może zaglądnąć każdy oficyalista. Przy ubezpieczaniu się na życie lekarz wypełnia szczegółowo szemat zdrowia i szemat ten dostępny jest agentowi i urzędnikom towarzystwa ubezpieczeń. Złe to jest cierpienie i stanowi jakby wyjątek z praw dyskrety. Ale co ma robić lekarz, gdy musi zachować tajemnicę, a tymczasem tu właśnie dyskretya może spowodować opłakane następstwa? Dr. Sonnenberg przytacza takie możliwości: Ktoś zwraca się do lekarza z zapytaniem, czy zdrow jest młodzieniec pragnący się żenić z córką zapytującego. Jedni lekarze na takie pytanie wcale nie odpowiadają, drudzy okólnikowo odradzają związku małżeńskiego, inni wreszcie wybierają drogę fortelu, np. radzą skierować młodzieńca do towarzystwa ubezpieczeń na życie. Albo co ma robić lekarz, do którego zwracają się piekarz, maszynista, kucharz, akuszerka, felczer z oznakami przymiotu? Wszak osoby takie mogą zarazić mnóstwo ludzi, jeśli dalej będą uprawiać swój fach, a lekarz tymczasem musi milczeć. Wobec powyższych ewentualności dr. Sonnenberg domaga się zmian w istniejącem prawie, a mianowicie nadania lekarzom prawa, zdradzania w pewnych razach tajemnicy pacjentów, gdy zachodzi obawa zarazy innych osób.

Dr. Sonnenberg pragnie, aby kucharzy, piekarzy i t. d. w pewnych odstępach czasu oglądano z urzędu; aby przy zawarciu małżeństwa obok innych dokumentów wymagano także świadectwa zdrowia. Innymi słowy, pragnie dr. Sonnenberg interwencji państwa w szerokim zakresie. Nam się zdaje, że należałoby raczej rozpowszechniać znajomość higieny i wpływać na umoralnienie jednostek, inaczej, pomimo najbardziej urzędowego świadectwa, może się okazać, że piekarz albo współmałżonek nie są w pożądanym zdrowiu.

Nonopol tytoniowy ma być zaprowadzony w Rosyi. Donoszą o tem dzienniki moskiewskie.

Kartel austriacko-węgierskich rafinerów cukru w Pradze uchwalił podnieść ceny rafinady o pół guldenu, z powodu podrożenia surowego cukru.

Jubileusz szczepienia ospy. W dniu 14. maja b. r. upływa sto lat od wynalezienia sposobu szczepienia ospy ochronnej. Celem uczczenia tego jubileuszu rosyjskie Tow. hy

gieny ludowej ogłosiło konkurs na napisanie dzieła o szczepieniu ospy.

Dyrekcja kolei państwowych donosi:

Z dniem 1 stycznia otwiera się przystanek kolejowy „Rożanka“ położony w klm. 59.4 na szlaku Stryj Ławoczne, między stacyami Tuchlą i Sławskiem, dla ruchu osobowego i pakunkowego. Bilety jazdy wydawane będą w przystanku. Pakunki przyjmowane będą do przewozu za opłatą w stacji odbiorczej. Pociągi osobowe nr. 1711, 1712, 1713 i 1714, zatrzymywać się będą w przystanku Rożanka bezwarunkowo i odjeżdżać będą z tegoż przystanku; pociąg nr. 1712 o 7 godz. 35 min. wieczór, pociąg nr. 1713 o 12 godz. 4 min. w nocy i pociąg nr. 1714 o godz. 49 minut rano.

Teatr, literatura i sztuka.

Teatr. Wszystkie sztuki wystawione w ostatnich dniach dziesięciu świetnie wypadły. — Nie będziemy rozbiierać szczegółowo pojedynczych sztuk — bo to rzeczy znane, ani gry poszczególnych artystów imiennie — z wyjątkiem chyba najlepszych. — Choć sztuki grane jak powiedzieliśmy są znane, nie mówimy przez to że nie należało ich wystawiać — owszem wolimy — znane a dobre, niż nieznanie a lichie.

Największe wrażenie na prawdziwych znawcach sztuki musiały zrobić „Zbójcy“ Młodzieńcze a nieśmiertelne dzieło króla niemieckich poetów Schillera — znalazło na naszej scenie godnych wykonawców. — Wszyscy ale to wszyscy grali tak, że już chyba lepiej nie można bo i ojciec Mohr i obaj synowie Karol i Franciszek i Mmalia, grali znakomicie, porywając swą grą — nielicznych co prawda spektatorów — ale cóż począć gdy u nas niestety Tingl-tangl lub tłusta operetka jedynie na sukces liczyć mogą. — Na „Biednej dziewczynie“ byliśmy pod wrażeniem niedawno dawanej tej samej sztuki w teatrze p. Myszkowskiego, nasz teatr wyszedł zwycięsko, choćby już tylko dla tego że p. Wiśniewska była daleko lepszą niż tam p. Rad. chociaż tamta jest artystką nie małą. — „Dwaj złodzieje“ ku uciesze t. zw. niedzielnej publiki, wywoływały szczery uśmiech na oblicza publiczności a już pan Hermann był nieporównanym — a w sypaniu udatnych kupletów niewyczerpanym.

Uroczysty Wieczór Fredrowski „odludki i Poeta“ Fredry ojca, „Piosnka Wujaszka“ Fredry syna nowość „Stowarzyszenie kobiet wyższych“ Fredry Wnuka.

Pod Kolumną Zygmunta Aurelego Urbańskiego dramat w 5 akt. osnuty na tle wypadków warszawskich w roku 1861. „Dwaj Złodzieje“ wodewil w 5 akt. z fzanckiego.

W przygotowaniu słynna opera Kurpińskiego p. t. „Bojamir i Wanda“. Dyrekcja nabyła interesujące „Kaska Karyatydą“ Gabryeli Zapolskiej „Syn“ najnowsza komedia Zalewskiego.

Nadesłane!

Wyawnictwo groszowe Imienia T. Kościuszki.

W setną rocznicę bohaterstwa ludu rozpoczęliśmy w Imię Boże pracę zaiste wielce po-

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Mieczysław Jelita Czerkawski.

trzebną, podjęliśmy pod hasłem: Niech żywi nie tracą nadziei“ prowadzić dalej wydawnictwo dwucentowe pp. Sew. Udzieli i St. Pallana, nadając mu imię największego przyjaciela i obrońcy ludu, imię „Naczelnika“ w siermiędze. Do pracy tej zabraliśmy się pełni silnej wiary, że uczciwa sprawa zwyciężyć musi, że społeczeństwo nie da jej upaść. I nie zawiedliśmy się zupełnie, bośmy zdołali wydać książeczek w łącznej liczbie 75 tysięcy egzemplarzy, z czego już większa połowa wydostała się z ciasnych pak na jasny świat Boży.

A jednak gdyby to poparcie było większe, ogólne, moglibyśmy daleko więcej na tem polu zdziałać, wydawalibyśmy książeczki regularnie, co miesiąc, ulepszałibyśmy wydawnictwo, zwiększając je i zdobiąc licznymi obrazkami bez podwyższenia ceny.

Nie mamy tu na myśli poparcia za pomocą jakichkolwiek datków pieniężnych, tych stanowczo przyjąćbyśmy nie mogli, prosimy tylko o zakupowanie i szerzenie naszych wydawnictw w jak najszerszych kołach; a przecież 5 cent. w miesiącu bardzo wielu może ofiarować na oświatę bez uszczerbku.

Książeczki nasze wydajemy w znacznie większym formacie, niż w seryi I i obejmujące zwykle więcej arkuszy druku; stosownie do tego cena ich wynosić będzie od 2 do 5 centów.

Dotychczas wyszły z druku w seryi II:

1) K. Wojnar: **O Naczelniku Kościuszcze** (wyszła w dwóch wydaniach w liczbie 20.000 egz., stronie 36) cena 5 cent.

2) **Pieśni narodowe** (przeszło 40 najpiękniejszych pieśni patryotycznych. Po nadspodziewanie szybkim wyczerpaniu pierwszego nakładu w liczbie 15.000 egz., zarządziliśmy drugie poprawniejsze wydanie w liczbie 10.000 egz.) cena 4 cent.

3) Zycha: **Do swego Boga. Gryfa: Do swoich** (dwie śliczne powiastki, osnute na tle prześladowania katolików przez moskali) i Aleks. Krasickiego: **Ojczyzna** (wiersz. Na okładce wiadomości o zbrodni moskiewskiej w Krozach) cena 4 cent.

4) Ks. S. J. P.: **Żywot i czasy św. Jacka**, Patrona Polskiego, Apostoła Słowian, na pamiątkę 300-setnej rocznicy Jego kanonizacji (zawiera prócz życiorysu świętego Patrona, historię polską z tych czasów a szczególnie ówczesną gospodarkę Krzyżaków i w ogóle Niemców na ziemiach polskich; na końcu litania i pieśni do św. Jacka na okładce prześliczny wiersz Maryi Konopnickiej: **Chodziły tu Niemce chodziły odmienne**, stronie 40) cena 5 cent.

Wartość tych dziełek i szlachetną tendencję służenia dobrej sprawie podnosiły niejednokrotnie prawie wszystkie gazety polskie i jak najgoręcej je polecały.

Obecnie wyszedł już z druku zapowiadany ilustrowany **kalendarz rolniczy Jana Biedronia na rok 1896** p. t.

„GOSPODARZ“

w cenie 25 cent., z przesyłką 30 cent.

Jeśli od tego odliczy się 6 cent. na stempl kalendarzowy, to każdy egzemplarz, zawierający 10 arkuszy druku (160 stron) większej ósemki, t. j. w formacie niniejszego ogłoszenia, prócz inseratów — oddajemy właściwie za 19 ct.,

więc stosunkowo najtaniej, gdyż za arkusz nawet 2 cent. nie wypada najlepiej i najtaniej zamawiać zbiorowo przynajmniej tuzin kalendarzy przez pocztę (za pośrednictwem Redakey Nowin Stanisł. w cenie niższej o 10%) pojedyncze zaś egzemplarze markami pocztowymi w liście lub przekazem. — Przy zamówieniach od 2 zł. wydawnictwo ponosi koszt przesyłki a przy większych daje odpowiedni rabat od 10% do 25%. Treść jest nadzwyczaj ciekawa prócz części kalendarzowej, przepisów pocztowych, telegraficznych, stemplowych i tym podobnych informacyjnych przeszło 20 artykułów, z których ważniejsze podajemy: K. Wojnara: 1) **Trzeci rozbiór Polski** z rycinami Kilińskiego i Głowackiego i 2) **Wyleczka na Wystawę krajową we Lwowie** z 4 widokami: 3) J. Biedronia **Kilka uwag o zużytkowaniu produktów mleczarskich przy wypasie cieląt i świń**; 4) **Rolnictwo na Wystawie krajowej**; 5) J. Brzezińskiego: **O sadzeniu drzew owocowych**; 6) **Gospodarstwo domowe**; 7) **Związek handlowy „Kółek rolniczych“**; 8) **O prowadzeniu rachunków w gospodarstwie włościańskim**; 9) **Cieżarność zwierząt domowych**; 10) **O prawem nabywaniu własności**.

Również obfitym i nadto, wyborowym jest dział powieściowy i poezji. Pierwsze miejsce zajmuje opowieść z życia ludu przez Sewera (I. Maciejewskiego), jednego z najznakomitszych naszych powieściarzy, p. t. **Sieroca dola**; ciekawym jest także **Skrzypek**, tłumaczony z czeskiego przez wielce zasłużonego na polu oświaty ludowej Sew. Udzieli; żywo i barwnie nakreślił **Zygmunt Niedzwiedzki**, utalentowany młody nowelista, wielce pouczający obrazek wiejski p. t. **Gnojek**. Całości dopełniają bardzo piękne wiersze a ku rozweseleniu służą liczne żarty.

„Gospodarza“ wraz z 4 wyżej wymienionymi książeczkami wyślemy oplatnie za 1 koronę (50 cent. Po nadesłaniu kwoty 2 złr. 86 cent. wyślemy 12 egzemplarzy kalendarza, zamiast 10.

Zamówienia ze wsi najlepiej przysyłać wspólnie, bo wtedy przesyłka kosztuje znacznie mniej.

W drugiej połowie grudnia b. r. wyjdzie książeczka p. t. **W setną rocznicę 3go rozbioru Polski**; zawierać będzie najmniej 3 arkusze druku i kilka obrazków, a cena będzie tylko 5 cent. Prawdopodobnie wydamy też oddzielnie obszerniejszy (niż w kalendarzu) opis **Wystawy** w tej samej cenie.

W druku większy zbiorek.

„Pieśni narodowych“

z nutami do śpiewu i na fortepian: całość obejmować będzie około 150 pieśni patryotycznych i ludowych. Zbiorek ten opracowuje wielce utalentowany i znakomity kompozytor p. M. Świerzyński, autor „Kantaty Kościuszkowskiej“, „Willi św. Andrzeja“ i wielu innych utworów muzycznych. **Cena w drodze prenumeraty wynosi tylko 1 złr.**, po wyjściu zostanie podwyższoną. Prenumeratę przyjmuje się do 15. stycznia 1895.

Wszyscy życzliwi naszemu „Wydawnictwu groszowemu“ zechcą nam podać swoje adresy, a objaśnimy ich listownie, w jaki sposób mogą wesprzeć nasze usiłowania.

Dr. Zygmunt Kostkiewicz
(w Krakowie, ul. Szewska 6.)

Z drukarni L. Arbaszewskiego we Lwowie.

NOWINY STANISŁAWOWSKIE

Czasopismo ekonomiczno-społeczne.

Wychodzi 3 razy na miesiąc, każdego 1., 10. i 20.

Adres Redakcji i Administracji: ulica Trzeciego Maja 1. 24.

Prenumerata
miejscowa i zamiej-
scowa wynosi rocznie
3 złr. 60 ct., półrocz-
nie 1 złr. 80 ct., kwar-
talnie 90 ct.

Numer pojedynczy
10 centów.

Inseraty:
od centimetra wyso-
kości w kolumnie 10
cent. Kwadraty humo-
rystyczne 50 ct. W
rubryce „Nadesłane”
10 ct. od wiersza.
W przewodniku 10
ct. od wiersza.

Kalendarz: 1. Ignacego biskupa. 2. NPM. GROM.
3. Błażeja biskupa. 4. Weroniki panny. 5. Agaty panny
m. 6. Doroty panny. 7. Romualda opata. 8. Jana z
Matty. 9. Mięsopest. Apol. 10. Schol. styki panny.

Zawody.

Począwszy wydawać nasze czasopismo dalekimi byliśmy od mniemania, że stapać będziemy tylko po różach, wiedzieliśmy że i ciernie na naszej znajdują się drodze. Uznanie dotychczasowe i poparcie ze strony P. T. Publiczności, były nam nagrodą za trudy — musieliśmy jednak poznać i odwrotną stronę medalu spotkały nas zawody.

Przyszedłszy do przekonania że w interesie naszym leży drukowanie czasopisma po za obrębem naszego miasta — udaliśmy się z tem do kilku drukarni.

Ponieważ drukarnia p. Arbaszewskiego we Lwowie podała najkorzystniej-

szą ofertę — posłaliśmy tam dni parę przed Nowym Rokiem manuskrypta — zawiadamiając drukarnię że tam drukować będziemy.

Gdy jednak drukarnia owa ani na czas, ani później numerów z dnia 1. i 10. Stycznia nie nadesłała i niczem tego nie usprawiedliwiła, mimo wzywania pisemnego i telegraficznego, Redakcja wytoczywszy p. Arb. proces o odszkodowanie finansowe i podkopanie powagi pisma — bo strata moralna w tym wypadku jest znacznie większą, niż finansowa — udała się do drukarni p. Jana Bruka i Spółki w Kolumny, gdzie odtąd „Nowiny stanisławowskie” drukować się będą a że wychodzić będą regularnie za to ręczy firma znana p. Bruka.

Tyle mieliśmy do powiedzenia by czytelnicy nasi prawdę poznali a naszym prenumeratorom owe dwa numery odliczymy,

Redakcja.

Recepta ks. Bismarka przeciw socyalnej demokracji.

Książę Bismark doszedł już do tego punktu starości, w którym następuje dzieciństwo. Ale gdy u innych ludzi dzieciństwo jest snem słodkim i dobrotliwym, drapieżna natura ks. kanclerza w tej zamkowej swej fazie wyszczerza kły dzikich instynktów. Kto nie wierzy, niech przeczyta jeden z ostatnich numerów *Hamburger Nachrichten*, jak wiadomo, czerpiących we wszystkim swe inspiracje, z Friedrichsruhe. Podano tam „nowy sposób przeciwko socyalnej dewokracji”, zmierzający do tego, by pozbawić ją wszelkich praw przez założenie „listy podejrzanych”.

Recepta ta nadzwyczaj prosta: „Kto nie przyczynia się do stawiania tamy przeciwko powodzi, — pisze cytowany organ — ten też nie powinien korzystać z dobrodziejstw takiej tamy, tem

Przechadzki po mieście.

(Ile czytelnicy stracili. — Kurjer nie ma nosa. — Coś dla antysemitów).

Czytelnicy „Nowin stanisławowskich” nawet się nie domyślają ile stracili przez nie wyjście numeru z 1. i 10. b. m.

Przedewszystkiem stracili dwie przechadzki po mieście a szkoda — zwłaszcza ciekawym nader był artykuł o p. Nelinie, p. Nelin stracił na rozgłosie a pp. Czytelnicy zawsze jeszcze nie wiedzą, jaki to wielki człowiek z p. Neliną, być może jednak, że w przyszłych „Przechadzkach” z manuskryptów przeznaczonych do tamtych numerów, umieszczę specjalnie artykuł o p. Nelinie. — Brukowo-magistrackie piśmko tutejsze t. zw. Kurjer — wydrukowało w jednym z swych numerów, że jak to było do przewidzenia „Nowiny stanisławowskie” nie doczekawszy kwartału przestały wychodzić. Jedno tylko nie było do przewi-

dzenia, mianowicie, że Kurjer jeszcze i w tym roku myśli dalej wychodzić, biedny Stanisławów! Ha! trudno głupstwo tak łatwo nie ginie a kakol się pleni.

Nikt nie wymaga od takiej Redakcji, jak Kurjera, wielkiej wiedzy literacko-dziennikarskiej — nie potrzebuje go wydawać fachowiec, wystarczy kto bądź — ale Redakcja nie mająca nosa — to nonsens, przecież ów Kurjer oprócz plotek i tak nic innego nie pisze, niechżeś te plotki będą przynajmniej prawdziwe — ale jeśli poczniesz z swego kurnika same takie kaczkę i kaczkę wypuszczać jak owa nowina, że „Nowiny” przestały wychodzić i tych trochę prenumeratorów straci, no i wtedy nareszcie uwolni Stanisławów od siebie.

Umiem czytać między wierszami zwrot, „nie doczekawszy kwartału”, wygląda jakby „Nowiny” pobrawszy prenumeratę — dają nūrka ze szkoda tych co zapłacili. No, no, pomalutku, nie wszyscy kierują się zasadami

tych, którym sprawa sedelmajerowska spać nie daje.

Ale przejdźmy już od brudów i śmiecia do czegoś jaśniejszego.

Chodząc po mieście wstąpiłem do kramiku żydowskiego, by sobie kupić papierosa. W mej obecności wpadł mały żydek do sklepu i coś matce-kupcowej szepnął na ucho. Kobieta załżała się łzami i w niemej rozpacz, błędnie na mnie wytrzeszczyła oczy. Spytałem się jej, co się stało. Wśród łkania rzekła mi, że lokator jej biedny nauczyciel ludowy, osierociwszy sześciu drobnych dzieci, zmarł na suchoty. Aha! pomyślałem sobie pewnie parę miesięcy zalega z komornem i pocziwa kupcowa tak płacze za straconymi pieniędzmi. — „Nie ma czego płakać” powiadam — może wdowa odda a może... „Nie potrzebuje mnie pan obrażać” rzekła — nie o pieniądze mi chodzi. — Ja się z nim wychowałem razem — my z jednej wsi, on syn nauczyciela a ja córka arendarza,

mniej korzystać z niej ma prawo ten, kto wyraźnie oświadcza, iż oczekuje pojawienia się fal rozruchanych. Aby oddzielić nurtujące w niemieckim społeczeństwie dwa prądy, a mianowicie obóz porządku społecznego i obóz socjalnej demokracji, potrzeba przede wszystkim, by rząd założyć kazał w każdej gminie autentyczne rejestry osób Ignących do tego obozu.

Rzecz to nie tak trudna, jak z pozorów ją dziś by uważano, jeśli do owych list wpisywać się będzie osoby, które same, jak posłowie, redaktorowie, mowcy, wyborcy i i. p. przyznają się do zasad socjalno-demokratycznych. Każdemu z wpisanych w taką listę należałoby odebrać czynne i bierne prawo wyborcze, a sądzymy, że z czystym sumieniem możnaby go wyłączyć także z pod opieki państwa, przeciwko któremu sam przecie powstaje“.

Nie myślimy bynajmniej stawiać w obronie socjalnej demokracji, która jest nam równie nieprzychylną, jak ks. Bismarkowi; ale środek proponowany przez *Hamb. Nachr.* jest policzkiem wymierzonym wiekowi XIX., który jako chlubę swą podnosi dążenia do postępu i swobody.

Kronika.

Wspierajmy Teatr Polski im. Aleksandra hrabiego Fredry.

Nekrologia. Flisowski żołnierz walki o niepodległość z r. 1863 zmarł w mieście naszym.

gdyby mi własne dziecko umarło nie mogłabym tej straty ciężiej odczuć — a co ona pocznie z tym drobiazgiem, bez pensyi, bez zaopatrzenia — aj! Boże, Boże czemu tek doświadczasz tych biedaków — i znowu zalała się łzami. Mnie samemu oczy wilgotnieć zaczęły, wyszedłem więc co prędzej. Nazajutrz pod protekstem kupienia papierosa — wstąpiłem znowu do tego sklepiku, ot z ciekawości i czego byłem świadkiem? Któryż chrześcianin wyznający zasady miłości bliźniego uczynił, by to, co uczyniła ta żydówka. Sama biedna na własny koszt zajęła się uczciwym pogrzebem — wdowę z dziećmi na ten czas wzięła do siebie do końca roku a był to styczeń, pozwoiliła mieszkać bezpłatnie i dwoje najmłodszych dzieci wzięła całkiem do siebie — mówiąc: »te małe

Na cmentarzu ewangelickim w Wilnie, pochowano przywiezione tam zwłoki zmarłego na wsi sp. Hipolita Puttkamera, inżyniera i właściciela dóbr Korelicz w powiecie nowogrodzkim. Sp. Puttkamer, był wnukiem Maryli Wereszczekawny, niegdys ideału Adama Mickiewicza.

† **Ks. Andrzej Mazurak**, dziekan i infułat lwowskiej kapituły, radny miasta Lwowa, po długiej słabości, zasnął wczoraj w Bogu. S. p. Andrzej Mazurak urodził się w r. 1831, w Kamionce Wołoskiej. Młodzieńcem o własnych siłach szedł przez świat; zrazu studiował filozofię, biegając za lekcyami, a przez wakacje guwernerując, aby uezierać sobie na czesne. Do seminarium wstąpił dopiero później, już jako ukończony filolog. Z postacią sp. ks. Mazuraka, łączą się dla wielu miłe wspomnienia z ławy szkolnej — wielu też z uczęszczających po r. 63. do gimnazjum Franciszka Józefa, pamięta zawsze łagodnego, zawsze wyrozumiałego katechetę ks. Mazuraka. Cieszone się, gdy wstępował na katedrę, słuchano tem uważniej, że wówczas mowa polska, od niedawna mająca obywatelstwo w niemieckich dotąd szkołach, miała wielki urok, a nikt z profesorów tak pięknie nie mówił po polsku, jak sp. ks. Mazurak. Równocześnie był sp. zmarły rektorem małego seminarium przy ul. Teatyńskiej, z płacy bowiem katechety, wtedy bardzo niskiej, nie mógłby być się utrzymać. Na tem swoim stanowisku wprowadził ład do administracji zakładu, a rządząc się w każdej sprawie nie tylko rozumem, lecz i sercem był kochanym i uszlachetniającym serca przywódcą swoich uczniów. W r. 1872 został sp. Mazurak kanonikiem, a wreszcie infułatem lwowskiej kapituły. Cześć pamięci zacnego kapłana i obywatela!

Ks. Józef Weber, kanonik kapituły lwowskiej kapłan wielce żarliwy i o chwałę bożą dbający, otrzymał ubiegłej niedzieli święcenie biskupie z rąk ks. arcybiskupa Seweryna Morawskiego, a w obecności ks. arcybiskupa Izaka Issakowicza, złotoustego naszego kaznodziei i ks. Karola Hryniewskiego, byłego biskupa wileńskiego wygnańca. W uroczystości tej pomimo do kuczliwego zimna brały udział tłumy pobożnego lwowskiego ludu, na których czc-

najwięcejby pani zawadzały, moja Róża ma już lat czternaście, ona się niemi wraz z memi zajmie, gdy pani sobie jaki dobry obowiązek znajdzie, oddam pani dzieci, bo wiem, że żydówka nie może dzieci chrześciańskich wychowywać — co wiara, to wiara. Ale póki to jeszcze małe a głupiotkie — wszystko jedno, kto im jeść daje. Zdawało mi się, że to nie kobieta, lecz anioł. A wcale to bajka nie jest — stało się to niedawno — choć nie będę przysięgać, że w naszym mieście, ale że byłem naocznym świadkiem — za to ręczę.

Jak długo żydzi takie szlachetne jednostki wśród swoich mieć będą nie mają się czego obawiać zmory antysemityzmu.

Stanisławowianin.

le widzieć było marszałka krajowego Stanisława hr. Badeniego i namiestnika Galicyi Eustchego księcia Sanguszkę.

Redaktor »Targowiska« w Krakowie D. Mandel wydał broszurkę w niemieckim języku p. t. Reichs-Vien-Versicherung vom Standpunkte der Landwirtschaft, des Handels und der Industrie. Broszurka ta wyjdzie niebawem w polskim przekładzie.

Zwracamy na nią uwagę zwłaszcza naszych ziemian, ponieważ jest napisana dobrze a ziemian interesować powinna.

W Stanisławowie ma być otwartą nieera-ryalna filia pocztowa. Gdyby to rzeczywiście nastąpiło byłaby to ulga i dla istniejących urzędów rządowych i wygoda dla publiczności.

Zawiązała się u nas spółka celem wybudowania linii tramwaju konnego myśl bardzo dobra-która się przyczyni do ożywienia miasta.

Karnawał tegoroczny zapowiada się bardzo dobrze, złożyły się na to okoliczności jak dłuższy odpoczynek w latach żałoby narodowej, niezłe urodzaje tegoroczne itp. U nas zainaugurował karnawał bal urządzony staraniem Towarzyswa dam dobroczynności i kółka medyków krakowskich pod protektoratem ks. bisk. Kułowskiego i eksceł. i hr. Lamberg Bal odbył się dnia 13. b. m. w lokalnościach Towarzystwa muzycznego im. Moniuszki i wypadł pod każdym względem świetnie. Przeszło 80 par stanęło do kadryla a do mazura około 100.. Ochocza zabawa trwała do rana, kilku dzielnych aranżerów świetnie prowadziło tańce. Toaleta była gustowna, niektórych pań nawet bardzo bogata, charakterystycznym był brak panien, było ich bowiem tak mało, że się wśród mężatek gubiły. Nie wiadomo, czy już tak mało panien posiadamy, bo tak wiele powychodziło za mąż — coby było bardzo dobrze — czy może młodsze panienki nie chciały rozpoczynać swego wejścia w świat od tak wielkiego balu. Bal ten był pierwszym w tym karnawale — kto wie czy nie zostanie pierwszym, wśród wszystkich — pod względem udania się. Dochód z balu brutto miał być przeszło 500 zł.

Musimy tu wspomnąć też tak zw. »Małanki« — zabawę urządzoną przez ruską »Besidę« na zakończenie starego roku ruskiego. Bawiono się tam dobrze — z początku wprawdzie zagrażała pietruszka, ale później nadpłynęła flota w postaci »facetów«.

Na czasie obecnie zwrócić uwagę urządzającym wieczorki i bale, że nie byłoby od rzeczy a zabawa nic by na tem nie traciła — gdyby zamiast drogich bukietów, kar-netów i orderów, sprzedawano przy wejściu do sali okragłe tekturowe medaliki do przypinania na dochód ubogich lub na takie cele jak: Oświata ludu, Wawel, Cieszyn itp.

Biednym lże niejednąby się otarło, na cele piękne cośby się uezierało, mybyśmy się bawili a dla innych też by z tego była korzyść.

Od czego mamy sekcję budowniczą w magistracie? Istnieją jakieś przepisy budowlane — szkoda tylko, że na papierze. Jeśli kto ciekaw w jaki sposób u nas się udziela pozwolenia na zamieszkanie domu

i jakie domy komisya, czy tam oddział budowniczy magistratu przyjmuje — niech się pofatyguje do kamienicy, w której się znajduje Hote Imperial, niech wejdzie tam, ale bramą od ulicy Sobieskiego i niech usiłuje wejść na schody w tej kamienicy, przepraszam za wyrażenie chciałem powiedzieć na drabinę a zobaczy jak się u nas przepisy przestrzegają. Na razie tyle później podamy więcej kwiatków z magistrackiej niwy.

Ciekawe odkrycie. Donoszą o odkryciu, dokonaniem świeżo przez profesora Rontgen'a w Würzburgu! Jeśli bowiem podane przez gazety szczegóły w całości się sprawdzą, to mamy przed sobą wielkie odkrycie, które w dziedzinie fizyki i medycyny do nieprzeczuwanych zmian doprowadzić może. Profesor Rontgen wziął szklaną rurkę Brookes'a — z której powietrze zostało wprawdzie wypompowane, a w miejsce jego wprowadzono elektryczny prąd indukcyjny — i z pomocą promieni, jakie na zewnątrz dobywają się z tej rurki, fotografuje na zwykłych płytach fotograficznych. Promienie te są dla oka ludzkiego niewidzialne i do tej pory naturalnie nikt nie przeczuwał nawet ich istnienia. W przeciwieństwie zaś do zwykłych świetlnych promieni, przenikają one nawskróś materiału drzewny, ciała organiczne itp. ciała nieprzezroczyste. Nato miast kruszce wszelakie i kości stanowią dla nich zaporę nieprzybyłą. Można tedy w jasny dzień, mając aparat fotograficzny drewnianą zasuwkę zamkniętą, wybornie fotografować; to znaczy, promienie przenikają ową zasuwkę z drzewa, która odcina wrażliwą na światło płytę i która też w zwykłym biegu rzeczy musi być przed fotografowaniem usunięta. W równej mierze przenikają promienie w mowie będące każdą osłonę drewnianą, jakiegoś przedmiotu i skrzynkę, futerał itd. — i fotografują znajdujący się wewnątrz przedmiot. Naprzykład profesor Rontgen odfotografował w ten sposób metalowe ciężarki w skrzynce drewnianej wcale jej nie otworzywszy. Na uzyskanej fotografii widnieją też jedynie te ciężarki ze skrzyneczki zaś nie ma śladu. Podobnie jak zwykłe promienie słoneczne, lub w ogóle świetlne, przenikają szkło, tak samo idą na wylot przez drzewo i miękkie części ciała ludzkiego te nowo odkryte z rurki Crookes'a płynące promienie. Najbardziej zdumiewa uzyskane z ich pomocą odbicie ręki ludzkiej. Przedstawia ono same z niej kości, około których pierścionki zdają się w powietrzu wisieć. Ciało, muszkuły, słowem części miękkie nie są na tej, fotografii widzialne. Kilka próbek tego odkrycia, obiega już wśród wiedeńskich kół uczonych i wzbudza w nich uzasadnione zupełnie zdumienie.

Wycofanie dziesięciocentówek. Według gazety urzędowej, srebrne dziesięciocentówki przyjmowane będą jeszcze do d. 1 stycznia roku 1897, a potem przez rok cały będzie je można wymieniać wszakże tylko w głównych kasach krajowych.

W sprawie Morskiego Oka. Do „Kurjera Warsz.“ telegrafują ze Lwowa: Grono obywateli tutejszych pragnie, aby Papież Leon XIII, był rozjemcą między Galicyą a Węgrami w sporze granicznym o „Morskie Oko“.

Polityka germanizacyjna. Uczeń 8 klasy gimnazjum w Katowicach na Górnym Śląsku, został wydany z gimnazjum za „wielkopolską agitację“. — W motywach dekretu podniesiono, że uczeń: „mówi poprawnie po polsku i był trzy razy w Krakowie“. Komentarze zbyteczne.

Na polowaniu w Chociniu pod Kałuszem, w lasach hr. Emilii Łosiowej, zdarzył się dnia 2. bm. nieszczęśliwy wypadek. Jeden z myśliwych, Eli Spatz, tak nieostrożnie obchodził się ze strzelbą, że postrzelił zięcia hr. Łosiowej, p. Bogdanowicza i wpakował mu 7. śrutów w nogę, od kostki aż do uda. Zawiezany ze Lwowa dr. Schramm dokonał operacji i zdaje się, że p. Bogdanowiczowi nie zagraża niebezpieczeństwo.

Podróż na Wschód rozpocznie arcyksiążę Karol Ludwik, wraz z małżonką i córkami, 21. bm. Podróż potrwa około 3 miesięcy.

Sprawozdanie Zarządu „Macierzy szkolnej“ dla Księstwa Cieszyńskiego za czas od 1. grudnia 1895 do 1. stycznia 1896. W miesiącu grudniu wpłynęło do kasy Towarzystwa 1143 złr. 75 ct. Wydatki wynosiły 865 złr. 32 ct. Cały fundusz na utrzymanie gimnazjum polskiego w Cieszynie wynosi obecnie o ile się da obliczyć z powodu chwiejności kursu papierów około 100.030 złr.

Fundusz stypendyjny dla biednych uczniów gimnazjum polskiego wynosi 7186 75 ct.

W Cieszynie d. 8. stycznia 1896.

Ks. Józef Łozdzin Jerzy Cięciala
sekretarz. zast. przew.

Teatr.

Do najudatniejszych sztuk dni ostatnich należy opera Kurpińskiego „Bojomir i Wanda“ czyli „Zamek na Czorsztynie“. Dyrekcyi należy się podziękować za wznowienie rzeczy tak dobrej a nam tak miłej. Muzyka Kurpińskiego nie jest nowożytną w guście Mascagnich i Leoncavallów — jest pisana stylem Moniuszków — jest jednak pisana szlachetnie, pełna melodyi o podkładzie narodowym.

Mieliśmy sposobność po raz pierwszy w tym sezonie poznać na scenie panią Dyrektorową Jaworską w roli Wandy. Rzeczywiście żałować tylko należy że się tak rzadko daje słyszeć — posiada bowiem głos piękny i bardzo dobrą szkołę. Pan Stróżewski zrobił ogólnie wyborne wrażenie a oklaskom nie było końca gdy śpiewał jakąkolwiek większą arję — ślicznym był polonez, bardzo piękna śpiewka żołnierska. Pani Wiśniewska grała i śpiewała jak zwykle to jest bardzo dobrze no a p. Nynkowskiego znamy z teatru p. Myszkowskiego i to jako wybornego komika.

Po raz pierwszy dawano tę sztukę 11. b. m. Przy dość pełnym amfiteatrze, jed-

noaktówka p. Nelina Gordziewicza p. t. „Wet za wet“ poprzedziła operę. Sztuka ta jest bezwarunkowo słabą — od biedy nadałaby się do teatrzyków amatorskich. Treść jest tak oklepaną że aż razi — dobrą stroną jest gładki wiersz i miejscami błyski humoru a w tym wypadku doskonała gra artystów. Szkoda że p. Nelin talent posiadając, nie spróbuje napisać coś oryginalnego — kto łatwo wierszuje styl ma ładny — mógłby z łatwością napisać coś dobrego, byle — ach! byle tylko coś oryginalnego.

Przedstawiona dwukrotnie „Nitouche“ wypadła bardzo dobrze a to głównie dzięki p. Wiśniewskiej świetnej wodewelistki.

Miłość i głód czyli restauracya pod „słońcem“.

Żoładek wciąż pragnienia ma,
A dusza chce miłości
W poezyi nam jej szukać trza
Tam ona wiecznie gości!
Był piękny dzień w szabasu czas
I rybny plac był pusty:
Pod synagogą stał zaś kram
I świecił się, bo tłusty.
Tam salcesonów, skwarek moc
I kiszek krwawych stosy,
Barszczyku i kapusty woń
Wabiła ludzkie nosy.
Samowar wielki obok stał
I syczał jak maszyna:
Pierogi w nim gotują się
Wnet obiad się zaczyna.
A obok barszczu w garnku tym
Co zawsze jest nakrytym,
Tam znany specyał kryje się:
To flaki z aksamitem.
Za stołem grubej pani dłoń
Przestawia wciąż miseczki
Lecz co w nich jest, zgadnijcie no!
Studzone są nóżeczki!
Spostrzegłszy to, wnet przyszły mi
Do głowy myśli rwące,
Że można razem kochać się
I flaki jeść gorące.
I mimowoli oko me
Spoczęło na tej pani
Co uchwyciwszy chochlę swą
Mieszała w dużej bani.
Wtem zbliżył się tam jakiś pan
Pomięty, ze sznurami,
Nuż do miseczek bierze się
I rusza je palcami.
Aż panią mą zawiadnął gniew:
„Co pan tu tak przebiera?
„Jak panu nie spodobi się,
„Idź pan do Stadtmüllera!“
Ten wdzięk, powaga i ten głos
Na zawsze mi zostanie;

Jam westchnął raz i łypnął raz
I szepnął: „O kochanie!“
„Któż wzdycha tak, jak paciuk sam?
„Ach, to ten pan bladziutki?
Dodała potem śmiejąc się:
„Cy pan ma jakie smutki?“
Profani wierzcie, powiem wam:
To było jej współczucie!
A od współczucia jeden krok
I już miłości czucie!
Kochała mnie! Blask twarzy mej
Namiętny wskrzesił promień!
Tymczasem mój żołądek... aj!
Uczuwał głodu płomień.
Wtem o rozkoszy — błogi dniu,
Za rękę sama bierze,
I prosi jeść wszystko co chcę,
Co tam na stole leży.
Więc zmiotłem barszczu porcyj dwie
I flaków wazę całą
Studzonych nóżek spory stos
Pierogów też nie mało.
Gdym wreszcie skończył obiad mój
Powiada bóstwo moje:
„Kicusi, gości nie ma już
„Pójdziemy do dom dwoje!“
„Ja garnki w wózku złożę wnet
„I ciągnąć będę sama,
„Bo niedaleko mieszkam ztąd
„Tam gdzie zielona brama.
„A ty kotusiu ze mną chodź
„Mam moją własną chatę
„Będziemy gadać, długo, fest,
„Zrobimo sy arbate.
Oszołomiony jakby żak
Nie mogłem mówić słowa,
Aż ona w ucho szepcze mi:
„Nic nie bój się, ja gdowa!“

* * *
Dziś mam już nowy oberok,
Garnitur przenoszony,
I palce nie wyłażą mi
I całe pantalone.
A miłość, głód wciąż u mnie trwa
Lecz mi nie braknie śliny
A co zrymuję zaraz szlę
Czasopismu „Nowiny“.

Hermanński.

Kącik Humorystyczny.

Synek wieku.

A niech mama zgadnie, co ja mamie przyniosłem?
No co?
Lobaki.
A to po co.
Bo pan Alfons powiedział, że mama dziś idzie na laut wędkę na glube lyby zarzucać.

CUKIERNIA JÓZEFA ZBIGIENIEGO

poleca

ciasta i cukry w najlepszym gatunku i największym wyborze
po cenach najumiarkowańszych.

Najtańsze codzienne pismo polskie

„Dziennik poranny“

prenumerata na prowincyi: miesięcznie 95 ct. kwartalnie 2 złr. 80 ct., półrocznie 5 złr. 60 ct., rocznie 11. złr.

Numer pojedynczy 4 ct.

Kto zaprenumeruje „Dziennik poranny“ przynajmniej na grudzień i styczeń, otrzyma całkiem bezpłatnie „Ścienny Kalendarz Kartkowy“ na rok 1896, wartości 80 ct.

Abonenci zamiejscowi dopłacają za ten Kalendarz tylko 15. ct. na koszt przesyłki, którą to kwotę należy przysyłać razem z prenumeratą. Prenumeratorzy półroczni i roczni mają prawo korzystać bezpłatnie z ograniczonego miejsca w dziale inseratowym na swoje prywatne ogłoszenia; mianowicie półrocznym przysługują prawo do 20, rocznym zaś do 40 wierszy miejsca.

Coraz więcej podziękowań otrzymuje apteka
D-ra Beilla w Stanisławowie w rynku za niezrównane D-ra Beilla
ziołka na kaszel. Pakiet
20 ct.

Handel żelaza

Karola Hauswalda

poleca

bogato zaopatrzony

SKŁAD

wyrobów metalowych i nożowniczych
ul. Sapieżyńska 1. 3.

Karol Zajaczkowski,

jubiler i złotnik w Stanisławowie.

Główny skład

towarów jubilerskich i złotniczych
ZEGARKÓW DAMSKICH I MĘSKICH.

Wincenty Michalski

restauracya i piwiarnia

jedyny w Stanisławowie wyszynk piwa pilz-
nińskiego, 8 ct. 1/4 litra.

Wyborne potrawy i przekąski. Przyjmuje abonament na obiady.

ZAKŁAD

artystyczne-introligatorskich

Wojciecha Lepianki

ulica Kazimierzowska 1. 6.

przyjmuje wszelkie zamówienia w zakres introligatorstwa wchodzące, rękując za snmienne i tanie wykonanie.

Przewodnik po Stanisławowie.

Restauracye.

Michalski ul. Sobieskiego.

Cukiernie.

Zbigieni ul. Sobieskiego.

Handle korzenne.

Kajetan Kopacz ulica Karpińskiego.

Magazyn bławatny.

Karol Piskorz ul. Sapieżyńska.

Nożownik i ślusarz

Józef Mażewski.

Fabryka powozów

Władysław Siwiński
Kazimierzowska 54.

Handel żelaza

Karol Hauswald.

W rubryce tej płaci się 10. ct.
od wiersza, rocznie 3. złr.

Zakład artystyczno-introligatorski

W. Lepianka, ul. Kazimierzowska.

Drukarnie.

St. Chowaniec ulica Belwederska.

Zegarmistrz i jubiler

L. Zajączkowski ulica Karpińskiego.

Fryzyer

Zygmunt Kostynowicz obok cerkwi i katedr.

Skład i wypożycz.

fortepian. i pianin
Sidorowicz i Siwiński
Kazimierzowska 54.

Magazyn apar. kośc.

Teodor Stachiewicz.

DODATEK LITERACKI

do Nr. 2. „Nowin Stanisławowskich“

z dnia 1. lutego 1896.

Od Redakcyi.

Z Numerem obecnym, przestają wychodzić „Nowiny stanisławowskie“, każdy zapyta dlaczego — wszak stały finansowo dobrze — rozwijały się z dniem każdym, sympatya publiczności je otaczała — jakaż więc przyczyna? Całkiem prosta — porwaliśmy się z motyką na słońce, zdawało się nam, że się nam uda przebić tę martwą skorupę, otaczającą wszystko, co wzniosłe, co szlachetne. Rozpoczynając wydawnictwo „Nowin“ wspomnieliśmy jak jest u Niemców — niestety, co Niemcy, to nie my, oświata, prasa nasza, potrzeba dobrych pism, to wszystko u nas jeszcze w pieluchach.

Wydawnictwo „Nowin“ było próbą, chcieliśmy zbadać czy na prowincyi w Galicyi jest możliwem walczyć z korupcją, protekcją, głupotą, idyotyzmem nawet — walczyć z zawiścią, błagą literacką, redakcyjnymi zachciankami i ambicyjkami ludzi nie mających o tem pojęcia — przekonaliśmy się, że to nie możliwe.

Głupota tak się rozpleniła — korupcja tak wszystko opanowała, że ci, którzyby z latarką Dyogenesa szukali piękna, ideałów prawdy, narażają się na szykany i moralne podstawianie nogi.

Kurjer tutejszy pogrzebał nas przedwcześnie, obecnie może napisać już prawdziwy nekrolog, my ze swej strony możemy mu tylko życzyć, by choć w połowie był tak redagowanym jak: „Nowiny“, by nie karmił Stanisławowianów taką sieczką jak obecnie. Na koniec dodajemy, że ktokolwiek ma jakiegokolwiek pretensye do Redakcyi „Nowin“ niech się do nas wprost uda zawiadamiając nas korespondentką. O ile pretensye będą słuszne, natychmiast je załatwimy. Żegnając łaskawych naszych czytelników, życzymy im, by kiedyś znów ktoś spróbował wydawać podobne „Nowinom“ pismo, tylko, że u nas nie tak łatwo i prędko próba się powiedzie — bo jak dotychczas bardzo u nas smutno.

Redakcyja.

Elegia

na śmierć trzech zasłużonych kołomyjanów.

Schylcie swe główki róże i wrzosa
Schylcie na znak żałoby,
Bo dzisiaj patrzą smętne niebiosy
Znów na trzy nowe groby.

W okolo cisza, cisza cmentarna
Ptak tylko rzewnie nuci —
Nienasycona ta ziemia czarna
Zmarłych już nam nie wróci.

W czyjemże oku łąza się ostanie
Ktoż smutek nasz ukoj?
Wziąłeś do niebios Twe sługi Panie
W pełnej polegli zbroi.

Zmarł dzielny Sandor ta dziadów chluba
Co za nas Boga prosił
Serce miał czyste, nie samoluba
Wszystkich na cmentarz nosił.

Trzy pokolenia wiernie prowadził
Na Śniatyńskie przedmieście
Jak chwycił, doniósł, nigdy nie zdradził
Znanym był z tego w mieście.

Któż inny umiał tak wdzięcznym basem
Spiewać za zmarłych dusze,
Jednak, że kropnął araczek czasem
Też tu wymienić muszę.

Jego to zdanie, on to dowodzi,
Że wódka w zimie wybornie grzeje
A w lecie doskonale chłodzi.
To są dzielnego Szandora dzieje.

Drugi luminarz pożarnej straży
Kapral od „fajermanów“
Karmazynowej właściciel twarzy
Postrach żydów-furmanów.

Niski był, gruby, niby antałek,
A jak świetnie „szprycował“
Gdy pożar wybuchł, to dzielny śmiałek
Za wszystkich sam pompował.

Śmiałym był bardzo, raz w menażeryi
Lwu podał swą prawicę,
Ale ten podarł rękę mizeryi
Bawiąc tem swoją lwicę.

Przysięgał Łaczny, że w swoim życiu
Wodą gardła nie skropi
Dlatego zawsze pierwszym był w picu
Aż się dziwili chłopci.

Trzecim był ojciec Bachman sławetny
Świetne „würstle“ napychał
Ojciec prawdziwy, nader szlachetny,
Na ciężkie czasy wzdychał.

Sceny i sztuki mecenas znany
Karmił aktorów rzesze
Toż był od wszystkich nader kochany
Cóż gdy go już nie wskrzeszę.

Było u niego pewne schronisko
Biednej szkolnej młodzieży
Dobre to było, dobre ojczyisko
Niechaj mi kaźden wierzy.

A więc posypmy głowy popiołem
Na znak ciężkiej żałoby
Wódką, kiełbasą, uwieńczmy społem
Tych bohaterów groby.

List Kaprala.

Ulubiona sercym Fesiu!

Wczora miałem kiepskiej t a g jakim-
ci przedwczoraj trochi za długo z to-
bom baraszkował bo twoja stara poszła
do tryatru tagim ci zapuźnił czapistraich
Przychodzę już późno po czapistraichu
po cichu do moi cymbry a tu ci
mnie herszteluje pan firer i muwi
Fostowycz ja muwi h y r, on muwi
czapistrach gdzie, ja muwi „panie fir
siostra mi zasłała on muwi — to do-
staniesz trzy dni kasarniaka, jakby ci
siostra i umerła to ci nie wolno po
czapistrachu do cymbry przychodzić.
Trzeba być albo cisarskim człowiekiem
albo bratem, my bratów nie potrzebu-
jemo.

Widzisz jak ja bez ty miłość do cie-
bie muszy szwicować. Siedze ci
w ciupie a trza ci wiedzieć ży nasz
sz t o k h a u s to paskudnyj Loch. Naj-
wiency zostałem na wobiad skunirowa-
nyj — jakiś mi przynieśli kiepski kno-
chi — niedogotowany erdebły i
nie kwaśnyj grat. Jagem sy napo-
mniał na twoi leberki to tak mi si
nudno na sercu zrobiła żem ci si gor-
szkimi szlozami zalał.

Posyłam ci ten bryf przes mego
kambrata daj mu co dla mnie do żar-
cia tylo zapakuj dobrze bo to dowcip-
nyj chłopiec gotów sam zjeść.

Pozdrawiam ci i twoje leberki i ca-
łuje ci po miliony razy Twuj Mykita
wirkliche Inf Fanteryst przy 3. Zugu.

(Odpowiedź Fesi na list kaprała).

Kochanyj muj gołompku Mykitko !

Zamknęli ci bidnu ptaszynu do fardygi — tagim ci si splakała tak mi szłozy kapaly do garka gdzie si knydli gotowali ży całkim byli przesoleni.

Na dobrem ci si zy żalu rozchorowała prauda stary ży to bendzi florensa, jakaś nowa i paskudna choroba. Posyłam ci 20. gołompków z ryżem ja wim że ty te specjalży lubisz i dodaje ci milion całusów, przyłoż sobie gołompki do zbolatego serca i pomyśl że twoja wierna ci Fesia ty gołompki robiła.

Przyszlj jutro na wobiad kambrata buchny coś z leguminy a może i ze dwa sznycli to ci poszli muj ty bidny gołompku.

Moja stara to ci taka sekutnica ży już trudno wytrzymać, gołompki ci wczoraj rachowała jak uwidziała twego kambrata na szczście schowała ci do szlabanu 20 gołompków nim przyszła. Żyby tu nie byli dobry obryfki i żyby nie pozwalała memu bratu to jest tobi do kuchni przychodzić dawnobym ty służby pokinęła — ale koszykowe dobrze niesie a stara ci taka głupia ży si nic na kuchni nie zna więc ci ją mogę cyganić na wszystkie boki — jużem sy za trzy roky uzbierała 100 srybrzy jak wyjdiesz z wośka to si ze mno ożenisz, otworzymy grajzylei albo pujdziesz za strużą.

Twoja Fesia.

Liliputka.

Ja ubóstwiam piękna moja
Głos twój co piosenki nuci
Twoje uszko, twoje oczko
Twój paluszek lilipuci.

Lilipucią buzię twoją
Lilipucią nóżkę małą
Lilipucią kibić twoją
Lilipucią postać całą.

Cudny nosek lilipuci
Zapas jasnych włosów zwoi
Nawet... rozum lilipuci
W lilipuciej główce twojej
Lecz... ożenić się nie mogę
Chociaż żal mi serce smuci
Bo masz moja liliputko
Posag strasznie... lilipuci.

Niedante.

— Mógłbyś wziąć dorożkę, bo le-
dwo co za tobą mogę nadażyć. Wska-
żkę spieszmy na pogrzeb cioci.

— Nie mogę, wiesz przecie że je-
stem wiceprezesem „klubu pieszych“ i
nawet na swój własny pogrzeb pójde
per pedes.

Byle nie panna.

Komedia w I. akcie.

napisał Emil Schayer.

OSOBY:

Karol Buczyński, obywatel
Ludwika, jego żona
Helena, jego siostra
Stanisław Warski
Filip, służący pp. Buczyńskich.

Rzecz dzieje się na wsi we dworze.

(Scena przedstawia gustownie umeblowany salonik, z prawej strony pianino i dwa taburety, z lewej stolik, kanapa, fotele, w kącie kosz z kwiatami).

SCENA I.

(Stanisław wchodzi drzwiami naprzeciw sceny — za nim Karol).

Karol: (odwracając się we drzwiach) Filip, zaniesiesz pana walizę do gościnnego pokoju.

Stanisław: Ależ kochany Karolu wprowadzasz mnie do bawialnego pokoju a ja z drogi, pozwól mi się nieco ogarnąć, przebrać.

Karol: Nic z tego, jesteś moim gościem i musisz się do moich dyspozycji zastosować, Filip wprzód przygotuje pokój gościnny, potem możesz robić co ci się podoba, ale zwracam twą uwagę, że my tu z daleka od świata nie trzymamy się ściśle form światowych, główna rzecz aby w naszym pustkowiu gość był a czy w podróżnych szatach, czy w anglezii na to nie zwracamy uwagi. No, ale wiesz mój chłopcze z kopę lat jużemy się nie widzieli zostawmy więc dysputę o towarzyskich formach a przystapmy do ważniejszego tematu, gadaj więc co porabiasz, jak ci się powodzi, wszystko po kolei — ostatni raz widzieliśmy się po ukończeniu akademii rolniczej — no i cóż dalej.

Stanisław: Nie wiele mogę ci o sobie powiedzieć, wziętem naprzód wioskę w dzierzawę a po śmierci ojca osiadłem we własnej wsi, gospodarstwo nie źle mi idzie, ale cóż, sam jestem, jakoś nie wesoło u mnie.

Karol: Jakto więc się jeszcze nie ożeniłeś?

Stanisław: Nie i Bóg wie czy się kiedy ożenię.

Karol: Jakto, czyż mało pięknych panien?

Stanisław: To nie, ale widzisz jakby to powiedzieć, mnie się żadna panna nie może podobać.

Karol: Et! dziwak jesteś, cóż im masz do zarzucenia?

Stanisław: Nic i wszystko, do panien na wydaniu z zasady się nie zbliżam, bo i po co? Każdą jeśli ze mną grzeczniejsza posadzam o polowanie — zresztą albo ja wiem każda panna wydaje mi się tak, niby coś, niby nic. — Kobieta zaczyna się u mnie dopiero od mężatki, panna ma rozliczne fortele, jedna kokieterya, druga naiwnością, trzecia uczonością, czwarta muzyką szermuje a każda z nich do wytkniętego dąży celu — do wydania się za mąż.

Karol: Pessimistą jesteś mój Stachu, według szablonu nie można całosci oceniać — nie przeczę, nie jedna panna odgrywa jakąś rolę byle się jaknajkorzystniej przedstawić, ależ na Boga nie wszystkie takie, tak źle jeszcze nie jest.

Stanisław: Co do mnie nie spotkałem jeszcze takiego białego kruka, zresztą być może, że to z mej strony uprzedzenie lub rodzaj idee fix, a jako najlepszy dowód, niech ci posłuży następujący przypadek: Swatano mnie z panną młodziutką, piękną jak mówiono, bo ja tego zauważyć nie mogłem, posażną — lecz wszystkie zabiegi swatów i matek były nadaremne, byłem uparty jak koziół, zdawało mi się, że sznurami niktby mnie do ołtarza z nią nie pociągnął. Trafił się inny facet, podobał się, został przyjęty no i ożenił się. Jako dobry znajomy byłem na weselu, co powiesz na to, że ta sama osoba, na którą gdy była panną, nawet się dobrze nie popatrzyłem, zaledwie odeszła od ołtarza nabrała w mych oczach jakiegoś niezwykłego uroku, przysiadłem się do niej i po raz pierwszy przekonałem się, że jest rozsądną, dowcipną, że ma czarujący uśmiešek — przyszedł żal, cóż kiedy po nie-wczasie.

Karol: Toś kompletny fiksat, chory jesteś na panno — wstręt, na to ci i Pasteur nie poradzi ale mam ja dla ciebie lepsze lekarstwo.

Stanisław: Cóż takiego, ciekaw jestem

Karol: Rzecz prosta musisz się ożenić,

Stanisław: Ja? to będzie trudno, żadna panna mi się nie podoba a z mężatkami o ile mi wiadomo żenić się nie wolno

Karol: Któż mówi o mężatkach, ożenisz się z panną, ja cię wyswatam.

Stanisław: Kochany Karolu nie zły z ciebie chłopiec, chcesz mi widzę dopomódz ale na nprzedzenie i upor nie ma jak wiadomo lekarstwa — trzeba ci wiedzieć że najgorętszym mojem życzeniem jest właśnie ożenić się w jak najkrótszym czasie — bo proszę cię lat mam z górą trzydzieści, majątek niezły, cóż mi brakuje jeśli nie żona.

Gdy sobie pomyślę jakby to miło było wracać z pola do domu i być witanym przez kochającą żonę w pustym dziś dworze.

Tak, tak, gniazdko by było, braknie tylko samiczki. — Mój złoty Karolu, kolego mój serdeczny dokaż ty tej sztuki i ożeń mnie a ja ci za to wdzięcznym będę przez całe życie

Karol: Możesz być spokojnym, gdy ja się do czego wezmę doprowadzę do końca, mam szczęśliwą rękę — bez pierścienka zaręczynowego nie odjedziesz odemnie

Stanisław: Oby się twoje słowa sprawdziły, bo ja już dalibóg tak dłużej samotnie żyć nie potrafię — ale nie mam wiele nadziei

Karol: Możesz mi zupełnie zaufać.

SCENA II. (Ciż, Helena).

Karol: Dobrze żeś przyszła Helenko, przedstawię ci mego najlepszego przyjaciela Stanisława Warskiego, muszę jeszcze zaglądnąć do stajni czy konie Stasia mają dobre pomieszczenie zabaw tymczasem gościa niebawem wrócę. (odchodzi)

Stan.: (n. b.). To pewnie jego żona, milutka osoba)

Helena: Więc to pan jesteś tym przyjacielem o którym nam Karol tyle opowiadał

Stan.: Tak jest z mężem pani kolego- wałem i przyjaźniliśmy się serdecznie.

Hel.: (n. b.). On mnie bierze za żonę Karola (głośno) Ale muszę pana...

Stan.: O! wiem chcesz pani zapewne mówić że Karol mnie chwalił, to już jego zwyczaj chociaż wierz mi pani że nie zasługuję na to.

Hel.: Czy rzeczywiście? no jeśli pan sam jesteś swym oskarżycielem to można sądzić przeciwnie, jakże się panu u nas podoba?

Stan.: Nadzwyczaj, wioska ładna, dobrze zagospodarowana ale nie tego ja Karolowi zazdroszczę.

Hel.: Ciekawam czego

Stan.: Nie trudno odgadnąć, trzeba być tak jak ja kawalerem aby odczuć co się w takim kawalerskim sercu dzieć musi gdy widzi przyjaciela nawet młodszego od siebie żonatym, ciepło rodzinne ogrzewa mu duszę, a gdy jeszcze ten przyjaciel ma żonczkę godną pod każdym względem za- zdrości to...

Hel.: Nie wiedziałam że z pana taki komplemencista, no ale dlaczegoż sam się pan nie postarasz o szczęście rodzinne czemu się nie ożenisz, przecież to rzecz tak łatwa

Stan.: Jak dla kogo łaskawa pani, mnie widocznie ściga jakieś fatum, żadna panna podobać mi się nie może, przeciwnie męzatka może w mem sercu wszechwładnie zapanować i niech to panią nie obra- ża ale gdybyś pani tak jakimś cudem na- powrót stała się panną Heleną a nie odrzuciła mnie uważałbym za najwyższe szczę- ście.

Hel.: Ożenić się ze mną ha! ha! ha! ależ w takim razie byłabym panną

Stan.: Cóż to znaczy, nie cofnąłbym się choćby tylko dla tego że poznałem pa- nią jako męzatkę (Helena schyla głowę by ukryć rumieniec).

SCENA III. (Ciż, Ludwika).

Ludwika: (wchodząc) Mówił mi Ka- rol że mamy gościa, pan Stanisław War- ski, prawda.

Stan.: (n. b.). Ou jak na pannę trochę za śmiała (gł.). Tak jest, pani zapewne jest siostrą ~~pani~~ Karol mi wspominał o pani

Ludw.: (n. b.). Siostra ~~pani~~ Karol, co to ma znaczyć (gł.). Tak, jestem siostrą ~~pani~~ Karol...

Stan.: Ale bawisz tu pani tylko chwi- lowo naturalnie, panny wolą podczas kar- nawału bawić w stolicy, bardzo słusznie gdy się nie ma jeszcze obowiązków dla- czego się nie zabawić, (do Heleny) a za- pomniałem się zapytać czy macie państwo dzieci

Ludw.: Chłopczyka, muszę go panu pokazać gdy się obudzi

Stan.: (n. b.). Czego ona się wtrąca aha! to pewnie emancypantka, okaz z któ- rym się jeszcze na wsi nie spotkałem.

Ludw.: A pan czyś żonaty, bo mi nie Karol nie wspominał

Helena: O! pan Stanisław jest zdeklarowanym nieprzyjacielem panien, po- dobają mu się tylko męzatki i dlatego do- tychczas się nie ożenił.

Ludw.: Przyznam się panu że tego pojąć nie mogę, przecież panna pod ka- żdym względem ma więcej uroku niż mę- żatka, panna to wiosna, to sama poezja — męzatka to lato i proza.

Stan.: Być może, cóż ja temu winien że u panien poezji nie umiem ocenić a na- wet jej u nich nie szukam...

Ludw.: Widocznie wolisz pan owoc zakazany

Stan.: Nie o to mi chodzi, ale z mę- żatką mogę być swobodnym, nie krępowa- nym przeciwnie z panną jestem w ciągłym niebezpieczeństwie...

Ludw.: By pana gwałtem przed oł- tarz nie porwała — nie obawiaj się pan takiego zamachu, panny chcą być zdoby- wane a nie słyszałam by która męczyznę zdobywała

Stan.: (Ależ ta jej emancypacja za- czynna być nieznosną (gł.). Bywają rozmaite, proszę nie sądzić z mych słów że się za- pisałem do arcybractwa starych kawale- rów, przeciwnie pragnę się ożenić, cóż kiedy nie mogę się zdecydować choćby się zbliżyć do panny.

Ludw.: Przyjdzie kolej i na pana, zam- kną ptaszka w złotej klatce zanim się pan spostrzeże, pierwszy najważniejszy waru- nek mianowicie chęć już pan masz, reszta się znajdzie jestem zbyt pewną.

Stan.: (n. b.). (A to wzięła na gadanie, mogłaby sobie pójść gdzie na spacer).

SCENA IV. (Ciż, Karol).

Karol: No znacie się już jak widzę a znacie już panie Stacha uprzedzenie do panien, bo to ciekawe.

Ludw. Hel.: (razem) Znamy, znamy

Stan.: Darujcie panie że się na chwi- łę oddalę, muszę ma toaletę do europej- skiego stanu przyprowadzić, przepraszam że się paniom tak prosto z wózka przed- stawił ale...

Karol: Nie tłumacz się wszak ja cię tu zatrzymałem, teraz rób co ci się podoba i wracaj, (Stan. odchodzi).

Ludw.: Dobry sobie ten twój przyja- ciel, bierze mnie za pannę.

Karol.: Wtem nie ma nic złego, widać, że wyglądasz, jak panienkę.

Helena: No a czemuż mnie bierze za twą żonę.

Karol: Na to już nie poradzę, możesz za poważnie z nim mówić.

Helena: Trudno było mówić inaczej kiedyśmy wyłącznie prawie rozmawiali o jego matrymonialnych zamiarach i gustach.

Karol: Al! doskonała myśl. Proszę was niech do czasu tak zostanie jak on przez pomyłkę za prawdę uważa.

Ludw.: Nie rozumiem do czego takie żarty?

Karol: To już mój sekret, ale patrz- cie, tak już odwykłaś od roli panny, że nawet na czas krótki nie chcesz jej żartem przyjać?

Ludw.: Jeśli chodzi o żart niewinny...

Karol: Ależ zapewniam cię, że o żart najniewinniejszy w świecie, a jeśli z tego

co dobrego wyniknie to po części i nasza będzie w tem zasługa.

Hel.: Ciekawam tylko do czego to zmierza.

Karol: Daj spokój bo nie odgadniesz a ja przed czasem mego sekretu nie wy- dam, zatem jesteś moją żoną, rzecz zała- twiona.

SCENA V.

(Ciż. Stanisław przebrany).

Karol: No, teraz jesteś spokojny, e- tykiecie stało się zadość.

Helena: Czy pan muzykalny panie Stanisławie?

Stan: Sam grywam od biedy na skrzypcach ale muzykę bardzo lubię.

Helena: Jeśli to pana nie znudzi za- gram coś panu a co pan lubi.

Stan: Wszystko co pani zagra.

Hel.: Więc dobrze (gra cokolwiek kla- sycznego).

Ludw.: Bawcie się państwo ja was na chwilę opuszczę.

Stan pr. b) Chwała Bogu. (Cała rozmowa półgłosem).

Karol: Jak ci się podoba gra mej żony.

Stan: Jestem zachwycony zaraz poznać że to nie gra panna.

Karol: Dlaczego?

Stan: Znam ja paniąską muzykę, panna by grała „modlitwę dziewicy“ lub inne zajmujące nowe utwory.

Karol: No a jak ci się Ludwika po- doba?

Stan: Przyznam ci się nieszczególnie z początku jak weszła, podobała mi się jako tako, ale jej emancypacja, sztuczne pozowanie conajmniej na męzatkę wcale mi się nie podobało, twoja żona przy niej znachodzi się niemal jak panna.

Helena: Co tam panowie ze sobą szepczecie pewnie nas obmawiacie?

Stan: Gdzież znowu.

Karol: Opowiadamy sobie i przypo- minamy szkolne czasy.

Hel.: To może panom gra moja prze- szkadza.

Karol: Przeciwnie Stach jest nią za- chwycony.

Helena: To tak z grzeczności wypa- da, wiem że nieszczególna jestem pianistką.

Stan: Przeciwnie, dziwię się tylko że pani przy tylu obowiązkach i zajęciach umiałaś sobie tak czas podzielić, że mo- żesz pani nie zaniedbywać muzyki.

Karol: Nie myśl by przez to inne za- jęcia zaniedbywała, jaka z niej zawołana gospodyni a jak Staszka kapie, a zapo- mniałem ci powiedzieć że na twoją cześć ochrzciłem syna twem imieniem.

Stan: Pocziwy, czyż ja na to zasłu- guję.

Karol: Gdybyś nie zasługiwał syn nasz inaczej może by się nazywał.

(wchodzi) Filip: Kucharka prosi pani do kuchni — ale pani tu niema.

Karol: Cóż to ociemniałeś, nie wi- dziś pani przy fortepianie (daje mu znaki).

Filip: (z gestem zdumienia) Ale bo...

Helena: No, no, zaraz przyjdę (Filip odchodzi) muszę pójść do kuchni zobaczyć co się tam dzieje (odchodzi).

SCENA VI.

(Ciż, bez Heleny).

Karol: No, teraz powiedz otwarcie jak znajdujesz moje panie, cóż panna wędkę na ciebie zarzuciła a tyś połknął haczyk, chociaż ją o emancypacyę posadzasz?

Stan: Ale cóż znowu, nic a nic mi się nie podoba, co innego twoja żona wiesz Karolu tyś się w czepku chyba urodził, czemu ja nie mam szczęścia znaleźć takiej jak twoja żona, z taką tobym się choć dziś ożenił.

(Karol n. b.) Tego mi właśnie potrzeba, niech się durzy w mojej pseudo-żonie.

(gd) Ależ kochany to tylko przywidzenie ręczę ci że, gdybyśmy role zmienili, gdybym na przykład powiedział że moją żoną jest Ludwika a Helena każdej chwili do wzięcia, gust by ci się zmienił, zaczęłaby ci się Ludwika podobać jako mężatka i twoje matrymonialne zamiary znowu by poszły na kołek.

Stan: Daruj kochany ale tym razem jesteś w błędzie, spraw taki cud a zobaczysz że się nie cofnę.

Karol: Ha! to daremne, nie mogę z mej żony zrobić panny — ale namyśl się przypatrz się lepiej Ludwice, a gdy ją lepiej poznasz i ocenisz nie wyjedziesz z naszego domu bez pierścionka zaręczynowego.

Stan: To daremne, ze mnie i z panny Ludwiki para chyba nie będzie.

Karol (n. b.) I ja tak myślę (gł). Cóż masz przeciw Ludwice, ładniejsza od mej żony.

Stan: Niebo a ziemia.

Karol: Panna wykształcona, posażna, los wielki możesz wygrać żeniąc się z nią a ty się namyślasz, człowieku! zastanów się.

Stan: Powiedziałem ci raz moje zdanie i nie odmienię go, przyznaję pannie Ludwice wszystkie przez ciebie przytoczone zalety ale z tego jeszcze nie wynika by mi się miała podobać, gdy przeciwnie twoja żona... znajdź mi drugą taką a zobaczysz czy się nie ożenię.

Karol: Nie ma z tobą co gadać jesteś uparty jak sam przyznałeś, bo proszę ja kogo samo szczęście do rąk ci lezie a ty je odpychasz.

Stan: Wiem że na tym punkcie mam przekreśloną głowę, ale poradź mi to jeśli potrafisz bo ja nie mogę.

SCENA VII.

(Ciż, Helena).

Helena (z bukietem w ręku). Byłam w ogrodzie i nazbierałam bukietek kwiatów bardzo kwiaty lubię.

Stan: A siostra pani twierdzi że tylko panny lubują się w poezji a cóż poetyczniejszego może być od kwiatów?

Helena: Czemu nie na przykład serce ludzkie, miłość.

Stan: Tak ale kwiaty są właśnie posłannikami i pośrednikami miłości tem samem więc muszą mieć w sobie wiele poezji — ale czy te kwiaty są pani chowu?

Helena: Te kwiaty.

Karol: A któżby inny jak moja żona mógłby się tem zajmować.

Hel.: Nie chwał no tylko żonę zanadto bo główna tu zasługa ogrodnika.

Karol: Tak ogrodnik koło nich chodzi, ale dyspozycje przecież ty wydajesz.

Helenn: Ja a prawda, któżby inny (wchodzi Ludwika, za nią Filip z tacą i przekąskami, Ludw. zaściela stół obrusem). Obiad dziś trochę później wypadnie panowie z drogi, pozwólcie więc tymczasem małe drugie śniadanko.

Stan.: (n. b.) Czemu ona bierze rolę swej siostry?

Karol: Ależ naturalnie, dajno tu wódkę (nalewa kieliszek i pije do Stanisława) na zdrowie młodej pary, Stanisława i...

Stan.: (półgłosem do Karola). Nie rób przedwczesnych żartów.

Karol: I jego przyszłej żony.

Stan: (n. b.) Oddycham, myślałem, że mnie chce gwałtem z Ludwiką swatać.

Ludw: Proszę niech pan pozwoli, może szyneczki, może ozoru, wyrób domowy.

Stan.: (nb) Czego ona u licha gra rolę gospodyni? (gł) Darujcie państwo, ale czy ja przypadkiem nie jestem ofiarą mistyfikacji, czy ja się w charakterze i stanie pań nie pomyliłem?

Karol: Ha! ha! ha! wybornyś sobie więc dopiero teraz poznałeś, że moją żoną jest Ludwika a Helena, no Helena jest do wzięcia.

Hel.: Ależ Karolu.

Karol: Co tam dużo w bawelnę obwijać, Stach szuka żony, no a ty męża.

Hel.: Ależ Karolu co mówisz?

Karol: Prawdę, każda panna jeśli nie szuka męża, to przynajmniej chce by ją szukano, otóż ponieważ Stach ma zamiar się żenić, ponieważ wyznał mi, że gdyby Helenka jakimś cudem stała się panną oświadczył by się, naturalnie zostałby przyjęty.

Hel. Skąd taka pewność.

Karol: To już mnie zostaw, mam dobre oko, pieczesz raki, więc coś się świeci — cóż ty Stachu na to?

Stan: Ja mego słowa nie cofam, nie wiem tylko czy panna Helena zostawi mi nadzieję.

Hel: Nadziei nikomu odbierać nie należy.

Karol: Tak, tak, zwłaszcza gdy chłopiec młody, przystojny to i panna drożyć się nie będzie.

Hel: Kto wie.

Ludw: Ja wiem, mówiłaś mi przecie że ci się pan Stanisław podobał.

Hel: To nie ładnie siostrę zdradzać.

Ludw: Każden coś dodaje by to dzieło naszego żartu do skutku doprowadzić chcę ja coś dorzucić.

Stan: Panno Heleno, Bóg mi świadkiem że to co mówiłem do pani jako do mężatki powtórzyć mogę teraz kiedy panie na moje szczęście jesteś panną.

Hel: No o szczęściu jeszcze pan mówić nie możesz, ja jestem wielką grymaśnicą, ze mną nie można tak od razu.

Stan: Ależ kto o tem mówi.

Karol: Tak jest, nikt was do ołtarza nie napędza, poznajdzie się lepiej, pokochajcie a o tem potem — już ja wam takie weselisko wyprawię że aż ha!

Stan: Na razie cieszę się nadzieją.

Karol: No cóż, nie wyswatałm cię a gdzie twoje przysłowie „Byle nie panna“.

DZIAŁ HUMORYSTYCZNY.

Niezatarte wspomnienie.

— Powiadam panu, wczoraj przy obiedzie zrobiłem na ślicznej doktorowej niezatarte wrażenie.

— Aha! oblał jej pan pewnie suknię tatarskim sosem, którego nie można wywabić,

Alfredzie, czemu się ze mną nie ożenisz?

— A to poco? teraz jesteś całą moją, a gdybym się z tobą ożenił byłabyś tylko moją „połową“.

— Moi przodkowie są znani.

Żona jednego z moich przodków była w Rzymie, gdzie dopomagała do ocalenia...

— Aha! wiem już: pomagala ocalać Kapitol,

Magik: Pokażę państwu trudną sztukę; oto zamienię wodę w wino...

Głos z galerii: E, co to mi za sztuka, to każdy restaurator potrafi.

— Czego chcecie bachory?

— Niech no tatko wstaje

— Czego?

— Goście przysli, trzeba do stołu nakłić.

Ma b a i u.

— Pozwól pani że pani przedstawię pana Dąbrowskiego

— O! dziękuję znam 16. Dąbrowskich.

— Widziałem wczoraj jak jakiś anglik utonął w morzu.

— Skądże wiesz, że to był anglik.

— Bo idąc na dno wyjął z kieszeni notes i coś w nim notował.

Oh! jaki wstyd, o tej porze, wracasz do domu pijany, do kobiety dobrze wychowanej.

No — gdybyś była dobrze wychowana — tobyś po nocy z pijanym nie rozmawiała — to widzisz nieprzyzwoicie.

— A pani przyjechała do wód?

— Ja się leczę...

— Na co pani chora?

— Od 10 miesięcy jestem wdową.

O, piękna signorino, czy pochodzisz z Hiszpanji?

— Nie, z ulicy Sobieskiego.

